- **Smutna historia tomaszowskiej Kaczki**
- **Wyboista droga do „M”**

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 5 (1296) ROK XXVI 29 STYCZNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

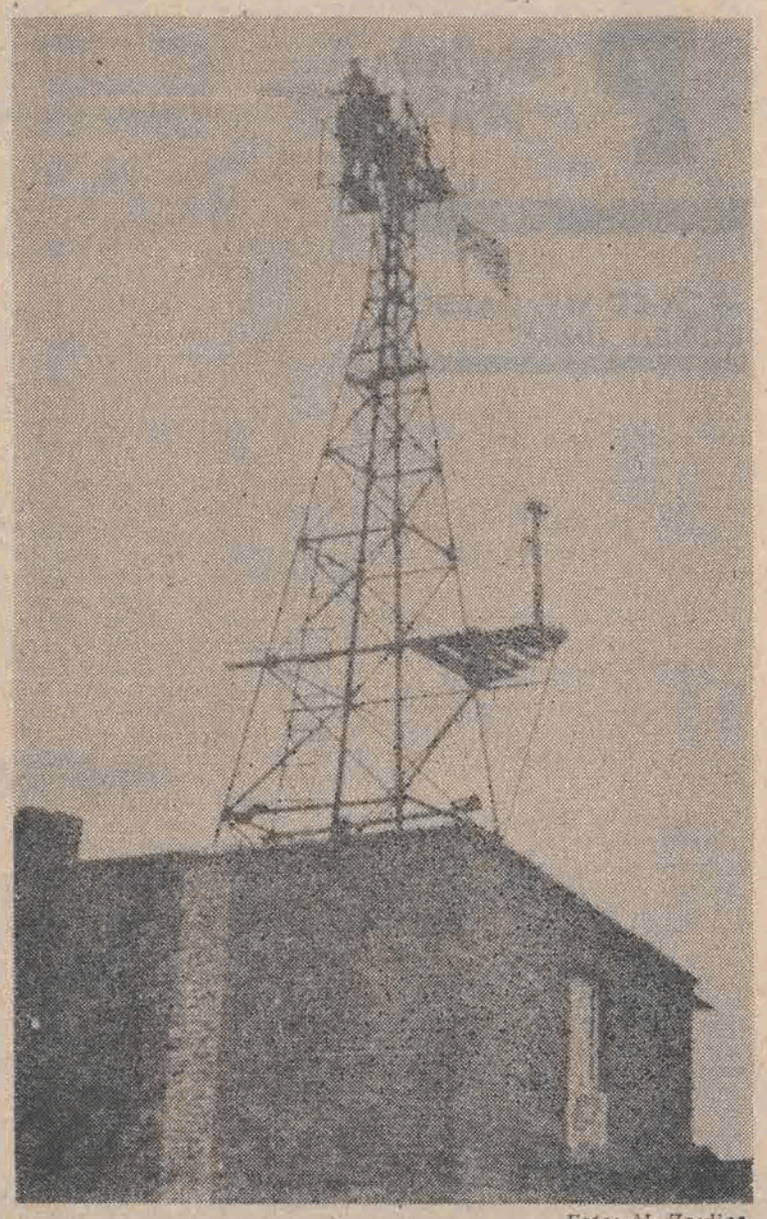

Foto: M. Zajdler

„I w Polsce, kraju bardzo biednym i zacofanym, a już dostatecznie uświadomionym o potrzebach znośniejszego bytowania oraz o roli energii elektrycznej w osiąganiu wygodniejszego życia, wykorzystanie energii wiatru ma pomyślne możliwości rozwoju”.

— W. Jagodziński

Pod wiatr

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Z drogi widok musiał być imponujący: na wysokiej wieży ze stalowej kratownicy obracało się trójramienne śmigło o średnicy 8 metrów. Gdy we wrześniu 1939 roku ciągnęli tędy na Łowicz Niemcy, najpierw ostrzelali wiatrak, a potem — zaciekawieni — przychodzili go oglądać. Bo i było na co popatrzeć: umieszczona na dole wieży prądnica, napędzana tylko siłą wiatru, dawała prąd stały o napięciu 120 V i mocy aż 6 kW. Dawała go tyle, że mógł zasilić nie jedno, lecz kilka domostw.

Ale jeszcze tej samej jesieni potężna wichura zniszczyła wiatrak. Wirnik rozleciał się dosłownie w kawałki, a jedną z łopat rzuciło ze sto metrów od domu, w pole. Nie załamało to jednak konstruktora. Następny będzie lepszy, powiedział sobie i od razu zabrał się do pracy.

Henryk Rynkowski, wieloletni burmistrz Głowna, opuścił ratusz w 1935 roku. W latach 20 uruchomił teściowi fabrykę maszyn młynarskich i kierował nią przez 3 lata. Teraz należało rozejrzeć się za własnym interesem. Mechanik z wykształcenia, absolwent słynnej warszawskiej szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda, której świadectwa po II wojnie światowej wymieniano na dyplomy inżynierskie, nie cierpiał na brak pomysłów i przedsiębiorczości. Zdecydował się produkować silniki do motocykli — 100 cm sześc. Wtedy szły jak woda, więc interes — murowany. Ale jak założyć warsztat mechaniczny, skoro pod Głownem, gdzie mieszkał z rodziną, nie było prądu?

Najbliżej miała elektryczność fabryka w Osinach. Budowa linii przesyłowej okazała się jednak zbyt droga, o wiele bardziej ekonomiczne było zbudowanie własnej elektrowni wiatrowej. Henryk Rynkowski miał w domu jakąś niemiecką broszurę na ten temat i prospekt

7

Spotkania australijskie

MR MC OVER

ADAM OCHOCKI

Melbourne Cricket Ground opustoszał po emocjach olimpijskich. Nasi sportowcy odlecieli do Polski, a ja włóczyłem się całymi dniami po ulicach tego dwumilionowego kolosa. Bardzo lubię tak chodzić po obcych miastach w obcych krajach, gdzie nikt mnie nie zna i ja nie znam nikogo.

Dochodziło południe, powieki kleiły mi się do snu. Nie zdążyłem jeszcze zgubić różnicy czasu, wynoszącej prawie dziewięć godzin na korzyść Australii. W dodatku upał panował tego dnia straszliwy. Była już połowa grudnia, a grudzień w Australii to tak jak u nas lipiec, tylko bez porównania gorętszy.

W tej scenerii i niesamowitej spiekocie na ironię zakrawała świąteczna reklama przed wielkim domem towarowym na Collins Street w centrum Melbourne: piętrowej wysokości Mikołaj w futrzanej czapie, w kożuchu, z workiem prezentów na plecach. Dziadkowi bardziej by pasował jakiś trykot, jednak tradycji musi się stać zadość, więc dzieci australijskie oglądają świętego Mikołaja niezmiennie w takiej samej postaci co nasze w Polsce.

Collins Street to ulica lekarzy. Tak jak w Londynie Harley Street, jak w Sydney — Macquarie Street. Od parteru po piąte, szóste piętra, w każ-

16

Miasto przy fabryce

KRZYSZTOF SPYCHALSKI

Drzewom przy ulicy Luboszewskiej nie pomoże już nic. Nawet cztery miliony złotych rocznego odszkodowania płaconego odpowiednio przez ministerstwo przez „Wistom”. Były już karłowate, gdy prezydent Tomaszowa Mazowieckiego Tadeusz Szarlej chodził do wistomskiego przedszkola. Takie pozostały do dziś. Jak wetknięte w piach zielone embriony, sterczące niemal za płotem Zakładów Włókien Chemicznych „Chemitex-Wistom”, przy drodze prowadzącej do „Kaczki”.

W starym, położonym za bramami „Wistomu” tomaszowskim osiedlu „Kaczki”, ludzie żądni są krzyku. — „Nareszcie ktoś to wszystko pokaże! Chodźcie, trzeba wszystko powiedzieć”. W mieszkaniu u Mariana Mikiczuka zbiera się kilka osób. Drewniane, przeżarte grzybem ściany, wilgoć, stęchlizna i smród przedostających się z zewnątrz chemikaliów przewrotnie wtórują mówiącym. W tej chwili są ich paradoksalnym sprzymierzeńcem. Najwięcej mówi Mikiczuk. Jest przygaszony, inaczej niż inni — sąsiad Bagiński na przykład jest wściekły.

— Na „Kaczce” mieszkam 15 lat, tu się ożeniłem. Mam czworo dzieci. Wszystkie chorują. Anka ma 12 lat i wrzody na dwunastnicy. Miesiąc w Łodzi w klinice leżała. — Mikiczuk wyciąga tekturowe pudło z lekarstwami — Żona też bierze te proszki. Pierwsze objawy były jesienią, w listopadzie minęło dwa lata jak wodę w studni zatruli. Pięćset metrów stąd jest zakładowe wysypisko. Wszystko w doły wyrzucają i palą. Jak wiatr zawieje — śmierdzi, że strach, to dzieci mają nie chorować? Zresztą tu nie tylko woda zatruta, niech się pan powietrza nawącha... Tak, dwusiarczku w „Wistomie” już nie robią, ale go sprowadzają i przerabiają, to śmierdzi i truje. Chodziliśmy do prezydenta, do komisarzy... Mieli już dawno nas przenosić. Wszyscy badają tylko, badają i tak to idzie — obiecanki, cacanki... My, to my, ale o dzieci chodzi. Moje i drugich. Tu niektóre 14-letnie dziewczynki nie ważą 20 kilo. Co my możemy, co możemy?! Przecież ta „Kaczka” miała być wysiedlona, już mówiłem. A co ja mam do zrobienia — 3 tysiące renty, czworo dzieci — co się mam odzywać? Do kogo?

W tomaszowskim Urzędzie Miasta na rozmowę przystali chętnie. Gdzie indziej w tym mieście rozmowy na ten temat nie były tak „otwarte”.

— Ludzi z „Kaczki” zaczęto wyprowadzać od początku lat sześćdziesiątych — przewodniczący Miejskiej Komisji Planowania Józef Filipiński — W trzech etapach do nowych bloków wprowadzono już ponad 750 osób. Wówczas były nakłady z Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Pod koniec lat siedemdziesiątych trzeba było wstrzymać dalsze przesiedlenia, bo na wyprowadzki miasto miało dostać dodatkowe mieszkania, a nie dostało. Z „Kaczki” wysiedlić jeszcze trzeba minimum 250 rodzin.

— Jaki wpływ na ostatnie zatrucie wody w studniach w tym rejonie ma działalność „Wistomu”? Owrzodzenia dwunastnicy powodowane są związkami azotu, zakłady takich nie emitują...

— Ten wpływ nie jest oficjalnie udowodniony. Tyle, że wiadomo, iż woda do „Kaczki” spływa od strony wysypiska — tak ono jest w stosunku do osiedla usytuowane. Skoro wyrzuca się tam zakładowe odpady, sądzę, że przypuszczenia o wpływie nie są bez pokrycia. Pominąwszy sprawę zatrutej wody i sferę domniemań, jedno pozostaje faktem — zakłady emitują do atmosfery dwusiarczek węgla, siarkowodór, dwutlenek siarki, substancje szkodliwe dla zdrowia i to jest pewne. Tak samo jak zdanie, że problem nie dotyczy wyłącznie „Kaczki”. Strefa zagrożona ciągnie się wokół całych zakładów w szerokości jednego kilometra od ich granic. Znajduje się tam 1016 budynków mieszkalnych i 1245 gospodarczych. Pyta pan o możliwości wykwaterowania? Miasto praktycznie nie ma żadnych. Plany mieszkaniowe daje województwo. Główny wykonawca też jest z Piotrkowa — wszystko idzie więc „z góry”. W tym roku na nasze potrzeby — inwestycje i remonty — mamy z województwa około dwustu milionów złotych. Co to jest? — przychodzi to porozdzielane... Urząd Miasta nie ma na mieszkania praktycznie żadnych funduszy. W tym roku w mieście spółdzielnia odda 454 mieszkania, w przyszłym ma być 380. W Tomaszowie na mieszkania czeka się 12-13 lat. Co

11

Przegląd prasy

— „A CO WY, GAZDO, ROBICIE ZIMĄ!"

— zapytali studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego mężczyznę, który w Ustroniu kosił owies. Działo się to w latach pięćdziesiątych. Z mężczyzną tym przedtem porozmawiali sobie i na koniec rozmowy zadali to pytanie.

— *„A zimą to ja jestem rektorem Uniwersytetu Łódzkiego"* — odpowiedział gazda, którym był profesor Jan Szczepański, wówczas pełniący tę godność. Przebywał latem u ojca w Ustroniu i pomagał mu w gospodarce.

Anegdotę tę przypomniał w „ODRZE" (nr 12 z grudnia 1982) Zbigniew Michałek w artykule „Uwagi o rolnictwie". A przypomniał dlatego, że w tejże samej „Odrze", ale w jednym z wcześniejszych numerów Jan Szczepański *„pisząc o myśleniu w kategoriach alternatywy, podaje, iż kiedy w Polsce brak żywności i środków na import żywności, ok. 240 tys. ha roli pozostaje poza uprawą z trudnych do zrozumienia powodów"*. Zbigniew Michałek przede wszystkim poddaje w wątpliwość ilość nie wykorzystanych hektarów. *„Trzeba by zastanowić się, czy liczba ta jest prawdziwa? Te ugory liczy się np. w ten sposób, pytamy naczelnika: Ile masz na wsi nieużytków? I on podaje mniej więcej prawdziwe liczby. (...) Prawdę o tym, ile jest nieużytków, podać by musieli sami rolnicy; tylko oni wiedzą, który skrawek ziemi we wsi jest nie wykorzystany"*. I podaje przykład z własnej praktyki: *„W moim kombinacie np. 700 ha ziemi nie zmeliorowanej i mało urodzajnej wojewoda wykazał jako nieużytki. Te hektary nie dają oczywiście 50 q zbóż, ale dają ich ok. 35 q. Czy są to więc nieużytki?"*.

Nie zmienia to faktu, że pewna część ziemi nie jest wykorzystywana. Trzeba ją zatem wykorzystać. Inaczej nie podniesiemy produkcji rolnej. Ale *„jeśli będziemy likwidować systematycznie ziemie leżące odłogiem* — pisze Z. Michałek — *to przede wszystkim poprzez powiększenie obecnych gospodarstw, a nie tworzenie nowych, ponieważ rolnictwo obecnie jest bardzo kapitałochłonne"*.

Zbigniew Michałek w swoim artykule stara się przekonać czytelnika, że w polityce rolnej trzeba przede wszystkim zmienić sposób myślenia. I to również rolników. Na przykład w sprawie zachowanych budynków gospodarskich i domów u tych, którzy ziemię oddali państwu. Czyż nie mogą oni dzierżawić i mieszkań, i budynków gospodarczych młodym, którzy obejmują gospodarstwa i muszą się budować niekiedy od podstaw? Budynki pozostające u ludzi starych niszczeją i po ich śmierci spychacz dokonuje reszty, bo już nie ma co ratować. Niełatwa to sprawa, ale problem w tym jest. Trzeba bowiem zmienić stosunek do własności, który teraz opiera się często na zasadzie: co moje, nie dam nikomu, niech lepiej zmarnieje!

Inna sprawa.

„Myślimy o tym — pisze Z. Michałek — *aby młodzież ostatnich lat szkół rolniczych, studenci uczelni rolniczych w jakimś zaciągu ruszyli na wieś i określili nie tylko, co ziemi na danym polu potrzeba, ale opracowali recepty, czego na danym polu nie siać nie wolno. Przecież kiedyś też studenci robili społeczną klasyfikację gruntów. I wtedy było to bardziej odpowiedzialne zadanie niż to, które chcemy proponować teraz"*.

Autor powołuje się też na rozważania profesora Ryszarda Manteuffla, który szuka odpowiedzi na pytanie: *„skąd mamy stagnację plonów?"*. I dochodzi do wniosku, że *„jest to sprawa niedoboru wapnia i magnezu"*. Rolnictwo musi więc otrzymać również i te składniki w nawozach. Musi też otrzymać środki produkcji w pełnym zestawie. Powinien to rolnictwu zapewnić przemysł. I nie trzeba myśleć, że jest to sprawa łatwa. Kiedyś maszyny dla rolnictwa robili kowale. Dziś musi to robić wyspecjalizowany przemysł. *„Uświadomienie sobie przez przemysł* — pisze Z. Michałek — *iż sprzęt, którego potrzebuje rolnictwo, wymaga szczególnie wysokich jakościowo parametrów technicznych, jest obecnie sprawą o znaczeniu kluczowym"*. Sądzę, że uświadomić tę prawdę powinniśmy sobie wszyscy.

Ludzie ze wsi powinni nadal odchodzić do pracy w przemyśle produkującym na rzecz rolnictwa. Z. Michałek przypomina, że w rolnictwie w stosunku do struktury agrarnej Belgii *„jesteśmy opóźnieni o 30 lat"*.

„Belgowie przez te 30 lat zwiększyli sobie areał gospodarstwa dwukrotnie. Oczywiście i oni mają swoich chłoporobotników, ale w przygniatającej większości są to gospodarstwa bardzo duże. Zwolniona ilość ludzi od pracy w rolnictwie przeszła do miasta i zaczęła produkować m.in. na rzecz rolnictwa, które z kolei zwiększyło wydajność z ok. 30 do ok. 50 q z hektara. Krótko mówiąc, jeśli chce się obecnie dobrze jeść i więcej jeść (...) warto, by na wsi było mniej ludzi, a w miastach większa produkcja przemysłowa dla rolnictwa".

I na koniec, zastanawiając się *„czy rolnictwo jest jeszcze sztuką, czy jest to już po prostu przemysł agrarny?"* — stwierdza, że warto nie rezygnując z „artyzmu" i specyfiki tego zawodu, więcej jednak uwagi poświęcać po prostu dobrym rzemieślnikom. I zacząć traktować rolnictwo jako ważną część gospodarki narodowej.

Swego czasu głośna była sprawa, jaką wywołał

SPÓR O MĘKĘ POD SIERADZEM

Do sprawy tej powrócił Krzysztof Lisiecki relacjonując w „NAD WARTĄ" (nr 3 z 20 stycznia 1983 r.), spotkanie z wicepremierem Mieczysławem F. Rakowskim. W Męce pod Sieradzem łódzka elektrociepłownia otrzymała teren na zbudowanie wysypiska. Decyzja w tej sprawie zapadła w 1966 r. Plan budowy wysypiska zatwierdzono w październiku 1977 roku. *„Jednakże już wtedy Sieradz, zgodnie z planami perspektywicznego rozwoju miasta, powiększony został m.in. o tereny wsi Męka"*. I tak wysypisko żużlu i popiołów z Zespołu Elektrociepłowni im. W. Lenina w Łodzi znalazło się w obrębie miasta. Sieradza. Prace rozpoczęto w 1979 roku i zakończono w połowie 1981 r. Koszt ich wyniósł 36 mln zł w cenach z 1980 roku. Zaczęły się protesty, sprzeciwy, działanie na rzecz powstrzymania Zespołu Elektrociepłowni z Łodzi przed wywożeniem do Męki żużlu i popiołów. Ale i Zespół Elektrociepłowni z Łodzi był w sytuacji bez wyjścia. Nie ma gdzie składać popiołów, a wysypisko w Męce okazało się nie do użycia ze względu na protesty mieszkańców. Budowniczym wysypiska zarzuca się, że nie przestrzegali przepisów o ochronie środowiska i wysypisko zagraża mieszkańcom Męki.

Oto powody sprzeciwów, jakie podał na opisywanym przez K. Lisieckiego spotkaniu prezydent m. Sieradza — Michał Kłos:

„Pierwszy — prawny: już poprzednie uchwały o ochronie środowiska dyskwalifikowały lokalizację wysypiska (m.in. mówiły, że takich inwestycji nie wolno lokalizować w granicach miast), a nowa ustawa tę dyskwalifikację jeszcze bardziej pogłębia — nie zachowano tzw. strefy ochronnej — m.in. SP nr 6 położona jest w odległości 46 m od składowiska. (SP — Szkoła Podstawowa — przyp. L. B.) Powód drugi — związany z zagospodarowaniem miasta: ze względu na nie wyjaśnioną sprawę wysypiska, nie można sprzedać 40 działek budowlanych w rejonie Męki, w trakcie wykupu znajdują się tereny przeznaczone na ogródki działkowe o 600 działkach, tereny wysypiska i przyległe przeznaczone zostały na rekreację — ubiegają się o nie m.in. łódzkie zakłady pracy.

I trzeci — zagrożenie zdrowia ludności: w wyniku składowania pyłów nastąpić może zatrucie wody, a w rejonie Męki znajdują się ujęcia wód podziemnych dla zaopatrzenia Sieradza i Zduńskiej Woli".

Sprawa więc wróciła i stała się o tyle poważna, że *„20 grudnia 1982 r. minister gospodarki terenowej i ochrony środowiska wydał decyzję, uchylającą wszystkie poprzednie w tej sprawie, że łódzkie elektrociepłownie mogą eksploatować spory teren wysypiska pożwirowego pod warunkiem zawarcia z władzami Sieradza odpowiedniego porozumienia"*. Ale do tego daleko.

Na zakończenie spotkania wicepremier M. F. Rakowski powiedział: *„Sprawa jest mi znana. Argumenty tu przedstawione przemawiają do mnie i nie mogę z nimi polemizować. Jeśli takie jest stanowisko zainteresowanych tą sprawą, to konieczne jest szukanie rozwiązania dobrego dla Sieradza"*. Przyrzekł też powołać w ciągu 10 dni komisję, która *„zbada sprawy wysypiska w Męce"*. Spotkanie odbyło się 12 stycznia 1983 roku.

W którejś z gazet spotkałem złośliwą notatkę przypominającą, że zupełnie niepostrzeżenie minęła rocznica procesu Macieja Szczepańskiego. „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 4 z 23 stycznia 1983 r.) wraca do innego procesu.

AFERA BRYLANTOWA I PROCES ROMANA URBANIAKA

są tematem artykułu Wiesławy Kobusińskiej „Człowiek o stu twarzach". Autorka przypomina, co pisano w marcu 1981 r., w gazetach po konferencji prasowej w KW MO w Krakowie:

„Przyzwyczailiśmy się ostatnio do afer, lecz ta zdaje się przekraczać wszystko, co publikowano na łamach naszej prasy...

Brylanty wartości blisko miliona dolarów z państwowego skarbca przekazano w prywatne ręce człowieka wielekroć karanego i nikt przez długie miesiące nie interesował się losem olbrzymiego skarbu.

Brylantowa afera wszechczasów...

Brylantowy szejk znad Wisły...

16 kont w polskich bankach...

W ciągu ostatnich 7 lat kupił 40 samochodów".

I sytuacja obecna:

„Później odnaleziono wszystkie kasetki z brylantami i stwierdzono, że Urbaniak niczego nie ukradł. Więcej: nie kradli ministrowie. I nikt potajemnie nie chciał brylantów kuponych w Związku Radzieckim wywieźć na Zachód. Koniec afery stulecia i Koniec afery wszechczasów. Miano gigantycznego aferzysty przylgnęło jednak do wrocławskiego jubilera i dopiero proces sądowy określi granice zła — i dobra — uczynionego przez niego".

Proces trwa i miejmy nadzieję odpowie na pytanie: kim rzeczywiście jest Roman Urbaniak?

JERZY URBAN ZMUSIŁ MNIE

do ponownego sięgnięcia po miesięcznik „BARWY" (nr 10 z grudnia 1982 r.). W październiku 1982 roku napisał on w „Tu i Teraz" felieton pt. „Skrzywdzony", w którym — jak pisze teraz („TU i TERAZ" nr 3 z 19 stycznia 1983 r. w felietonie „Struktura świata"), że wątpił *„publicznie w to, czy istotnie reżysera Porębę na wszystkich etapach historii PRL prześladuje nieśmiertelna mafia"*. Deklarował też *„brak zaufania do wizji dziejów, jaką ów reżyser pragnie pokazywać w obrazach"*, ponieważ uważa, że *„jego interpretacje motorów historii współczesnego życia Polski mają obsesyjne podłoże"*.

W obronie Bogdana Poręby wystąpił w miesięczniku „Barwy" Wacław Przelaskowski w artykule „Kto się śmieje z innych". Cytuje on fragment felietonu Jerzego Urbana:

„Zwolennicy Bogdana Poręby są wszyscy bez wyjątku znani z imienia i nazwiska, a gdyby zabrakło palców do ich policzenia, pudełko zapałek wystarczyłoby całkowicie. Niechętnych Porębie mamy natomiast wielką rzeszę".

I komentuje to:

„Nie jest to ani eleganckie, ani prawdziwe. Zwolenników Bogdana Poręby w Polsce, znanych z imienia i nazwiska jest co najmniej do setki tysięcy oraz miliony obywateli patriotów Polski Ludowej, którzy z niesmakiem czytają felietony go obrażające".

Że też nie potrafimy oduczyć się przemawiania w imieniu milionów. Coś mi się zdaje, że obrońca B. Poręby zrobił mu niedźwiedzią przysługę.

Wacław Przelaskowski pisze dalej:

„Zespół Poręby, który ma w swoim planie filmy o Władysławie Sikorskim, Z. Berlingu, W. Witosie i pracuje nad rozszerzoną wersją filmu „Polonia Restituta" tym dążeniom sił antysocjalistycznych przeszkadza, hamuje je. Stąd też płynie nienawiść. Możliwe, że J. Urban tego nie zauważa i nieświadomie temu dopomaga. Zauważa natomiast to pani Alicja Grabowska (Alina zresztą, a nie Alicja — przyp. L.B.) *z RWE od Zdzisława Najdera, nawołując do uniemożliwienia realizacji filmu „Władysław Sikorski" przez zespół Bogdana Poręby. Czy zbieżność tej nagonki w kraju i w Radio Wolna Europa nie jest omen nomen tego zagadnienia?"*.

Na to Jerzy Urban odpowiada w „Tu i Teraz":

„Moim zdaniem Wacławowi Przelaskowskiemu nie udało się udowodnić, że każdy, kto nie podziela opinii, iż pan Bogdan Poręba to bardzo cenny i ciężko skrzywdzony reżyser filmowy, jest spadkobiercą Hitlera i Bermana, agentem NATO, wspólnikiem Kuronia i Michnika, poplecznikiem Aliny Grabowskiej z Radia Wolna Europa, alkoholikiem i miłośnikiem seksu, drobnomieszczaninem i potencjalnym Rurarzem, zwolennikiem Piłsudskiego, syjonizmu i wolnomularstwa, trockistą i uczniem Askenazego oraz Hadelsmana, sojusznikiem osiemnastowiecznych Prus, KPN i Reagana, opluwaczem Sikorskiego, kandydatem do Nobla, prześladowcą Kotarbińskiego, Ajdukiewicza i Tatarkiewicza, poplecznikiem białogwardyjskiej organizacji „Prometeuszy", członkiem Bren Breit, wyznawcą teorii konwergencji itp. Po prostu całe zło tego świata nie sprzęga się ze sobą bynajmniej, aby tworzyć jeden scementowany, sataniczny system. Świat jest skonstruowany w o wiele bardziej pomatwany sposób. I takim go przyjmuję".

W „Barwach" Jan Ul pisze jeszcze o Klaksonie:

„Dzisiaj klaksony spotyka się już wyłącznie w rupieciarniach i zbiorach poniektórych hobbistów. Z jednym wyjątkiem. Otóż redakcja poważnego tygodnika „Szpilki" ma również swojego Klaksona...".

Od kiedy to „Szpilki" są poważnym tygodnikiem? A wszystko to spotyka Klaksona dlatego, że napisał w „Szpilkach" felieton pt. „Coctail z Barw", mając to i owo „Barwom" za złe.

Nie znany bliżej z imienia Włodarczyk — nie podał swego imienia — ma to też Klaksonowi za złe: *„Ech, panie Klakson, panie Klakson, trzeba będzie zmienić zawód. Przemysł czeka"*.

Inny przykład „merytorycznej" polemiki. Pisze anonim — (nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji) — *„Niezakłócony zapach. Koncentrując się w walce o literę prawa, przestaje się dostrzegać zmiany liter w polityce. A w „Polityce" taka zmiana nastąpiła. Miejsce Bywalca i Docenta W. zajęło G. Woń wydziela ostra, jak na swoją miarę przystało"*.

W tygodnikach pojawiły się ostatnio

PUBLIKACJE ŁÓDZKICH AUTORÓW

— w nr 3 „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (z 16 stycznia 1983 r.) ukazał się fragment powieści Tadeusza Papiera „Opowieść o domu matki",

— w nr 3 „FAKTÓW" (z 22 stycznia 1983 r.) wiersze Marka Grzegorza Madeja — publikował niedawno w „Odgłosach".

— w nr 3 „TU i TERAZ" (z 19 stycznia 1983 r.) kolumna wierszy Romana Gorzelskiego.

LUCJAN BOGUSZ ■

DEBATA NAD WYŻYWIENIEM NARODU

21 bm. w Warszawie zakończyło się dwudniowe wspólne posiedzenie XI Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i XI Plenum Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, poświęcone zadaniom partii i stronnictwa w rozwoju rolnictwa i osiąganiu samowystarczalności żywnościowej w kraju.

Obradom, które toczyły się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, przewodniczył I sekretarz KC PZPR, gen. armii Wojciech Jaruzelski i prezes NK ZSL, Roman Malinowski.

PROGRAM GOSPODARKI ŻYWNOŚCIOWEJ BĘDZIE PRZEDMIOTEM OBRAD SEJMU

(fragment wystąpienia Romana Malinowskiego)

Dobrowolność wyboru form gospodarowania w rolnictwie nie może oznaczać dowolności w kształtowaniu wyników gospodarowania. Każdy skrawek użytków rolnych, niezależnie gdzie on się znajduje, musi służyć poprawie wyżywienia narodu. Temu też celowi powinna być podporządkowana gospodarka w lasach i gospodarka zasobami wodnymi. Takiemu podejściu powinny sprzyjać, zgodnie z wnioskami w dyskusji, odpowiednie instrumenty produkcyjno-ekonomiczne.

Nigdy dotąd rozwój rolnictwa i stan wyżywienia narodu nie zależały tak bardzo od całej gospodarki narodowej, ale też nigdy tak wiele nie zależało od rolnictwa. Jest to prawda, która przewijała się wokół przygotowań do plenum i w trakcie naszej debaty. Rozpoczęty proces reorientacji gospodarki narodowej na zaspokajanie potrzeb rolnictwa i wyżywienia staje się dziś historycznie obiektywnie uzasadniony koniecznością, a także punktem wyjścia do realizacji programu antykryzysowego. (...)

Wzrost strumienia środków produkcji i innych artykułów przemysłowych dla rolnictwa i wsi będzie oddziaływał w sposób istotny na zwiększenie produkcji, modernizację gospodarstw rolnych i domowych, a zatem przynosił także ulgę w ciężkiej pracy kobiecie wiejskiej.

W wyniku wzrostu dostaw środków produkcji nastąpować będzie nie tylko zwiększenie produkcji rolnej, ale i poprawa struktury agrarnej, co w sumie będzie sprzyjać wydajności pracy. To właśnie w coraz większym stopniu jest i powinno decydować o wzroście dochodów. (...)

Program rolnictwa i gospodarki żywnościowej, po dopracowaniu z wykorzystaniem dorobku naszych obrad, zostanie skierowany do rozpatrzenia przez Sejm. Po przyjęciu programu przez Sejm pragniemy nadać mu wysoką rangę realizacyjną. Fazy i etapy realizacji tego programu będą przedmiotem corocznie oceny sejmowej. Z inicjatywą takiej oceny Sejmu wystąpią wspólnie Kluby Poselskie PZPR i ZSL.

Uchwała naszego wspólnego plenum określa nie tylko zadania, ale także konkretny tryb i kontrolę realizacji. Jest to nowa jakość. Zbyt wiele bowiem w niedalekiej przeszłości było programów, które nigdy nie zostały zrealizowane. Stąd uchwała przewiduje opracowanie rządowego harmonogramu realizacji przyjętych ustaleń. Przy jego opracowaniu zostanie wykorzystany bogaty dorobek konkretnych wniosków i propozycji zgłoszonych w trakcie przygotowań do plenarnego posiedzenia, jak i w trakcie obecnych obrad, w tym również prac 6 zespołów. Przewiduje się także opracowanie konkretnych harmonogramów realizacyjnych przez instancje i organizacje PZPR i ZSL. Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium NK ZSL będzie dokonywało okresowej oceny postępów w realizacji uchwały.

NIC NIE ZAKŁÓCI KLASOWEGO SOJUSZU ROBOTNICZO-CHŁOPSKIEGO

(fragment wystąpienia Wojciecha Jaruzelskiego)

Nasze posiedzenie plenarne było rzeczowe i twórcze. Stało się dużym wydarzeniem nie tylko w życiu partii i stronnictwa, ale nie wątpię, że i całego społeczeństwa. I to właśnie ogólnonarodowe zainteresowanie, ten oczekujący, ale i aktywny stosunek do rolnictwa, do gospodarki żywnościowej stanowi główny bodziec, swego rodzaju społeczną presję — najważniejszą rękojmię skutecznych i pomyślnych rozwiązań.

Obecnie najważniejsze to realność i realizacja naszych zapowiedzi decyzji. Wiemy, iż nieufność wobec nich w świetle szeregu minionych doświadczeń, różnych doznanych rozczarowań może być uzasadniona. Dlatego też nasza uchwała to nie obietnica, to drogowskaz i szansa. Jej spełnienie zadecyduje o rzeczywistym znaczeniu tego plenum. (...)

Klasowy sojusz robotniczo-chłopski, wyższe formy więzi miasta ze wsią, mają już blisko 40-letnią historię. Zdały egzamin czasu, są społeczno-politycznym warunkiem rozwoju Polski Ludowej. Nikt i nic zakłócić jej nie zdoła. Mają one bowiem charakter nie doraźny, taktyczny, ale klasowy, naturalny, możliwy jedynie w socjalistycznym państwie.

Nasze obecne plenum wnosi cenny wkład do umocnienia tego sojuszu. Jego szczególną, bardzo konkretną formą jest i być powinna coraz bliższa, przyjazna, służąca postępowi na wsi współpraca i kooperacja rolnictwa uspołecznionego z gospodarką indywidualną.

Należy przy tym wciąż poszukiwać nowych form wzbogacania tego sojuszu, a przede wszystkim jego konkretyzacji. Jednym z pomostów powinno być dalsze zbliżanie młodzieży miejskiej i wiejskiej, robotniczej i chłopskiej, czemu sprzyja wspólnota ich pokoleniowych dążeń i mentalności, a także poszukiwanie nowych, wyższych form stosunków międzyludzkich, działalności zawodowej i społecznej, zaspokajanie aspiracji oświatowych i kulturalnych. Powinniśmy ich do tego zachęcać, tworzyć warunki, po prostu pomóc.

PO WYDALENIU KORESPONDENTA PAP Z WASZYNGTONU

Tymczasowy Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL podjął 20 bm. uchwałę, w której czytamy m. in. „Decyzja wydalenia waszyngtońskiego korespondenta Polskiej Agencji Prasowej, członka Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Stanisława Głąbińskiego nie została niczym umotywowana, ma ona zatem charakter odwetu za uzasadnione prawem wydalenie przedstawicielki UPI, R. E. Gruber, która dopuściła się w naszym kraju karygodnego przekroczenia uprawnień korespondenta zagranicznego, co zostało podane do wiadomości publicznej".

Uchwała zawiera ostry protest przeciwko sprzecznym z duchem Karty Helsińskiej metodom zastosowanym przez administrację amerykańską wobec red. St. Głąbińskiego.

■

Nasz czas przeszły

Pół wieku temu w Niemczech
(i co o tym w Polsce pisano)

JERZY KWIECIŃSKI

Mija dokładnie pół wieku od wydarzenia, które stanowiło moment zwrotny w najnowszych dziejach, zaważyło swoimi konsekwencjami najfatalniej na losie narodów, a naszemu krajowi przysporzyło nieopisanych strat i cierpień. W dniu 30 stycznia 1933 r. prezydent Republiki Weimarskiej, marszałek Hindenburg, powierzył misję utworzenia nowego rządu niemieckiego przywódcy Narodowo-Socjalistycznej Robotniczej Partii Niemiec (NSDAP) Adolfowi Hitlerowi.

Poprzedziły ten fakt głębokie wstrząsy w społeczeństwie niemieckim, będące odbiciem ogólnokapitalistycznego kryzysu ekonomicznego. Niemcy, rozdzierane ostrymi konfliktami politycznymi, przeżywające głęboko uraz klęski poniesionej w I wojnie światowej, odczuwające postanowienia traktatu wersalskiego jako niezasłużoną krzywdę, radykalizowały się politycznie. Umacniały swoje wpływy zarówno żywioły nacjonalistyczne, jak i partie robotniczej lewicy.

Najbardziej nieprzejednane stanowisko wobec groźby przejęcia władzy przez narodowych socjalistów zajmowali komuniści, na których listę w trzech kolejnych wyborach do parlamentu, w latach poprzedzających objęcie urzędu kanclerskiego przez Hitlera, głosował średnio co ósmy obywatel republiki. Wprawdzie hasło „Hitler oznacza wojnę" — rzucone przez przywódcę Komunistycznej Partii Niemiec, Ernsta Thälmanna znajdowało silny oddźwięk w klasie robotniczej, jednak powściągliwe stanowisko socjalistów, którzy w swojej walce z hitlerowcami nie chcieli odstąpić od parlamentarnych zasad, przekreślało możliwości zagrodzenia hitlerowcom drogi do władzy siłą, gdy stało się to już jedynym wyjściem. Obawa przed „czerwonym niebezpieczeństwem" okazała się w społeczeństwie niemieckim silniejsza od obawy przed faszyzmem, w czym niemałą rolę odegrały złudzenia, że partia hitlerowska na wypadek wyborczego zwycięstwa zadowoli się legalnym sprawowaniem władzy w ramach ustroju parlamentarnego.

Ów dzień 30 stycznia określili później hitlerowcy jako „przejęcie władzy" (Machtübernahme), a jego rocznicę ustanowili świętem państwowym, ale w istocie oznaczał on tylko, zgodne z konstytucją, utworzenie koalicyjnego rządu prawicy przez przywódcę najsilniejszej partii. Był to jednak początek szybkiego procesu zaprowadzania dyktatury partii hitlerowskiej, zarówno na drodze zręcznych machinacji politycznych, jak i przez rozpętanie brutalnego terroru przeciwko siłom demokratycznym, począwszy od komunistów, a skończywszy na ugrupowaniach umiarkowanych.

I tak np. prowokacyjne podpalenie Reichstagu dostarczyło hitlerowcom pretekstu do wydania nadzwyczajnych zarządzeń „o ochronie narodu i państwa", spotęgowało przy tym w społeczeństwie psychozę strachu w dniach przed wyborami z 5 marca, które przyniosły hitlerowcom umocnienie pozycji i ośmieliło ich do unieważnienia mandatów posłów komunistycznych. Do końca marca hitlerowcy uzyskali wszystkie miejsca w parlamencie, a dyktatura niemieckiego faszyzmu stała się faktem. Opozycjoniści znaleźli się w więzieniach i obozach koncentracyjnych, wyemigrowali bądź zamilkli. Antyhitlerowskie podziemie, mimo ofiarnej walki, zlikwidowano ostatecznie niemal całkowicie.

Czy wtedy, w dniach poprzedzających dzień 30 stycznia i po nim następujących można było cały ten dalszy rozwój wypadków, aż po rozpętanie przez Niemcy nowej wojny światowej przewidzieć? Czy z niebezpieczeństwa przewrotu hitlerowskiego zdawała sobie sprawę polska opinia publiczna? Dziś, kiedy wiemy już jaką groźbę stanowi faszyzm, każdy faszyzm, dla swojego narodu i dla innych, obecnie żyjącym Polakom może się wydawać, że dla ówczesnego polskiego pokolenia niebezpieczeństwo przewrotu hitlerowskiego było jednoznaczne i oczywiste. A jak to było naprawdę?

Całkowita czy choćby syntetyczna odpowiedź byłaby możliwa po gruntownym zapoznaniu się z wszelkiego rodzaju dokumentami tego okresu. Myślę jednak, że przybliżone wyobrażenie o nastrojach i opiniach polskiego społeczeństwa może dać ówczesna prasa, czy nawet wyrywkowy przegląd wybranych przypadkowo tytułów prasowych z pierwszych miesięcy 1933 r.

Okazuje się, że stanowisko prasy polskiej wobec hitlerowskiego przewrotu było niejednolite, nie zawsze też zdecydowane i dostatecznie klarowne. Trzeba przy tym wziąć, moim zdaniem, pod uwagę, że taktyka i propaganda hitlerowska w okresie walki o zdobycie władzy w państwie i początkach jej sprawowania większą wagę zdawała się przywiązywać do pozyskiwania niemieckiej opinii przez rozbudzanie i wygrywanie szowinistycznych, rewizjonistycznych nastrojów, skierowanych zwłaszcza przeciwko postanowieniom traktatu wersalskiego w sprawie polskiego Pomorza (nazywanego już wówczas „korytarzem") i statusu Wolnego Miasta Gdańska, niż do opinii międzynarodowej.

Dopiero nieco później, po krwawej rozprawie z resztkami opozycji wewnątrz ruchu narodowo-socjalistycznego, czyli z tzw. puczem Röhma, pewni już swych pozycji hitlerowcy rozpoczęli konsekwentną grę o pozyskanie sobie przychylności lub neutralności rządów i społeczeństw europejskich licznymi pokojowymi deklaracjami, za których zasłoną rozpoczęli gigantyczne zbrojenia i przygotowania wojenne. Toteż raczej w późniejszych latach udawało się niemieckiej propagandzie usypiać i zwodzić opinię polską, a raptowne otrzeźwienie nastąpiło dopiero na krótko przed wojną, po wysunięciu pierwszych „propozycji" w sprawie „korytarza".

Zmierzam do tego, że właśnie na samym początku te niebezpieczeństwa ze strony hitlerowskich Niemiec i brutalność oraz perfidia ich metod (stosowanych w walce z wewnętrznym przeciwnikiem politycznym oraz z mniejszością żydowską) były bardziej jawne i łatwiej dostrzegalne niż później, kiedy jako jedyny motyw „ideowy" poczynań hitlerowskich pozostał na placu antykomunizm, ściślej antykomunistyczna „krucjata", znajdująca przychylny oddźwięk w konserwatywnych i nacjonalistycznych kręgach poza granicami Trzeciej Rzeszy.

Jak więc reagowały polskie gazety codzienne na przejmowanie władzy w Niemczech przez partię narodowo-socjalistyczną?

Reprezentująca koła rządowe „GAZETA POLSKA" w komentarzu odredakcyjnym z 31 stycznia wypowiada się o prawicowo-nacjonalistycznym rządzie Hitlera z ostrożną powściągliwością: *„Przed stołem historii stanie prawica niemiecka, która składać będzie egzamin z tego czy rządzić potrafi"*.

Ten ton dyplomatycznej rozwagi towarzyszy ocenie następujących po sobie wydarzeń i wyraża się także w powoływaniu się niemal wyłącznie na niemieckie urzędowe opinie i komunikaty. Tak np. donosząc w dniu 1 marca o pożarze Reichstagu gazeta przytacza przede wszystkim głosy oficjalnej prasy niemieckiej, przypisującej, jak wiadomo, winę działaniom komunistów. Po wyborach z 5 marca, które w warunkach nasilającego się terroru dały znaczną przewagę partii hitlerowskiej, gazeta snuje następujące rozważania: *„Nie wystarczy bić marksistów, jak chce Hitler, trzeba będzie tworzyć życie"*. I dalej: *„Władzę traci się nie tylko dlatego, że ktoś inny po nią sięga. Władzę stracić można przez to, że się nie umie rozumnie jej użyć"*.

Innymi słowy — poczekamy, zobaczymy..

Od wypowiedzi organu rządowego znacznie odbiegają w treści i w tonie artykuły i same ich tytuły w głównym wydaniu dziennika Stronnictwa Narodowego „GAZECIE WARSZAWSKIEJ", która zresztą w dniach poprzedzających tak ważkie decyzje, jak obsadzenie urzędu kanclerskiego w Niemczech niezbyt wiele miejsca przeznacza na wydarzenia w tym kraju, znacznie bardziej zajęta polskimi sprawami wewnętrznymi — antyżydowskimi zajściami na uniwersytetach czy „wywrotową" działalnością lewicy oraz „masońskimi" spiskami. Osobliwe wrażenie sprawia m.in. pokaźnych rozmiarów nekrolog w rocznicę śmierci Eligiusza Niewiadomskiego (zabójcy prezydenta Narutowicza), powiadamiający o mszy za duszę zamachowca.

Być może doniesienia zagraniczne zamieszczano (w wydaniu terenowym?) z jednodniowym opóźnieniem w stosunku do większości prasy codziennej, skoro dopiero 1 lutego czytamy o objęciu urzędu kanclerza przez Hitlera w art. pt. *„Front narodowy w Niemczech"*, zawierającym oficjalne komunikaty o składzie rządu. Podobnie dopiero 1 marca dowiadujemy się o pożarze Reichstagu, pod wymownym tytułem: *„Gmach Reichstagu spłonął. Zbrodnicze dzieło komunistów hasłem do rewolucji."*

Dalszemu rozwojowi wydarzeń niemieckich gazeta nie poświęca zbyt wiele uwagi, prawie że przemilcza wybory z 5 marca, redakcja interesuje się głównie tymi elementami sytuacji wewnętrznej Niemiec, które mogą wywierać bezpośredni wpływ na stosunki w Polsce. W art. z 8 marca pt: *„Obawy żydowskie"* autor zjadliwie ironizuje nt. obaw polskich Żydów przed rozprzestrzenianiem się ideowych wpływów hitleryzmu w naszym kraju. Prześladowania Żydów lub represje wobec niemieckiej lewicy gazeta bądź przemilcza — bądź donosi o nich z lekko maskowaną sympatią.

W podobne tony uderza też endecki „KURIER POZNAŃSKI". W przeddzień decyzji o nowym gabinecie Rzeszy gazeta podnosi alarm, donosząc, że *„policja niemiecka spodziewa się dalszych aktów terroru"* (ze strony lewicy, oczywiście). Upust swoim prawdziwym sympatiom politycznym daje „Kurier" 1 marca, po pożarze Reichstagu:

„Komuniści zamierzali niszczyć gmachy rządowe i wiele większych zakładów społecznych oraz użyteczności publicznej (...) planowano masowe napady i rozbijanie sklepów."

W swoich obsesjach antykomunistycznych redakcja ta idzie tak daleko, że podając listę aresztowanych w Niemczech komunistów, zalicza do nich m.in. także pacyfistę i antyfaszystę Karla von Ossietzky'ego, redaktora „Weltbühne", którego zwolniono z obozu koncentracyjnego po otrzymaniu przez niego pokojowej Nagrody Nobla...

Podobnie jak „Gazeta Warszawska" redakcją „Kuriera Poznańskiego" miotają nieraz sprzeczne uczucia. Krytykuje on zawieszenie prasy polskiej w kilku niemieckich prowincjach w przeddzień wyborów z 5 marca, niepokoi się szowinistyczną hecą wokół „korytarza" i Gdańska, ale bodaj jeszcze większy niepokój wzbudza u redaktorów gazety: *„ucieczka Żydów z Niemiec i możliwość uzyskania przez nich obywatelstwa polskiego"* (w rzeczywistości wchodzili w rachubę jedynie Żydzi pochodzący z terenów polskich).

Z odmiennych pozycji ustosunkowuje się do wydarzeń niemieckich organ Polskiej Partii Socjalistycznej „ROBOTNIK". Charakteryzując skład pierwszego, jeszcze koalicyjnego rządu Hitlera zauważa: *„Nie jest to rząd czysto faszystowski, ale rząd w 100 procentach reakcyjny, antyrepublikański, monarchistyczny, odwetowy"*.

Zdając sobie sprawę, że to dopiero początek procesu zamierzonej faszyzacji Niemiec „Robotnik" pisze dalej:

„Rozgrywka w Niemczech zdaje się zbliżać szybkimi krokami. Gdyby klasa robotnicza w Niemczech była zjednoczona, nie była rozbita przez komunistów, to wynik rozgrywki nie budziłby wątpliwości". Obwiniając gołosłownie komunistów o „rozbicie" klasy robotniczej „Robotnik" nie jest chyba konsekwentny, następnego dnia bowiem z całkowitą aprobatą odnosi się do stanowiska socjalistów niemieckich, którzy opublikowali oświadczenie, w istniejących warunkach niewątpliwie kunktatorskie, że *„walkę prowadzą ściśle na podstawach konstytucyjnych"*. Dodajmy zresztą, że to właśnie partia socjalistyczna w wyborach prezydenckich z poprzedniego roku nie udzieliła poparcia kandydatowi komunistów Ernstowi Thälmannowi, który i bez tego poparcia uzyskał przeszło 13 procent głosów (wygrał wybory Hindenburg przed Hitlerem).

Komentując pożar Reichstagu „Robotnik" trafnie ocenia go jako *„prowokację hitlerowców"*, uzasadniając to następująco:

„W niedzielę mają odbyć się wybory do Reichstagu. Hitler i Göring obmyślili sobie sposób na „zdobycie" większości. Nie zdobyli się na jawny zamach stanu, zdobyli się na ordynarną i bezczelną w swym cynizmie prowokację".

Opinię polską urabiała zapewne w znacznym stopniu prasa prowincjonalna, mniej chyba wyspecjalizowana w zagadnieniach międzynarodowych, bo nie mająca na ogół swoich korespondentów za granicą, ale czytywana w sumie dość powszechnie. Dla przykładu posłużmy się kilkoma tytułami prasy łódzkiej.

„NOWY DZIENNIK ŁÓDZKI" (ukazujący się poprzednio jako „Dziennik Łódzki") w dniach poprzedzających utworzenie nowego rządu niemieckiego ostrzega przed niebezpieczeństwami dla Polski w przypadku dojścia do władzy Hitlera, a 30 stycznia zamieszcza na czołówce art. pt. *„Hitlerowcy prą do dyktatury"*. Przeprowadzając następnego dnia analizę faktu dokonanego gazeta pisze, że prezydent Hindenburg powziął decyzję wprawdzie zgodnie z konstytucją, ale *„decyzję ryzykowną politycznie"*. W dniu 1 lutego w art. *„Pierwsze uderzenie hitlerowskiej pięści"* gazeta informuje o brutalnym terrorze oddziałów SA wobec lewicy robotniczej, wybija też w jednym z śródtytułów, iż *„Komuniści toczą zacięte walki z hitlerowcami"*, a 5 lutego w art. *„Mord, gwałt, bezprawie"* pisze o *„schodzeniu komunistów do podziemia"*. Sceptycznym komentarzem opatruje dziennik hitlerowską tezę propagandową o udziale komunistów w podpaleniu gmachu parlamentu. (Co również znamienne, „Nowy Dziennik Łódzki" w przeciwieństwie do znacznej części prasy polskiej uważa Japonię za agresora w toczonej wojnie z Chinami).

Zdecydowanie antyhitlerowskie stanowisko zajmuje również „KURIER ŁÓDZKI". Nazajutrz po objęciu urzędu kanclerskiego przez Hitlera gazeta zamieszcza art. pt. *„Niemcy w rękach najskrajniejszej reakcji"*, cytuje też demokratyczną, jeszcze ukazującą się „Berliner Zeitung" która przewiduje: *„olbrzymie powikłania aż do ostrego ataku na traktat wersalski"*. Nie kocha też „Kurier" komunistów, skoro bezkrytycznie przedrukowuje doniesienia urzędowej prasy niemieckiej o tym, że *„komuniści przeprowadzają szereg planowych ataków na sklepy, rabując artykuły żywnościowe i zawartość kas sklepowych"*, a była to przecież ze strony hitlerowskiej propagandy przygrywka do prowokacji z pożarem. Ten fakt odnotowuje „Kurier" pt. *„Sprawcą pożaru jest holenderski komunista"*. Ale na tej stronie czytamy jednocześnie: *„Rząd Hitlera pięścią toruje drogi swojego zwycięstwa"*, a 5 marca *„Rozszalały orkan terroru"* i dalej: *„Niemcy w rękach skrajnego nacjonalizmu"*.

Łódzki „PRĄD", jak można wnosić z szeregu publikacji, reprezentował interesy kół finansowo-handlowych i wyrażał światopogląd nacjonalistyczno-klerykalny. W jednym z art. pt. „Bolszewickie chwasty" z 1 stycznia 1933 r. owymi bolszewickimi chwastami nazywa gazeta wprowadzenie przez rząd zbyt wygórowanego, zdaniem redakcji, podatku spadkowego, mającego rzekomo na celu „stopniowe zniszczenie własności prywatnej". Kiedy indziej pisząc o „szajce rabusiów" kradnących chleb z wozów, określa ich jako „charakterystyczne typy bezdomnych włóczęgów, wyrzuconych poza nawias kulturalnego i uczciwego społeczeństwa" i to w czasie gdy bezrobocie i bezdomność były zjawiskiem dość częstym. Ale i to niezbyt rozgarnięte w sprawach społecznych pisemko dostrzega niebezpieczeństwa dla Ploski ze strony hitlerowskich Niemiec.

Z pewnością warte przypomnienia byłyby opinie łódzkiej „REPUBLIKI", ale w jednym z publicznych zbiorów czasopism zabrakło akurat I kwartału 1933 r., a w drugim w ogóle nie było tego tytułu. Ale godna uwagi jest ocena wydarzeń z następnych miesięcy. I tak 1 kwietnia napotykamy art. z wielce rozbudowanym i nie do końca jasnym tytułem: *„Do czego zmierza Hitler? Jego nacjonalizm jest histeryczny i oszukańczy, a socjalizm kłamliwy i głupi. Przeciwnik kapitalizmu, obrońca własności prywatnej"*. (Być może chodzi o konflikt między wielkim kapitałem a interesami drobnego handlu i rzemiosła, co jednak z treści nie wynika).

Na wyjątkową uwagę zasługuje art. z 6 kwietnia pt. *„Endecy, Hitler i Żydzi"*. Krytykując jawnie antypolski kurs partii hitlerowskiej „Republika" pisze: *„Cóż robią tymczasem endecy? Zachwycają się Hitlerem. Depesze PAT o gwałtach w Niemczech zaopatrywane są w takie tytuły, ażeby każda wierna owieczka w Polsce mogła to traktować jako zachętę do puszczenia z dymem pierzyn żydowskich. Tu i ówdzie w endeckich pismach znajdujemy opis „bohaterstw" Hitlera, ktoś zachwyca się jego mocnym, stalowym spojrzeniem, inny pisze dytyramby o cudownym głosie Hitlera, jak gdyby nie był on kanclerzem Rzeszy, a primadonną opery. Endecy cieszą się „zwycięstwem" hitlerowców nad Żydami. (...) Z punktu widzenia politycznego taka propaganda jest najgłupszą, jaka w ogóle może się narodzić. Zamiast niej należy raczej rozpocząć na terenie międzynarodowym akcję w sprawie prześladowania Polaków w Niemczech i obywateli polskich — Żydów"*.

Warto może jeszcze powołać się na niemieckojęzyczną gazetę łódzką „FREIE PRESSE", ponieważ ewolucja jej poglądów wydaje się znamienna dla postawy części społeczności niemieckiej w Polsce. W okresie poprzedzającym przewrót hitlerowski z pewnością nie była to gazeta sprzyjająca narodowym socjalistom, znajdujemy na jej łamach nawet akcenty sympatii dla socjaldemokratów. Np. w przeddzień objęcia urzędu przez Hitlera zamieszcza art. pt. *„Powinien powstać proletariacki front jedności"*, czytamy także chyba nieco przesadzone informacje o 200 tys. pokojowo demonstrujących socjaldemokratach niemieckich, i o tym, że demonstrację *„zakłócili komunistyczni agitatorzy"*. W pierwszej fazie wydarzeń dziennik donosi jeszcze o krwawych zajściach ulicznych pomiędzy hitlerowcami a komunistami, ale także (obiektywnie?) o aresztowaniach przez policję wśród ...jednych i drugich. Ale już podpalenie Reichstagu opatruje redakcja tytułem: *„Wczoraj miała wybuchnąć w Niemczech bolszewicka rewolucja"*. Jak widać „Freie Presse" szybko zarzeła zmieniać front.

Myślę, że ten skromny, bardzo niepełny przegląd ilustruje jednak dość znaczne zróżnicowanie poglądów i opinii prasy polskiej, w dość ścisłej zależności od orientacji politycznej zespołów redakcyjnych, na temat wydarzeń sprzed pół wieku, których rolę i znaczenie oceniła już historia.

ROBOTNIK
CENTRALNY ORGAN P.P.S.
PROLETARJUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!
NIECH ŻYJE SOCJALIZM
WARSZAWA UL. WARECKA NR
KONTO CZEKOWE W P.K.O.
Cena numeru 20 gr
Rząd Hitlera w Niemczech
REAKCYJNY, ANTYREPUBLIKAŃSKI, MONARCHISTYCZNY, ODWETOWY.

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Upartyjnianie partii

Pomysł idei streszczonej w tytule zaczerpnąłem z niewielkiej objętościowo, lecz znaczącej treściowo książki Jana Kurowickiego i Grażyny Zwolińskiej, zatytułowanej niezbyt trafnie „W którym miejscu jesteśmy", a wydanej przez „Książkę i Wiedzę" w końcu ubiegłego roku. Skrytykowałem tytuł, gdyż książka ta — stanowiąca zbiór artykułów, opublikowanych przez zgodne ideowo stadło autorskie między wrześniem '80 a grudniem '81 w różnych czasopismach — zawiera odpowiedź na pytanie daleko dla Polaków istotniejsze. A mianowicie: — jak wyjść z zaplątania świadomości i praktyki, określanego potocznie polskim kryzysem?

Wyjścia tego poszukują Autorzy przede wszystkim w przywracaniu partii rządzącej siły i sprawności niezbędnych do skutecznego sterowania klasową i narodową nawą. To zaś właśnie wymaga ponownego upartyjnienia partii. Bowiem przyczyn zejścia partii z właściwego kursu, a wraz z nią i sterowanego przezeń społeczeństwa, upatrują Zwolińska i Kurowicki, w tym, iż partia stawała się w latach siedemdziesiątych w istocie bezpartyjna. Że zdominowana przez „chełpliwych funkcjonariuszy", obciążona masami czonkowskimi o nieproletariackiej w większości przynależności i orientacji, zapomniała „o interesach klasy, jaką ma reprezentować", „wyciekła" z niej teoria naukowego socjalizmu i zaczęła stawać się „bezpartyjnym zbiorowiskiem formalnie i nieformalnie popierającym urząd do spraw jedności moralno-politycznej".

Tyle przypomnienia krytyki Dość już bowiem napłakaliśmy się nad tym rozlanym mlekiem — pora skoncentrować się na tym, co czynić, by skutecznie przywracać partii charakter właściwy jej roli i funkcjom społecznym w naszym systemie. I w tym właśnie sensie lektura książki „W którym miejscu jesteśmy" jest o tyle owocna, że dostarcza uporządkowanego, zwartego uogólnienia przemyśleń właściwych dla głównego nurtu dotychczasowej dyskusji partyjnej.

Upartyjnianie partii — twierdzą zasadnie Autorzy — to przede wszystkim przywracanie jej stronniczości. Gotowości i zdolności opowiadania się w obronie interesów robotniczych wszędzie, gdzie ujawni się ich zasadnicza sprzeczność z interesami innych grup składających się na społeczeństwo polskie. Partia bowiem — to strona, w dosłownym rozumieniu. W rozwiniętym zaś wykładzie — strona w politycznych sprzecznościach z reprezentacjami innych klas i warstw danego społeczeństwa. Niezbędna o tyle właśnie, o ile istnieje takie zróżnicowanie społeczeństwa i jego interesów, a zatem i zapotrzebowanie różnych grup społecznych na partie, stronnictwa.

Otóż kolejnym wypaczeniom socjalizmu w Polsce towarzyszyło zazwyczaj ogłaszanie zaniku podziałów klasowo-warstwowych, a zatem i potrzeby stronniczości partii i stronnictw. Sprowadzanie tych ostatnich do dekoracyjnych funkcji, partii zaś do roli rzecznika interesów ogólnych, ponadklasowych, narodowej racji stanu. Rzeczywista przyczyna kryzysów i konfliktów w PRL „tkwi w tym, że partia przestała w swej działalności politycznej i ekonomicznej wyrażać interesy klasy robotniczej, stając się pozornie apolitycznym urzędem do spraw jedności moralno-politycznej". Stąd i kluczem do przezwyciężania sytuacji kryzysowej oraz główną gwarancją przed powtórkami są takie poczynania, które sprzyjają oczyszczaniu partii z zamulenia jej składu i programu dominacją grup o interesach odmiennych i sprzecznych z robotniczymi — jej „powrót do swej klasowej tożsamości". To zaś wymaga, by partia przezwyciężała żywiołową skłonność, przed którą ostrzegał usilnie Lenin, do przekształcania się z partii rządzącej z woli klasy robotniczej i jej proletariackich sojuszników — w partię rządzących, tracącą związek ze swą klasową bazą. Stąd partia musi umieć opowiadać się nie tylko przeciwko wyzyskiwaczom i „wszelkim nosicielom i reprezentantom interesów prywatnych, którzy zagrażają prymatowi interesów klasy robotniczej, ale i „przeciwko własnej biurokracji" — gdy ujawni się rozbieżność jej interesów z robotniczymi. Tylko taka reorientacja składu, programu i praktycznej polityki partii może uwolnić od groźby rozmijania się jej z potrzebami podstawowej w naszej strukturze społecznej klasy. A zatem od powtórek dobijania się robotników o swe interesy poza partią i przeciwko niej, wikłania się w sojusze z siłami obcymi im w istocie klasowo i ideowo.

Warunek konieczny takiego postępu stworzyło bezsporne upolitycznienie mas robotniczych. Niedostateczna uprzednio drożność dla tej aktywności partii, „starych" związków zawodowych i innych socjalistycznych organizacji sprawiła, że robotnicze aspiracje do podmiotowej roli w polityce przybrały między sierpniem '80 a grudniem '81 głównie formy bardziej burzące niż tworzące lepszy porządek społeczny, powodujące anarchizowanie naszego życia. Zaś niedostatek wiedzy i umiejętności politycznych robotników sprzyjał poddawaniu się wpływom demagogów, a i wrogów socjalizmu. Nie może to jednak skompromitować i przesłonić istoty. Tego mianowicie, że minął bezpowrotnie czas, gdy demokracja ludowa miała charakter głównie pośredni — sprawowania władzy w imieniu ludu przez reprezentacje dobierające się na zasadzie autokoptacji. I rządzące w sposób wolny od innych form kontroli robotniczej, jak kolejne dramatyczne konflikty polityczne i kryzysy.

Wyjście pozytywne może i musi być tylko jedno: „włączenie szerokich mas (zwłaszcza robotniczych) do rządzenia. Jest to zresztą stary, lecz wiecznie aktualny postulat lewicy społecznej. W naszej sytuacji nabiera on szczególnej doniosłości. Bez jego urzeczywistnienia nie sposób wyprowadzić kraju z kryzysu, wyzwolić autentyczne zaangażowanie, poczucie kolektywnej własności". To zaś — jak trafnie uściślają Zwolińska i Kurowicki — „może się urzeczywistniać przy jednoczesnym spełnianiu dwu warunków: aktywności mas, czyli woli uczestniczenia we władzy i w ich upolitycznieniu".

Aktywność, czyli wolę uczestnictwa mas robotniczych w polityce już mamy. Wprawdzie przygaszoną przejściowo rozczarowaniami wynikłymi z dramatów i pomyłek czasów — mówiąc poetycko — „burzy i naporu". Ale rozbudzone do myślenia w kategoriach politycznych masy robotników, zwłaszcza młodych (a co drugi robotnik należy do tej kategorii!) nie wrócą — bo nie potrafią — do biernej akceptacji decyzji dotyczących ich losów. Rachuby na cofnięcie się tej fali — a nie brak takowych wśród nadmiernie nawykłych do samowoli zawodowych „reprezentantów ludu", „impregnowanych" na zmiany, jak trafnie nazwał ten typ Janusz Fastyn w „Życiu Partii" (nr 1/83) — są podobnie złudne, jak np. liczenie na to, że większość zapoznana z alfabetem zrezygnuje z umiejętności czytania.

Przykład to o tyle poręczny, ze nasuwający myśl, iż przezwyciężenie analfabetyzmu politycznego mas robotniczych nie wystarcza. Do samodzielnego i odpowiedzialnego wpływania na decyzje władcze niezbędna jest masom robotniczym, a zwłaszcza ich partyjnej awangardzie, gruntowniejsza wiedza o prawidłowościach społecznych. Bez niej bowiem „istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy szli do przodu na ślepo". I stąd wynika kolejny wymóg i zadanie praktyczne niezbędne dla upartyjnienia naszej partii: przywrócenia znajomości i umiejętności posługiwania się teorią naukowego socjalizmu. Wypaczenia doprowadziły bowiem do tego, że „marksizm przywołuje się najczęściej jako ozdobnik, nie stanowi on jednak podstawy, autentycznego zaplecza myślenia o partii i społeczeństwie". A przecież „partia odteoretyzowana jest partią bezbronną (...). Staje się zrzeszeniem ludzi, którzy mówią różnymi językami, a nawet mówiąc to samo, co innego mają na myśli. Bo jedni posługują się aparaturą marksistowską, inni socjaldemokratyczną, zdroworozsądkową, religijną. Tworzy się więc swoista wieża Babel, gdzie wszyscy chcą dobrze budować, ale każdy inaczej to rozumie, więc praca przy budowie się nie klei".

Doprowadzenie do sytuacji, by praca przy budowie polskiego socjalizmu ponownie „się kleiła", wymaga bezsprornie nie tylko doskonalszej sprawności i dyscypliny pracy wykonawczej, ale w równej — jeśli nie głównej — mierze głębszej i lepszej pracy teoretycznej. Przywrócenia masom robotniczym, ich partyjnej awangardzie znajomości prawideł zdefiniowanych przez naukowy socjalizm oraz umiejętności posługiwania się tą wiedzą dla rozpoznawania i projektowania naszych dalszych działań.

Tak więc, upartyjnianie partii, to (1) przywracanie jej prorobotniczej stronniczości, (2) przez dominację w jej składzie i aktywności najbardziej wyrobionych politycznie robotników, oraz (3) upowszechnienie znajomości i stosowania teorii marksistowsko-leninowskiej.

Tyle streszczenia głównego wątku książki, zawierającej istotne odpowiedzi na firmowe pytanie tego felietonu: którędy do przodu? Sądzę, że powyższą relację warto i trzeba uzupełnić o dodatkową refleksję. Otóż nie sposób przeoczyć, że publikowanie tej, a i innych podobnych w tonacji i treści książek i artykułów, jest nowym i dobrym obyczajem w naszym życiu publicznym. Odbiegającym jaskrawo od tradycyjnego już po uprzednich kryzysach nałogu szybkiego wygaszania krytycznego myślenia, zwłaszcza o politycznej sferze naszego życia. Praktyka dowiodła, że stanowiło to z reguły przejaw popadania ośrodków władzy w samozadufanie i arogancję, a zatem dowód zbaczania na drogę wiodącą niechybnie do następnego kryzysu. Tym bardziej więc niezbędna jest tym razem kontynuacja krytycznego myślenia — z niego bowiem tylko może wyrastać bardziej racjonalne działanie.

MARIUSZ GULCZYŃSKI ■

Wyboista droga do „M"

W lipcu ub. roku opublikowany został rządowy program rozwoju budownictwa mieszkaniowego do roku 1990, zakładający m. in. wybudowanie około 200 tysięcy mieszkań do końca bieżącej pięciolatki. Od chwili zapoznania społeczeństwa z założeniami i celami programu upłynęło zaledwie kilka miesięcy, a już — z dużą dozą prawdopodobieństwa — przypuszczać można, że i ta liczba, nie oznaczająca przecież zaspokojenia wszystkich potrzeb mieszkaniowych, jest zbyt duża w stosunku do realnych możliwości. Plan roku ubiegłego w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego nie został wykonany. Nie widać większego ożywienia we wszystkich dziedzinach przemysłu, produkującego na potrzeby budownictwa. Nowe zasady kredytowania i inne przepisy, mające spowodować wzrost inicjatywy własnej obywateli pragnących zapewnić sobie dach nad głową, wzbudziły duże zainteresowanie, ale efektów jeszcze nie przyniosły. Trudno oczekiwać w najbliższych latach cudu gospodarczego w jakiejkolwiek dziedzinie, a więc i w budownictwie mieszkaniowym. Wiadomo jednak, że jest to obok wyżywienia, jeden z najistotniejszych problemów społecznych do rozwiązania. Jak choćby w minimalnym stopniu przyczynić się do poprawy sytuacji, co zrobić, aby wzrosło tempo budownictwa mieszkaniowego, w jaki sposób wykorzystać i podzielić to, co już jest, aby zaspokoić oczekiwania możliwie największej liczby ludzi? Odpowiedzi na te pytania szukają obecnie niemal wszyscy, a więc nie tylko ludzie zawodowo związani z budownictwem i za jego rozwój odpowiedzialni, ale także władze terenowe, organizacje społeczne, zakłady pracy. Często próbujemy sformułować je także w rozmowach prywatnych, praktycznie bowiem każdy z nas ma w rodzinie lub

Temat na długie lata

wśród znajomych co najmniej jedną osobę starającą się o mieszkanie.

Temat jest rozważany i omawiany powszechnie, nie ominął więc także Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Organizacja ta bezpośredniego wpływu na rozwój budownictwa nie ma, ale dzięki znajomości potrzeb i oczekiwań społeczeństwa, może w przyszłości przyczynić się do podejmowania właściwych i ogólnie akceptowanych decyzji w tej mierze. Jak członkowie PRON widzą obecnie problem mieszkaniowy i perspektywy jego rozwiązania pytałam przedstawicieli dwóch zespołów Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON w Łodzi: Elżbietę Boborowską — przewodniczącą zespołu do spraw przestrzegania zasad sprawiedliwości społecznej, oraz Janusza Banasiaka, przewodniczącego zespołu do spraw inicjatyw społecznych.

WYBIERANIE MNIEJSZEGO ZŁA

„Zastanawiając się nad tematami, którymi powinniśmy zająć się przede wszystkim, zwróciliśmy się do społeczeństwa miasta Łodzi — mówi Elżbieta Boborowska. — Zgodnie z naszymi oczekiwaniami rozmówcy wytypowali trzy problemy: nadmierne i nieuzasadnione bogacenie się niektórych ludzi, sprawy związane z osobami uchylającymi się od pracy i właśnie mieszkania. Na początku grudnia ub. roku zespół nasz spotkał się z przedstawicielami władz miejskich i odpowiednich instytucji, którzy zapoznali nas szczegółowo z problemami budownictwa i gospodarki mieszkaniowej w Łodzi, zaprezentowali swój punkt widzenia i argumenty, przemawiające za taką polityką mieszkaniową, jaka jest na naszym terenie realizowana. Na spotkaniu tym powołana została także grupa robocza do opracowania wniosków w kwestii mieszkaniowej".

Na początku stycznia, w czasie kolejnego posiedzenia zespołu, wnioski zostały przyjęte, a następnie wysłane do prezydenta m. Łodzi i Zespołu Poselskiego. Pierwszy z nich dotyczy niewłaściwych, zdaniem członków zespołu, relacji między spółdzielnią mieszkaniową, a osobami, które po długim oczekiwaniu znalazły się w 1982 r. na liście przydziałów. Spora grupa tych osób mieszkań nie otrzymała, bowiem efekty budownictwa okazały się mniejsze od zakładanych. Obecnie weszły w życie nowe, wyższe ceny. Zespół do przestrzegania zasad sprawiedliwości społecznej stoi na stanowisku, że nie powinny one obowiązywać osób w stosunku do których spółdzielnia nie dotrzymała terminów przydziałów. Wpisanie na listę powinno być teraz i w przyszłości traktowane jako umowa między spółdzielnią, a jej członkami i wszelkie skutki, także finansowe, wynikające z jej niedotrzymania ponosić powinna właśnie spółdzielnia.

W czasie dyskusji nie sposób było pominąć omawiania działań na rzecz zwiększenia budownictwa mieszkaniowego, chociaż w zasadzie zagadnienia te wykraczają poza obszar zainteresowań zespołów. Uznając słuszność zakładanego w programie rządowym szybszego niż dotychczas tempa rozwoju budownictwa indywidualnego stwierdzono, iż decyzje o przydziale terenów pod ten rodzaj zabudowy powinny pozostać w gestii władz wojewódzkich. Istotną barierą hamującą budownictwo indywidualne, zwłaszcza w dużych miastach, jest brak powierzchni. Konieczność oczekiwania na decyzje ministra rolnictwa wydłuża czas pozyskiwania nowych terenów, a tym samym stanowi dodatkowy hamulec.

Za sprawę pilną uznana została konieczność przeprowadzenia przeglądu wolnych terenów, zwłaszcza uzbrojonych, które można by w najbliższym czasie przeznaczyć na działki budowlane. Kolejnym krokiem, który należy uczynić, jest dalsza zmiana zasady kredytowania zarówno osób fizycznych, jak i powstających zrzeszeń budowy domków. Chodzi zwłaszcza o pokrycie wysokich kosztów podłączenia domków do głównych urządzeń komunalnych. Następna sugestia, zawarta we wnioskach, dotyczy lepszego niż dotychczas wykorzystania fabryki domów jednorodzinnych oraz uruchomienia nieczynnych od dłuższego czasu cegielni.

Obok budownictwa indywidualnego drogą do zwiększenia ogólnej puli mieszkań jest budownictwo komunalne i zakładowe. W przypadku tego ostatniego również konieczna jest zmiana zasad kredytowania, a także sformułowanie przepisów, które zachęcałyby zakłady pracy do przejawiania zwiększonej aktywności i inicjatywy w tej dziedzinie. I wreszcie ostatni wniosek podkreśla konieczność prowadzenia rozsądnej gospodarki starą substancją mieszkaniową, ograniczenie wyburzeń do przypadków rzeczywiście niezbędnych.

Sformułowanie tych wniosków nie oznacza, że temat mieszkaniowy został przez PRON wyczerpany. „Uważamy — stwierdziła Elżbieta Boborowska — że istnieje potrzeba ciągłej analizy zmieniającej się sytuacji, ustawicznego formułowania wniosków, kierowania ich do władz i odpowiednich instytucji. Problem będzie istniał tak długo, jak długo mieszkań nie starczy dla wszystkich. Będzie on również pozostawał w sferze naszych zainteresowań. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że nie znajdziemy radykalnych rozwiązań. W najbliższych latach musimy działać jedynie na zasadzie wyboru mniejszego zła".

KONKRETNIE I BEZ ZBĘDNYCH SŁÓW

Od innej strony spojrzeli na sprawę mieszkaniową członkowie zespołu do spraw inicjatyw społecznych, którzy w efekcie zrezygnowali chwilowo z zajmowania się tym tematem. „Doszliśmy do wniosku — mówi Janusz Banasiak — że podejmując jakiś temat trzeba go drążyć tak długo, aż będą konkretne efekty. Zaczynać od dołu, nie zaś od haseł i deklaracji. Zapisywanie ton papieru i składanie obietnic to tylko niepotrzebne, pozorne działanie, które w rezultacie zraża ludzi nie tylko do jego autorów, ale także do władzy na wszystkich jej szczeblach. Tymczasem o mieszkaniach mówią już chyba wszyscy. Podkreślają, że trzeba zwiększyć tempo, zrobić to czy owo. I tylko mieszkań od tego mówienia nie przybywa. Moim zdaniem, powinniśmy zająć się sprawą dopiero po odpowiednim przygotowaniu, wtedy, gdy rzeczywiście będzie można coś osiągnąć".

Za jedną z ważniejszych dróg, w ramach przygotowania do takiego właśnie konkretnego działania, uznano wypracowanie dobrych metod współdziałania między PRON a radami na-

Foto: M. Zajdler

Jak kształtowała się polityka pokojowego współistnienia

Wojna i pokój to kluczowe kwestie stojące przed ludzkością. Rozwój nauki i techniki współczesnej epoki uczynił ten problem niezwykle ostrym, stwarzając alternatywę, której członem składowym jest istnienie naszej cywilizacji. Również praktyka polityczna minionych dziesięcioleci zweryfikowała tezę o konieczności pokojowego współistnienia i — co najważniejsze — potwierdziła w pełni jego możliwość. Prekursorską rolę w tej dziedzinie odegrała pokojowa polityka państwa radzieckiego, której zasady zostały oparte na dorobku myśli leninowskiej. Włodzimierz Lenin zapoczątkował w praktycznej działalności jej kształtowanie się.

WOJNA OBRONNA I REWOLUCYJNA

Problem stosunków między państwami o odmiennych ustrojach politycznych mógł pojawić się w myśli marksistowskiej przy założeniu, że przejście od ustroju kapitalistycznego do socjalistycznego nie nastąpi w drodze wszechświatowej rewolucji, lecz w ciągu długotrwałego procesu historycznego, w trakcie którego, z konieczności, będą musiały istnieć obok siebie państwa o odmiennych ustrojach politycznych.

Tezę tę sformułował W. Lenin jeszcze przed zwycięstwem rewolucji w Rosji, w artykule publicystycznym z 1915 r. pt. „O haśle Stanów Zjednoczonych Europy". Pisał w nim: *nierównomierność rozwoju ekonomicznego i politycznego — oto bezwzględne prawo kapitalizmu. Stąd wynika, że możliwe jest zwycięstwo socjalizmu początkowo w niewielu lub nawet w jednym, z osobna wziętym kraju kapitalistycznym*". Myśl tę rozwinął następnie w innych pracach, m.in. w pracy z wiosny 1916 r. „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu" i późniejszej, z września tego roku: „Program wojenny rewolucji proletariackiej".

Wysunięcie tezy leninowskiej o możliwości zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju miało istotne konsekwencje teoretyczne i praktyczne dla rozwoju myśli rewolucyjnej w ogóle. W efekcie nastąpiło bowiem nie tylko odrzucenie wizji powszechnej, żywiołowej rewolucji socjalistycznej, która miałaby nastąpić po gwałtownym załamaniu się osłabionego kryzysami kapitalizmu, ale przede wszystkim leninowska teza uświadomiła teoretykom ruchu rewolucyjnego bogaty katalog problemów, nie tylko wewnętrznych, ale i zewnętrznych, z jakimi spotka się proletariat kraju, który przeprowadzi rewolucję.

Jednym z tych problemów o znaczeniu podstawowym była konieczność określenia właściwego stosunku do wojen. Chodziło w nim przede wszystkim o określenie ich charakteru i istoty w zależności od ich przyczyn, celów i skutków. Problematyka ta nie była, rzecz jasna, obca ideologii marksistowskiej. Rozważał o tym K. Marks, który zdawał sobie sprawę z tego, jaką rolę w historii ludzkości odgrywały wojny, powstania zbrojne czy użycie siły. Podkreślał on często, że wprawdzie ukształtowanie nowych form ustrojowych było najczęściej poprzedzane aktami zbrojnych wystąpień, ale równocześnie porównywał zastosowanie przemocy do „bólów porodowych", które zwykle zwiastują narodziny nowego organizmu, lecz ich nie powodują. Marks i Engels uważali użycie siły za pochodną i konsekwencję oporu burżuazji, a nie za cel sam w sobie.

Włodzimierz Lenin nie odrzucił tych poglądów. W polemice ze stanowiskiem zachodnich socjaldemokratów w sprawie wojny światowej przypomniał niemal zapomniane wówczas stwierdzenie Fryderyka Engelsa z jego listu do K. Kautsky'ego z 12 września 1882 r., mówiące o możliwości prowadzenia *„wojen obronnych"* przez zwycięski już socjalizm. Przywołując tę myśl Lenin przypomniał, że Engels zakładał potrzebę obrony zdobyczy rewolucji przez proletariat przed agresją ze strony burżuazji innych krajów. Oznaczało to również, że tym samym dopuszczał możliwość dokonania rewolucji w określonej grupie państw lub w jednym kraju, skoro mówił o konieczności prowadzenia wojny obronnej.

Dokonując analizy charakteru wojen Lenin dowodził, że *„socjaliści nigdy nie byli i nie mogą być przeciwnikami wojen rewolucyjnych"*, tzn. wojen prowadzonych przeciwko burżuazji państw imperialistycznych, wojen przeciwko uciskowi narodowemu. *„Negowanie wszelkiej możliwości wojen narodowych w epoce imperializmu* — twierdził on — *jest teoretycznie niesłuszne, historycznie wyraźnie błędne, praktycznie zaś równoznaczne z europejskim szowinizmem... W każdym społeczeństwie klasowym wojny domowe stanowią naturalny, w pewnych warunkach, nieunikniony dalszy ciąg, rozwinięcie i zaostrzenie walki klasowej (...) Odrzucać wojny domowe lub zapominać o nich — znaczyłoby wpaść w krańcowy oportunizm i wyrzec się rewolucji socjalistycznej"*.

Stosując konsekwentnie kryterium klasowe w analizie charakteru wojen i dopuszczając możliwość zwycięstwa socjalizmu w jednym lub kilku krajach Włodzimierz Lenin stwierdził dalej: *„Rozwój kapitalizmu w różnych krajach odbywa się w najwyższym stopniu nierównomiernie... Stąd nieodzowny wniosek: socjalizm nie może zwyciężyć równocześnie we wszystkich krajach. Zwycięży on początkowo w jednym lub kilku krajach, pozostałe zaś w ciągu pewnego czasu pozostaną burżuazyjnymi lub przedburżuazyjnymi. Będzie to musiało wywołać nie tylko tarcia, lecz również bezpośrednie dążenia burżuazji innych krajów do rozgromienia zwycięskiego państwa socjalistycznego. W takich wypadkach wojna z naszej strony byłaby uprawniona i sprawiedliwa. Byłaby to wojna o socjalizm, o wyzwolenie innych ludów spod jarzma burżuazji... Dopiero wówczas, gdy obalimy, ostatecznie zwyciężymy i wywłaszczymy burżuazję na całym świecie, a nie tylko w jednym kraju, wojny staną się niemożliwe"*.

W taki oto sposób Lenin przeciwstawiał się lansowanym wówczas przez zachodnią socjaldemokrację postulatom *„obrony ojczyzny"*, hasłom jedności narodowej i pokoju klasowego, które oceniał bezpardonowo jako *„zwykłe oszustwo polityczne, jako próbę oszukiwania mas ludowych przez ukrywanie grabieżczych celów wojny pod płaszczykiem ideologii narodowowyzwoleńczej"*, określając ten kierunek mianem socjalpatriotyzmu lub socjalszowinizmu.

Wyprowadzone z analizy wydarzeń wojennych wnioski Włodzimierza Lenina wkrótce stały się podstawą dla sformułowań programowych partii bolszewickiej. W słynnych „Tezach Kwietniowych" z 1917 r. Lenin dowodził, iż warunkiem pozwalającym masom zrozumieć rzeczywisty charakter Rządu Tymczasowego w Rosji jest uświadomienie im jego stosunku do toczącej się wojny. Wojna prowadzona przez ten rząd jest w dalszym ciągu *„łupieżczą wojną imperialistyczną na skutek kapitalistycznego charakteru tego rządu"*. Rząd Tymczasowy jest więc rządem burżuazyjnym, który w żadnym wypadku nie opuści szeregów walczących w wojnie państw i nie zaspokoi żądań mas pracujących. Dlatego zadanie bolszewików winno się sprowadzać do tego, aby szerokim masom *„wobec oszukiwania ich przez burżuazję (...) szczególnie gruntownie, uporczywie, cierpliwe wyjaśniać ich błąd, wskazywać na nierozerwalny związek kapitału z wojną imperialistyczną"*. W przemówieniu wygłoszonym na I Zjeździe Rad Delegatów Robotniczych (czerwiec 1917 r.) kontynuował tę myśl, podkreślając, że *„wojnę określa to, jaką klasa ją prowadzi"* i że *„wojny nie można zakończyć inaczej, jak tylko przez dalszy rozwój rewolucji"*, w wyniku której proletariat mógłby zaproponować pokój. Równocześnie jednak Lenin nie wykluczał sytuacji, w której proletariat musiałby prowadzić wojnę rewolucyjną w obronie zdobyczy rewolucji.

Poglądy Lenina wyrażone w „Tezach Kwietniowych" i innych wystąpieniach nie zostały automatycznie zaakceptowane przez wszystkich czołowych działaczy partii bolszewickiej. W trakcie obrad VII Ogólnorosyjskiej Konferencji SDPRR(b) (koniec kwietnia 1917 r.) część działaczy na czele z A. Rykowem i L. Kamieniewem zanegowała możliwość zwycięstwa rewolucji w kraju tak zacofanym jak Rosja, twierdząc, że musi się ona rozpocząć w państwach najwyżej rozwiniętych i przerodzić się w rewolucję międzynarodową. W dyskusji Rykow twierdził: *„inicjatywa przewrotu socjalistycznego nie należy do nas. Nie mamy do tego ani sił, ani środków"*.

Również na VI Zjeździe partii (lipiec — sierpień) część działaczy z M. Bucharinem i J. Preobrażeńskim na czele uzależniała sukces rewolucji rosyjskiej od postępu sytuacji rewolucyjnej w wysoko rozwiniętych krajach Europy Zachodniej. Bucharin wprost domagał się *„proklamowania wojny rewolucyjnej"* i twierdził: *„Taką wojną będziemy rozpalać pożar światowej rewolucji. Jedynym rzeczywiście demokratycznym wyjściem (...) jest międzynarodowa rewolucja proletariacka bez względu na to, ile ofiar by nas kosztowała"*.

POKÓJ BEZ ANEKSJI I KONTRYBUCJI

Zwycięstwo październikowego powstania zbrojnego w Piotrogrodzie i zdobycie władzy przez zbolszewizowane Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich potwierdziło słuszność leninowskiej tezy w sprawie możliwości zwycięstwa socjalizmu w jednym kraju. Przed rewolucyjną władzą stanęły natychmiast problemy i zadania, których rozwiązanie decydowało o przyszłości nowego państwa. Jednym z nich był upragniony pokój. Już w „Tezach Kwietniowych" Lenin podkreślał, że właśnie pokój będzie pierwszą i główną rzeczą, którą Rosja zaofiaruje światu po rewolucji. Zgodnie z tą zapowiedzią jednym z pierwszych postanowień nowej władzy było zwrócenie się przez II Zjazd Rad z wezwaniem do narodów biorących udział w wojnie o natychmiastowe rozpoczęcie rokowań w celu zawarcia demokratycznego pokoju — *„bez aneksji i bez kontrybucji"*. Również jednym z pierwszych aktów prawnych władzy radzieckiej był słynny „Dekret o pokoju". Rozpoczął się więc okres twardej i konsekwentnej walki młodej republiki radzieckiej o wprowadzenie w życie nowych zasad układania stosunków międzynarodowych.

Już w toku dyskusji na II Zjeździe Rad wyłonił się problem, w jakich formach i w oparciu o jakie zasady młoda władza radziecka winna kształtować swe stosunki z otaczającym ją wrogim światem kapitalistycznym. W przemówieniu końcowym w sprawie referatu o pokoju, podkreślając konieczność anulowania wszelkich tajnych umów rządu carskiego, których przedmiotem były postanowienia dotyczące aneksji — Lenin zwracał równocześnie uwagę, że nie należy odrzucać tych, *„w których zawarte są warunki dobrych stosunków sąsiedzkich i konwencji gospodarczych"*. Przekonuje to — naszym zdaniem — o zamiarach przywódcy rewolucji ułożenia tych stosunków na zasadach dobrosąsiedzkiej współpracy i utrzymywania kontaktów handlowych, co należy uznać za przejaw niesprecyzowanego jeszcze, ale wyraźnie rysującego się modelu pokojowego współistnienia.

Żywotnie ważna dla rewolucji kwestia wyprowadzenia Rosji z wojny i zawarcia pokoju nie była sprawą prostą i oczywistą. Trudności nie wynikały tylko i wyłącznie z trudnego do przewidzenia stanowiska przeciwników i niedawnych sojuszników. Problem wojny i pokoju miał stać się niebawem przedmiotem zaciekłej dyskusji w łonie partii bolszewickiej.

Istota sporu sprowadzała się do alternatywy: czy należy zdecydować się na zawarcie odrębnego, ciężkiego pokoju z imperializmem niemieckim i austro-węgierskim, mimo iż pokój ten byłby ze strony przeciwnika grabieżczy i niesprawiedliwy, czy też należy taki pokój odrzucić i prowadzić dalej wojnę rewolucyjną, dążąc do obalenia imperialistycznych rządów i rozszerzenia rewolucji. Stanowisko swoje Lenin przedstawił w „Tezach w sprawie niezwłocznego zawarcia odrębnego i aneksjonistycznego pokoju": *„Przy wszelkim określeniu międzynarodowych zadań naszej władzy radzieckiej za punkt wyjścia musi być przyjęty stan rewolucji socjalistycznej w Rosji"*.

Ponieważ nie można było dokładnie ustalić momentu wybuchu rewolucji w Europie Zachodniej, a możliwości prowadzenia rokowań w Brześciu Litewskim praktycznie wyczerpały się, jak również ze względu na brak materialnych sił do prowadzenia wojny przeciwko agresorom, jedynym wyjściem realnym dla młodej republiki radzieckiej było podpisanie niekorzystnego, aneksjonistycznego pokoju. W ten sposób — twierdził Lenin — *„uwalniamy się w największym możliwym w obecnej chwili stopniu"* od wojny, *„wykorzystujemy zyskując pewien okres, w ciągu którego będziemy mieli rozwiązane ręce, dla rozwijania i utrwalania rewolucji socjalistycznej"* lub *„chociażby dla przetrwania jej w jednym kraju do czasu, póki nie przyłączą się inne kraje"*.

Lenin przeanalizował szczegółowo argumenty przeciwników zawarcia pokoju i wykazał, że w wypadku kontynuowania wojny nieuniknione klęski zmuszą Rosję do podpisania jeszcze bardziej niekorzystnego pokoju. Ogromne niebezpieczeństwo wojny rewolucyjnej w tych warunkach polegało na tym, dowodził Włodzimierz Lenin, że wojenne klęski mogą doprowadzić do utraty władzy przez proletariat. *„... Niezmiernie wyczerpana wojną armia chłopska* — pisał — *już po pierwszych klęskach prawdopodobnie nawet nie w ciągu miesięcy, lecz w ciągu tygodni, obali rząd robotniczy"*.

Przedstawione stanowisko Lenina w kwestii wojny rewolucyjnej dotyczyło więc bardzo konkretnej sytuacji, w jakiej tkwiła Rosja i nie było — wydaje się — odrzuceniem w ogóle idei wojny rewolucyjnej, której celem byłoby obalenie burżuazji w innych krajach. Sprawą pierwszoplanową było przekonanie partii i mas o konieczności doprowadzenia do zawarcia pokoju, w praktyce na każdych warunkach. Sprawa jednak nie była prosta. Hasło wojny rewolucyjnej cieszyło się bowiem znaczną popularnością wśród działaczy partyjnych i w niektórych środowiskach robotniczych. Przykładowo, w trakcie narady członków KC partii z 8 stycznia 1918 r., podczas której Lenin referował swoje stanowisko w sprawie pokoju, odezwały się takie oto głosy: *„Jestem za zerwaniem rokowań i za stanem wojny domowej na froncie"* — mówił N. Osiński. Popierał go Preobrażeński: *„Kompromisowe wyjście jest niedopuszczalne"*. Zdecydowanie krańcowo występowała Jakowlewa: *„Zginiemy z honorem i z wysoko rozwiniętym sztandarem... Wszystko, żeby rozgorzała międzynarodowa rewolucja w Europie"*.

Emocje i zniecierpliwienie dawały o sobie znać z coraz większą siłą. Wkrótce doszło do niemal otwartego konfliktu wewnątrz partii. Moskiewskie Biuro Obwodowe w rezolucji z 24 lutego 1918 r. odmówiło podporządkowania się postanowieniom KC w sprawie wprowadzenia w życie umowy pokojowej z państwami centralnymi. W dokumencie twierdzono wprost, że główne zadanie to rozpowszechnienie *„idei rewolucji socjalistycznej w innych krajach"*, proponując w ten sposób w miejsce pokoju prowadzenie wojny rewolucyjnej.

CZY REWOLUCJĘ MOŻNA PRZYSPIESZYĆ?

Sytuacja stawała się więc bardzo poważna. Zdeterminowana postawa wielu poważnych działaczy partyjnych i ich bezgraniczna wiara w łatwość rozprzestrzeniania się pożaru rewolucji na inne kraje Europy, wynikająca z powszechnego przeceniania stopnia rozwoju sytuacji rewolucyjnej na Zachodzie — wszystko to groziło poważnymi następstwami dla powodzenia rewolucji w Rosji. Włodzimierz Lenin przestrzegał przed zbytnim entuzjazmem dla idei powszechnej rewolucji europejskiej, a tym bardziej przed zamiarem jej swoistego „przyspieszenia": *„próba przeniesienia taktyki października* — pisał — *zastosowana wewnątrz jednego kraju (...) przeniesienia jej za pomocą naszej fantazji na bieg wypadków rewolucji światowej — próba ta skazana jest na niepowodzenie"*.

W tym niewątpliwie trudnym dla partii bolszewickiej momencie z przeciwnymi koncepcjami wystąpiła grupa tzw. „lewicowych komunistów", do której zaliczali się: Bucharin, Bubnow, Łomow, Osiński, Preobrażeński, Piatakow, Radek i in. Punktem wyjścia w ich rozumowaniu była teza, że bez natychmiastowego poparcia zachodnioeuropejskiej rewolucji socjalistycznej rewolucja w Rosji upadnie. Broniąc hasła *„wojny rewolucyjnej"* głosili oni pogląd, że nie istnieje problem niebezpieczeństwa ataku niemieckiego, ponieważ na zapleczu armii przeciwnika natychmiast wybuchnie rewolucja. *„Jeśli zaś rewolucja w Niemczech opóźni się, to internacjonalistycznym obowiązkiem jest przyspieszenie jej rozwoju naszą walką, tym bardziej, że bez poparcia światowej rewolucji socjalistycznej proletariat Rosji nie utrzyma się"*. A tak generalnie rzecz biorąc — głosili oni — walka między Radziecką Rosją a otoczeniem imperialistycznym jest nieuchronna, bowiem międzynarodowy kapitalizm nie pogodzi się z istnieniem pierwszego państwa robotniczego. Dlatego też jedynym wyjściem jest natychmiastowa walka rewolucyjna z burżuazją niemiecką.

Pozornie odrębne stanowisko zajmował Lew Trocki, który już w czasie obrad II Zjazdu Rad mówił: *„Jeżeli zrewoltowane ludy Europy nie zmiażdżą imperializmu, zostaniemy zmiażdżeni my — to nie ulega wątpliwości. Albo rewolucja rosyjska rozpęta burzę walki na Zachodzie, albo kapitaliści wszystkich krajów zduszą naszą rewolucję"*. W trudnym okresie leninowskiej walki o zawarcie pokoju Trocki z uporem bronił propozycji: ogłosić wojnę za zakończoną, zdemobilizować armię, lecz nie podpisywać pokoju. — Wszystko zgodnie z wysuniętym przez siebie hasłem: *„Ani wojny, ani pokoju"*. *„Wojna rewolucyjna* — głosił *— jest niemożliwa. Jeżeli wojna rewolucyjna, zostaniemy obaleni, to jasne jak słońce"*.

Był więc Trocki jak gdyby przeciwnikiem *„wojny rewolucyjnej"* motywując jednak swe stanowisko innymi, niż Lenin argumentami. Jego propozycja wynikała w sposób organiczny z teorii *„permanentnej rewolucji"*, z tego, że nie dostrzegał on w samej Rosji sił, które byłyby zdolne doprowadzić rewolucję socjalistyczną do zwycięskiego końca. Uważał on, że jedynie natychmiastowa rewolucja w głównych państwach kapitalistycznych Europy zapewni zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Rosji. Hasło Trockiego *„ani pokoju, ani wojny"* traktowane na zasadzie *„internacjonalistycznej demonstracji politycznej"* winno doprowadzić do zaostrzenia kryzysu politycznego w Niemczech i wystąpienia proletariatu niemieckiego przeciwko rządowi. W takich zaś warunkach ofensywa armii niemieckiej będzie po prostu niemożliwa, a przynajmniej utrudniona.

W końcu lutego 1918 r. w „Prawdzie" ukazał się artykuł Lenina „O frazesie rewolucyjnym" wymierzony w doktrynerską postawę przeciwników zawarcia pokoju w tragicznej, w sensie militarnym, sytuacji Rosji. Czytamy w nim: *„Należy walczyć z rewolucyjnym frazesem, trzeba walczyć, koniecznie walczyć, aby nie powiedziano o nas kiedyś gorzkiej prawdy: rewolucyjny frazes o rewolucyjnej wojnie zgubił rewolucję"*.

W toku ostrej polemiki, przy maksymalnym zaangażowaniu autorytetu Lenina, który zagroził wystąpieniem z kierownictwa partii i rządu w razie nieprzyjęcia warunków pokoju, Komitet Centralny siedmioma głosami przeciwko czterem, przy czterech wstrzymujących się, zaakceptował leninowską linię polityczną. Porażką „lewicowych komunistów" i grupy Trockiego zakończyły się również obrady VII Nadzwyczajnego Zjazdu RKP(b). Mimo prób zablokowania przez opozycję procedury ratyfikacyjnej układu pokojowego, większością głosów (734 głosy „za" na 1232 delegatów) przyjęto uchwałę potwierdzającą leninowską tezę.

W okresie ogromnych trudności spowodowanych wojną domową i interwencją zewnętrzną, w niekorzystnej dla Rosji Radzieckiej sytuacji międzynarodowej (odpływ fali rewolucyjnej na Zachodzie), w atmosferze wkradających się w szeregi partii nastrojów pesymistycznych, następowało stopniowe odradzanie się myśli trockistowskiej, której centralnym ogniwem — tym, co miało uratować rewolucję rosyjską — stała się podnoszona już poprzednio przez „lewicowych komunistów" koncepcja wojny rewolucyjnej. Trocki nadał jej wyraźny charakter eksportu rewolucji. W rozszerzaniu rewolucji szczególną rolę przypisywał Armii Czerwonej, dopuszczając tym samym myśl o zaczepnej wojnie rewolucyjnej. *„Zrodziła się chęć* — pisał Trocki w swojej autobiografii — *przekształcenia wojny, która początkowo nosiła charakter obronny, w zaczepną wojnę rewolucyjną"*.

Biorąc pod uwagę oczywistą przeciwstawność koncepcji *„zaczepnej wojny rewolucyjnej"* i idei *„pokoju bez aneksji i bez kontrybucji"* dostrzegamy jak wielkiego, teoretycznego i praktycznego znaczenia nabierała leninowska krytyka hasła wojny rewolucyjnej. Krytyka ta opierała się na następujących argumentach:

1. Całkowicie należy odrzucić pogląd jakoby interesy rewolucji międzynarodowej nie pozwoliły państwu radzieckiemu zawrzeć traktatu pokojowego, lub szerzej ujmując, zawierać jakichkolwiek umów z rządami kapitalistycznymi. Lenin po prostu wyśmiewa tego rodzaju rozumowanie stwierdzając: *„z punktu widzenia podobnych poglądów Republika Socjalistyczna, istniejąc wśród mocarstw imperialistycznych nie mogłaby zawierać żadnych umów ekonomicznych, nie mogłaby istnieć, nie przenosząc się na księżyc"*;

2. Należy również odrzucić pogląd jakoby interesy rewolucji międzynarodowej wymagały *„popychania"* jej na drogę wojny, ponieważ pokój mógłby wywrzeć na masach wrażenie *„uprawnienia"* imperializmu. Stanowisko takie — twierdził Lenin — sprzeczne jest z marksizmem, który zawsze odrzucał *„popychanie rewolucji rozwijających się w miarę dojrzewania ostrych przeciwieństw klasowych powodujących rewolucję"*.

PODSTAWY KONCEPCJI POKOJOWEGO WSPÓŁISTNIENIA

W rozstrzyganiu problemu — pokój czy wojna rewolucyjna — Lenin jak widać nie przedstawił (ponieważ w ówczesnych warunkach było to niemożliwe i prawdopodobnie niepotrzebne) pełnej, rozwiniętej koncepcji pokojowego współistnienia w formule przyjętej dzisiaj powszechnie w praktyce polityki międzynarodowej państw o odmiennych ustrojach społeczno-politycznych. Samo jednak wprowadzenie w życie zasady mówiącej o możliwości i potrzebie pokojowego ułożenia stosunków państw o przeciwstawnych ustrojach pociągnęło za sobą zajęcie określonego stanowiska przez Rosję Radziecką w sprawie zawierania i dotrzymywania umów międzynarodowych między takimi państwami. Był to bowiem problem o podstawowym znaczeniu. Przestrzeganie umów międzynarodowych jest przecież koniecznym warunkiem pokoju i rozwoju stosunków pokojowych, przede wszystkim gospodarczych między państwami o różnych ustrojach politycznych.

Wypracowanie teoretycznych założeń pokojowego współistnienia przez przywódcę partii bolszewickiej miało ogromne znaczenie w pierwszych latach polityki zagranicznej państwa radzieckiego. Wyciągając z nich praktyczne wnioski kierownictwo polityczne młodej republiki potrafiło wyprowadzić ją z izolacji politycznej i blokady ekonomicznej. Jak pamiętamy już w 1920 r. Rosja Radziecka zawarła układy pokojowe z państwami nadbałtyckimi. W 1921 r. nastąpiło podpisanie szeregu umów i układów handlowych między państwem radzieckim a państwami kapitalistycznymi, co miało istotne znaczenie nie tylko gospodarcze, ale również polityczne. Oznaczało to bowiem de facto uznanie rządu radzieckiego.

Efekt tej sytuacji ocenił w 1921 r. Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych G. Cziczerin, mówiąc: *„Sama rzeczywistość doprowadziła nas i inne państwa do konieczności nawiązania długotrwałych stosunków między rządem robotniczo-chłopskim a rządami kapitalistycznymi. Te długotrwałe stosunki są nam narzucone przez rzeczywistość ekonomiczną. Rzeczywistość ekonomiczna wymaga wymiany towarów, nawiązania stałych, uregulowanych stosunków z całym światem; ta sama rzeczywistość ekonomiczna wymaga tego od innych rządów, niezależnie od tego z jaką nienawiścią ustosunkowują się one do naszego ustroju. Nasze hasło było i pozostało to samo: pokojowe współistnienie z innymi rządami, niezależnie od tego, jakie one są"*.

PAWEŁ CHMIELEWSKI

Dokończenie ze strony 4

rodowymi. Mają one, jako władza terenowa, możliwość podjęcia odpowiednich uchwał, a także wyegzekwowania ich realizacji od administracji i odpowiednich instytucji. Nikt rozsądny nie oczekuje oczywiście, że same rady narodowe w sposób bezpośredni przyczynią się do polepszenia sytuacji mieszkaniowej. Mogą jednak rozpisać wynikające z uchwał zadania w dół, aż po samorządy mieszkańców. A na dole już teraz można zająć się sprawami drobnymi, a jednak ważnymi krok po kroku realizować znane już hasła, których nie da się wprowadzić w życie całościowo i odgórnie.

Do haseł takich należy m. in. zagospodarowanie na cele mieszkalne strychów. Idea ta powstała kilka miesięcy temu, w ramach OKON. Zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodych rodzin, jest duże. Powstało jednak szereg problemów, które wymagają szybkiego rozwiązania, niekiedy także regulacji prawnej. Dotychczas nie wiadomo, jaki status zyskuje człowiek, który kosztem kilkuset tysięcy złotych dostosuje strych do swoich potrzeb. Czy staje się on członkiem spółdzielni, do której należał blok, jest tylko lokatorem, czy też właścicielem powstałego w ten sposób mieszkania? Dużym utrudnieniem jest konieczność rozpoczynania działania od uzyskania zgody wszystkich lokatorów budynku. W przypadku starego budownictwa komunalnego sprawa jest nieco mniej skomplikowana. W blokach spółdzielczych wystarczy natomiast złośliwość jednego tylko lokatora, aby pomieszczenie od lat nie użytkowane, nadal pozostało puste. Mogłyby w tym pomóc samorządy mieszkańców, wyręczając chętnych do zamieszkania na strychu w przekonywaniu lokatorów budynku. Jedną z barier jest w tym przypadku także brak niezbędnych do adaptacji wnętrza materiałów i urządzeń. Co sprytniejsi poradzą sobie w sposób sprzeczny z kodeksem karnym, ale przecież nie o to chodzi. Nie powinny istnieć przepisy skłaniające do tego rodzaju działań.

Temat na długie lata

W remoncie strychów pomogłyby swym pracownikom zakłady pracy. Ale i tu na przeszkodzie stoi brak odpowiednich przepisów. Wydaje się, że dobrym rozwiązaniem byłoby przekazanie takiego mieszkania na własność zakładu i traktowania jako lokalu rotacyjnego dla pracowników oczekujących w spółdzielczej kolejce.

Podobnie wiele wątpliwości budzi modne hasło o rozwój budownictwa indywidualnego. Skąd wziąć materiały — czy mają „przeciekać" z dużych placów budowy? Kto właściwie ma działkę otrzymać, czy ten, kto nie ma mieszkania w ogóle, czy ten, który chce tylko poprawić swoje warunki mieszkaniowe? Argument, że po wybudowaniu domku wyprowadzi się i zwolni lokal, nie sprawdza się w praktyce. W mieszkaniu zostają przeważnie dzieci, które w czasie budowy zdążyły dorosnąć, lub też jest ono w jakiś inny sposób nadal zajęte. Może warto by zmienić przepisy tak, aby pozwalały na budowę dużego domu, od zaraz lub etapami, w miarę dorastania dzieci, ale za to bezwzględnie zmuszały do zwolnienia dotychczasowego mieszkania i nieubiegania się o inne?

Wiadomo, że chętnych do budowania własnych domów jest więcej, niż powierzchni przewidzianej pod ten rodzaj zabudowy. Tymczasem w centrum miasta, na terenach uzbrojonych lub w bezpośredniej ich bliskości powstały ogródki działkowe. Trudno być przeciwnikiem takiej formy rekreacji, ale ogródki mogą równie dobrze powstać na obrzeżach aglomeracji, a tereny położone bliżej centrum lepiej byłoby wykorzystać pod budownictwo jednorodzinne, a nawet wysokie, bowiem w niektórych przypadkach i takie możliwości istnieją. Warto więc rozważyć lokalizację działek. I tu także, podobnie jak przy zagospodarowywaniu strychów, otwiera się pole do działania dla samorządów mieszkańców i rad narodowych podstawowych szczebli.

To tylko kilka przykładów spraw, których realizacja mogłaby w jakimś stopniu przyczynić się do zaspokojenia głodu mieszkaniowego. „My, członkowie PRON, nie jesteśmy w stanie zmienić istniejących przepisów, usunąć barier — mówi Janusz Banasiak. — O wiele więcej może tu władza — właśnie rady narodowe. Dlatego też chcemy współpracować z nimi bardzo ściśle, przekazywać głos ludzi z dołu, z którymi spotykamy się w miejscu pracy czy zamieszkania. Tak widzę naszą rolę, nie zaś w ciągłym omawianiu tematu. Ponadto wydaje mi się, że w tej powszechnej dyskusji o mieszkaniach zbyt słabo i za rzadko słychać najbardziej zainteresowanych. Na wszelkich naradach spotykają się kierownicy rozmaitych instytucji i przedstawiciele organizacji, którzy mieszkania już mają. Bez złej woli mogą oni patrzeć na sprawę inaczej, niż ten, co dziesięć lat czeka, lub bezskutecznie stara się o materiały na budowę. Niech oni mówią i dyskutują, a ci pozostali, którzy na rozwiązanie problemu mają jakikolwiek wpływ, niech słuchają ich uwag i pracują. Szybko, konkretnie i bez zbędnych deklaracji".

Zaprezentowałam dwa odmienne nieco punkty widzenia jednego z najistotniejszych społecznych problemów. Być może wydadzą się one bardzo rozbieżne. Jest to jednak rozbieżność pozorna. Łączy je bowiem cel, którym jest zapewnienie najbardziej potrzebującym, a w dalszej perspektywie wszystkim podstawowego dobra, jakim jest mieszkanie. Głosy przedstawicieli PRON nie wyczerpują, oczywiście, tematu, który będzie nas wszystkich interesował jeszcze co najmniej kilkanaście lat. W następnych publikacjach postaram się pokazać, jak widzą problem dysponenci mieszkań i ludzie oczekujący na nie, ci, którzy decydują o polityce budowlanej oraz jej realizatorzy. Chętnie także opublikujemy lub w inny sposób wykorzystamy listy czytelników, którzy zechcą się podzielić z nami uwagami, bądź zaproponują bardziej szczegółowe zagadnienia związane z tematem budownictwa mieszkaniowego.

TERESA JERZYKOWSKA

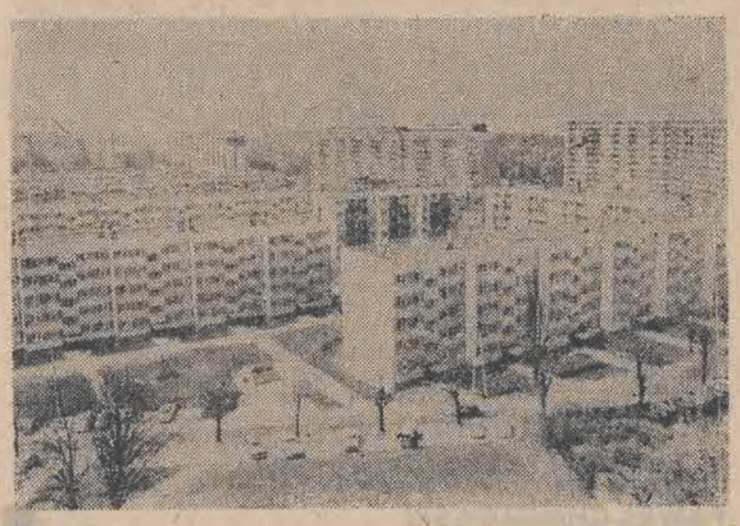

Foto: M. Zajdler

Pasjonat opoczyński

MACIEJ WYSOCKI

W opoczyńskim Domu Kultury czynna jest wystawa obrazująca życie i twórczość *BOLESŁAWA WOJEWÓDZKIEGO*, regionalnego poety, prozaika i działacza kulturalnego, który przed czterdziestoma laty poświęcił się bez reszty temu miastu.

Bolesław Wojewódzki nie urodził się w Opocznie, tylko w Łodzi i początkowo nic nie wskazywało na to, że związe z Opocznem całe swoje dojrzałe życie. W młodości przebywał raczej w dużych miastach; kilka lat studiował pedagogikę w Warszawie, wcześniej ukończył Seminarium Nauczycielskie w Tomaszowie i wydawało się, że właśnie Tomaszów pozostanie na zawsze głównym terenem działania młodego „profesora". Uczył tu kilka lat języka polskiego w szkole podstawowej.

— *Jak właściwie trafił pan do Opoczna?*

— Ano — mówi Wojewódzki — przyszła wojna, a w czasie wojny los rzuca człowiekiem po świecie. Uciekłem z Warszawy. Jako aktywny członek PPS musiałem się ukrywać. Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym najlepiej służyć Ojczyźnie, to znaczy: walczyć z Niemcami. Uważam, że ci, którzy prowadzili w czasie okupacji komplety tajnego nauczania, byli takimi samymi bohaterami, jak ci, co trzymali broń w ręku. Moim orężem była polszczyzna i wspaniała historia naszego narodu. Kiedy w 1940 roku znalazłem się w Opocznie, szybko zrozumiałem, że mógłbym wiele zrobić, aby młodzież nie zapomniała ojczystej mowy i ojczystych tradycji. Przyjdzie taki czas, myślałem, że Polsce potrzebni będą młodzi, wykształceni ludzie, toteż całym sercem oddałem się tajnemu nauczaniu. Nie poprzestając zresztą na języku polskim i historii... Uczyłem również matematyki i fizyki. Wpajałem w młode umysły miłość i szacunek do cierpiącego kraju.

— *Miał pan jakieś przygody?*

— To, co spotyka człowieka w czasie wojny, trudno nazwać przygodą. W każdym razie — moje komplety prowadziłem tak ostrożnie i sprytnie, że nigdy nie udało się Niemcom przyłapać ani mnie, ani moich uczniów, którym zabraniałem notować cokolwiek na lekcjach. Nie mieli przy sobie żadnych książek polskich, żadnych zeszytów; zmuszałem ich do pamięciowego wyłącznie przyswajania materiału; każdy z nich, na wypadek kontroli, trzymał w ręku niemiecki śpiewnik. Pan mówi o przygodach. Cała rodzina była w partyzantce. W 1941 roku hitlerowcy rozstrzelali mojego stryja, Fabiana Wojewódzkiego, a w 1942 — czterech jego synów: Henryka, Romana, Tadeusza i Janusza. Stryj był dowódcą kompanii, śmierć jego przeżyłem bardzo boleśnie...

— *Miał pan poza tym jakichś krewnych?*

— Owszem. Miałem i mam liczną rodzinę w Łodzi. Ale przeżycia wojenne tak mocno związały mnie z regionem opoczyńskim, że nie potrafiłem się już od niego oderwać. Wrosłem, jak to się mówi, w teren, przyzwyczaiłem się do tutejszych obyczajów i kultury, które pokochałem całym sercem. Byłem tu potrzebny.

— *Po wyzwoleniu sprawował pan w Opocznie wiele odpowiedzialnych funkcji.*

— Tak. Byłem starostą i wicestarostą. Organizowałem, jako kierownik Wydziału Kultury, tak zwane życie duchowe i artystyczne, festiwale folklorystyczne, które przeistoczyły się z czasem w Dni Folkloru Opoczyńskiego, imprezę szeroko znaną w Polsce. Powstało też z mojej inicjatywy szereg zespołów ludowych, chociażby Tramblanka czy Opocznianka, które czerpiąc natchnienie z kultury i tradycji tej ziemi, zdobyły sobie dużą popularność.

— *Co uważa pan za największy sukces swojej działalności w Opocznie?*

— Czy ja wiem? Bardzo przywiązany jestem do swoich książek, swojej prozy poezji i publicystyki. Jak pan widzi — Wojewódzki pokazuje obrazy zdobiące ściany jego niewielkiego blokowego mieszkania — zajmuje się także malarstwem. O! To jest mój „Pejzaż Opoczyński", to „Kościół w Żarnowie" tu ma pan „Portret Drwala" a tu „Portret Wnuczki". Popełniłem również kilka autoportretów. Nie wiem jednakże, czy mam prawo sądzić, iż to właśnie moja własna twórczość artystyczna jest moim życiowym sukcesem. No bo przecież poza książkami i obrazami pozostawiam po sobie inne jeszcze wartości.

— *Ma pan na myśli Opoczyński Dom Kultury?*

— Nie tylko. Również Muzeum Ziemi Opoczyńskiej, mieszczące się w Zamku Kazimierza Wielkiego, a także pomnik Włodzimierza Perzyńskiego, głośnego w okresie międzywojennym dramaturga, który urodził się w tym miasteczku.

Opoczyński Dom Kultury, który oddany został społeczeństwu kilka lat temu, robi imponujące wrażenie, i to nawet na przybyszu z wielkiego miasta. Zbudowany ze smakiem i rozmachem, ma dużą salę widowiskową, przyjemną kawiarnię oraz dużo rozmaitych pracowni, gdzie młodzież może rozwijać swoje artystyczne i naukowe zamiłowania.

Przed Domem stoi ogromna, sugestywna rzeźba przedstawiająca Pegaza. Fronton budynku wyłożony jest kolorową mozaiką; znajdziesz na nim również tablicę informującą, że patronuje mu związany z tymi stronami Tadeusz Sygietyński, znakomity twórca „Mazowsza".

Prawdę mówiąc, Opoczyński Dom Kultury jest tak okazały, że kontrastuje nieco z innymi budynkami miasta, na niekorzyść tych ostatnich, oczywiście.

— *Jak to możliwe, że mogliście coś takiego wybudować?*

Bolesław Wojewódzki uśmiecha się z zadowoleniem:

— Jeśli człowiek gorąco czegoś pragnie, wszystko staje się możliwe.

— *No dobrze, ale skąd pieniądze?*

— Z datków. Jako kierownik Wydziału Kultury nie ograniczałem się do siedzenia za biurkiem, lecz chodziłem po różnych instytucjach, przekonywałem, agitowałem, zbierałem grosz do grosza. Dawały duże sklepy, spożywcze i konfekcyjne, dawały tutejsze fabryki, takie na przykład Zakłady Materiałów Ogniotrwałych, Zakłady Ceramiczne, Opocznianka, która produkuje piękne tkaniny folklorystyczne. Prywatni ludzie także dawali, wierząc, że w ostatecznym rachunku musi się to opłacić. W ten sposób mogłem zamówić u architekta projekt Domu i pojechać do Warszawy z gotową dokumentacją, a pan wie... kiedy przedstawia się konkretny projekt, za którym, siłą rzeczy, kryją się konkretne pieniądze, decydenci również zaczynają rozmawiać z człowiekiem w sposób konkretny.

— *Zgodzili się zatem?*

— No... sam pan widzi.

— *Ten Pegaz również jest z datków?*

— Nie. Postawił go z własnej inicjatywy naczelnik miasta.

Kilka lat wcześniej, w 1976 roku, długotrwałe starania Bolesława Wojewódzkiego doprowadziły również do powstania Muzeum Ziemi Opoczyńskiej, które mieści się w Zamku Kazimierza Wielkiego.

— Najtrudniej było pozyskać Zamek do tych właśnie celów, no i wyremontować go. Niech pan wierzy, prawdziwa batalia! Teraz za to mamy pewność, że jedno zapewnia azyl drugiemu, jedno broni drugie przed niewczesnymi zakusami, dzięki czemu przetrwa i Muzeum, i Zamek.

— *Słyszałem, że nim wprowadził pan eksponaty muzealne do Zamku, przez długi czas trzymał je pan pod własnym dachem.*

— Dużo w tym prawdy. Widzi pan... istniało wtedy Towarzystwo Przyjaciół Muzeum...

— *Również, rzecz jasna, powołane przez pana?...*

— Między innymi... i członkowie Towarzystwa zdobywali, gdzie się tylko dało, wartościowe przedmioty, związane z kulturą tej ziemi, z historią, sztuką i rolnictwem. Gdzieś trzeba było je przechować, tak, aby nie uległy zniszczeniu, no więc ludzie zaczynali przynosić je na wszelki wypadek do mnie, nie tyle do domu, co do pracy. Trzymałem je w swoim gabinecie kierownika Wydziału Kultury, a także w innych pomieszczeniach.

— *Jednym słowem, znowu postawił pan władze przed faktem dokonanym, skoro bowiem było już tyle eksponatów, nie wypadało odmówić im godnego siedliska.*

— O to chodzi. Muzeum, choć niedostępne jeszcze zwiedzającym, powstało na długo przed jego oficjalnym otwarciem w Zamku. Niech pan pomyśli — od samej tylko mojej przyjaciółki, Marii Wąsowicz-Sopoćko, zdobyłem dla nowej placówki ponad trzysta obrazów, akwareli.

— *Czy istnieje jeszcze Towarzystwo Przyjaciół Muzeum?*

— Nie. Przekształciliśmy je w Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Opoczyńskiej, które troszczy się o całą kulturę naszego regionu.

●●●

Bolesław Wojewódzki, jego pasja i praca, zostały docenione. Otrzymał najwyższe odznaczenia państwowe: Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Kawalerski oraz cały szereg innych honorowych odznak, na które ze wszech miar zasłużył.

Słusznie pisze o nim Jerzy Kisson-Jaszczyński w „Tygodniku Piotrkowskim":

„Gdziekolwiek w Opocznie staniemy, dostrzega się wkład żarliwej działalności społecznikowskiej Bolesława Wojewódzkiego. (...) Przykład, jak wiele może jeden człowiek. I jeżeli dziś przeżywamy w naszym kraju porę apatii, zniechęcenia, często marazmu — podumajmy nad czterema dziesięcioleciami społecznikowskiej i twórczej pracy Bolesława Wojewódzkiego. On powiada z całą konsekwencją, że WARTO BYŁO. Ci, którzy towarzyszyli mu w jego dziele, mówią to samo".

W jednej z sal Domu Kultury czynna jest obecnie wystawa publicystycznej, społecznej i literackiej twórczości Bolesława Wojewódzkiego. Wożna zapomniała ją wprawdzie otworzyć z klucza, bo to nie ma zwiedzających i w ogóle... ale... ale sędziwy jubilat nie przejmuje się tym specjalnie. Taki przecież los działaczy. Dopóki mają władzę na urzędach, kłaniamy się im z drugiej strony ulicy, kiedy przechodzą w stan zasłużonego spoczynku, gotowi jesteśmy o nich zapomnieć.

— *Jest pan zadowolony z życia?*

— Tak.

— *Znają pana ludzie?*

— Oczywiście.

— *Ciągle jeszcze przecież zostaje panu twórczość, literatura, malarstwo...*

— Zdrowie, na nieszczęście, nie to...

Uśmiecha się. Bez zgorzknienia. Ma poczucie swojej wartości. Wie, że pozostaną po nim rzeczy, niezależnie od ludzkiej pamięci. Bo tak najczęściej jest w życiu. Kiedyś tam, za sto lat, ktoś wstawi się za nim, osad czasu odda mu sprawiedliwość.

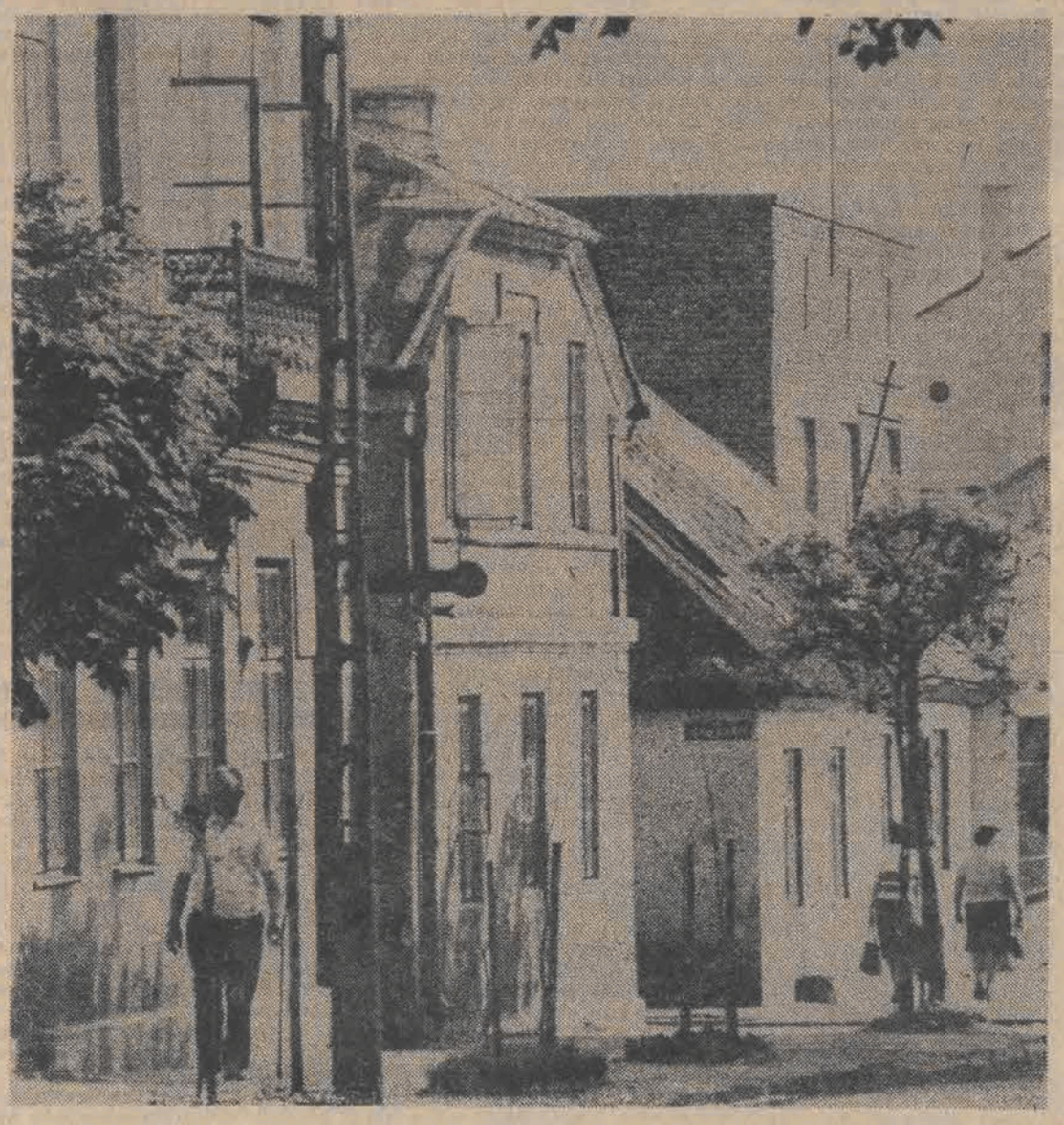

Foto: M. Zajdler

Pod wiatr

Dokończenie ze strony 1

firmy produkującej wiatraki. Prace konstrukcyjne i montażowe trwały 2 lata, a w połowie 1939 roku z wiatraka popłynął pierwszy prąd. Gdyby nie tragiczne wydarzenia września, najpóźniej za rok produkcja silników ruszyłaby na dobre. Były już nawet gotowe prototypy odlewów. Niestety... Poza tym — co tu dużo mówić — pierwszy wiatrak nie wytrzymał próby czasu. Nie wszystko było tak proste, jak się na początku Rynkowskiemu wydawało. Ale to tylko wzmogło jeszcze jego zainteresowanie problemem i upór.

Pomysł wykorzystania siły wiatru nie był ani nowy, ani oryginalny. Pierwsze wiatraki pojawiły się w Europie prawdopodobnie już w XII wieku, a niektórzy twierdzą nawet, że w Azji znane były jeszcze wcześniej. Na naszych ziemiach szczytowy okres ich stosowania przypada na wiek XIX. Aleksander Tyszkiewicz pisał w książce pt.: „Silnice wiatrowe", wydanej u Gebethnera i Wolfa w 1906 roku: *„W Królestwie Polskim używano przeważnie wiatraków formy holenderskiej i dziś widać dość znaczną ich ilość w okolicach Warszawy. W guberniach południowych, na Wołyniu i w Kijowszczyźnie budują podług staroniemieckiego systemu... (...). Po wielu wsiach widać ich po 30 i więcej, prawie wyłącznie należących do włościan".*

Ale wiek XIX okazał się równocześnie schyłkiem popularności wiatraków. Świat zachłystywał się już nowymi źródłami energii: najpierw — parą, potem — elektrycznością. Szybko jednak zorientowano się, że prąd otrzymać można także z wiatru. W wielu krajach zaczęto budować małe i większe elektrownie wiatrowe. W Polsce — raczej rzadko, choć np. IKC reklamuje szeroko w 1934 roku *„Silnik wiatrowy za 25 zł! do wytwarzania elektryczności"*, dając w dwóch numerach dokładny opis jego budowy i rady dla konstruktorów — amatorów.

Henryk Rynkowski nie przypomina sobie tych artykułów. Nie, chyba ich nie czytał, tak jak i książki A. Tyszkiewicza. Zgromadził za to sporo obcojęzycznej literatury fachowej, zaczął eksperymentować, ciągle ulepszając swoje konstrukcje. Można powiedzieć, że przez całą wojnę żył wiatrakami i z wiatraków. Zbudował ich wówczas chyba ze 40. Nabywcami byli okoliczni chłopi, ale niektóre trafiały też w inne strony kraju, pracując jeszcze długo po wojnie.

Oprócz wiatraków robił w swoim warsztacie wozy ogumione, remontował maszyny rolnicze, a także — broń. To właśnie w jego domu Armia Krajowa miała swój arsenał. Hitlerowcy kilkakrotnie przeprowadzali rewizje, ale niczego nie mogli znaleźć i Henryk Rynkowski szczęśliwie uniknął aresztowania, a prawdopodobnie i śmierci.

Aresztowany po wyzwoleniu, tak jak wielu żołnierzy i oficerów AK. Z braku dowodów został jednak po paru miesiącach zwolniony. Wrócił do pracy w warsztacie, do silników motocyklowych. I wydawać by się mogło, że dalej będzie już stereotyp: wnuki, ciepłe pantofle, ogródek... Cisza i spokój, monotonia szarych dni. Nic z tego. Los nie jest, niestety, sprawiedliwy: jednym skąpi, innym daje w nadmiarze. A może to wcale nie jest tak? Może po prostu nie wszyscy potrafimy stawić czoła jego wyzwaniu? Za bardzo boimy się porażki, aby wierzyć w zwycięstwo?

Pewnego dnia pod dom Henryka Rynkowskiego zajechał samochód, z którego wysiadło dwóch eleganckich mężczyzn. Zobaczyli z drogi wiatrak i chcieliby go dokładnie obejrzeć.

— Aha, średnica śmigła 3,5 m. Prądnica osadzona na szczycie wieży. Przy 150 obrotach na minutę daje 1 kW prądu stałego o napięciu 24 V. A gdy wiatr nie wieje? No, oczywiście — akumulatory. I do czego wykorzystujecie ten prąd?

— Oświetla mi mieszkanie, zasila pompę do wody i maszyny w warsztacie...

— Słuchajcie, organizujemy w Częstochowie wystawę rolniczą. Będzie tam pokazana wzorcowa zagroda chłopska. Gdybyście tak wyposażyli ją w taki sam wiatrak? Czy wiecie, jaka to szansa dla naszego rolnictwa? To jest oficjalna propozycja — jestem dyrektorem departamentu w Ministerstwie Rolnictwa.

— A ja — dyrektorem wystawy.

Henryk Rynkowski długo się wahał. W końcu dał się przekonać i pojechał do Częstochowy pod tym jednak warunkiem, że organizatorzy zachowają jego nazwisko w tajemnicy.

Na miejscu okazało się, że wzorcową zagrodę wzniesiono wśród dużych drzew, co sprawiło sporo kłopotu, jako że wiatrak musiał mieć dużo większą wysokość niż przewidywano, a poza tym pod Jasną Górą wiatr był raczej słabiutki, więc akumulatory trzeba było doładowywać nocą z sieci. Ale nie to było najgorsze. Oto wyszło na jaw, kto jest konstruktorem wiatraka i gdzie mieszka. Adres poszedł w Polskę i już wkrótce do Głowna zaczęły napływać z całego kraju dziesiątki listów od rolników z prośbą o zrobienie i sprzedanie im elektrowni wiatrowej. Był to koniec lat 40, elektryfikacja wsi dopiero się zaczynała, i na wiatraki było rzeczywiście duże zapotrzebowanie społeczne. Ale jak tu je produkować, skoro nie ma z czego? Skąd miał wziąć materiały prywatny wytwórca — w tamtych czasach? Nie mogę, nie mam możliwości, bardzo mi przykro — odpowiadał więc Rynkowski, powoli żałując, że dał się namówić panom dyrektorom, których, nawiasem mówiąc, wkrótce zdjęto ze stanowisk, m. in. właśnie za pokazanie wzorcowego indywidualnego gospodarstwa rolnego. To nie ten model miał przecież obowiązywać na polskiej wsi.

Dziś mówimy spokojnie: okres błędów i wypaczeń. Ale wtedy? Ileż tragicznych pomyłek popełniono? Co czuł Henryk Rynkowski powtórnie aresztowany w 1950 roku, słuchając wyroku skazującego go na 15 lat pozbawienia wolności?

Tak o'o zamiast smakować owoców wieku dojrzałego w kręgu rodziny, znalazł się w rawickim więzieniu. Warunki były tam straszliwe: brudne, nie ogrzewane cele, podłe wyżywienie... Jak je sobie poprawić? Był pewien sposób – gdyby tak dostał pozwolenie na pisanie jakiejś pracy naukowej... Łatwo powiedzieć. Trzeba by do samego Bieruta. Pojechał syn, przedstawił sytuację, poprosił, i pozwolenie dla ojca dostał.

Tematem pracy były oczywiście siłownie wiatrowe. Komendant więzienia wysłał trzy cienkie zeszyty z jej konspektem do Ministerstwa Górnictwa i Energetyki, gdzie trafiły do rąk inż. Wacława Jagodzińskiego. Ten wydał pozytywną opinię, a komendant stwierdził: może pisać.

Przypadek Rynkowskiego nie był wcale wyjątkowy. Wielu więźniów pracowało wtedy naukowo, a w Warszawie, w gmachu dawnego Monopolu Tytoniowego stworzono nawet więzienne biuro projektów. Pracowali w nim architekci, mechanicy, elektrycy, odsiadujący wyroki przeważnie za przestępstwa gospodarcze. Stworzono im całkiem znośne warunki. Projektowali m. in. budynki rządowe oraz rezydencje dla różnych dostojników. Do tego też więzienia trafił wkrótce Henryk Rynkowski — powiedzmy otwarcie — trochę dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności. Mimo tragicznego położenia, los znów okazał się dlań łaskawy.

W 1952 roku do Rawicza przyjechał na wizytację więzienia inspektor ze stolicy. Dowiedziawszy się, że jeden z więźniów pisze pracę naukową, zapytał, jak mu to idzie.

— Jak krew z nosa — odpowiedział Rynkowski. — W takich warunkach...

— A za co siedzicie?

— Za broń.

— Kiedy?

— W czasie okupacji.

— To pewno byliście w AK?

— Tak. Ale ja wtedy jeszcze gorsze rzeczy robiłem...

— No... — zainteresował się inspektor, którego rysy i charakterystyczny akcent wyraźnie zdradzały pochodzenie.

— Ukrywałem przed Niemcami pewnego Żyda. Uciekł z warszawskiego getta. Nazywał się Jabłoński i był laryngologiem.

— Jabłoński, mówicie, lekarz z Warszawy... Tak, znam... Słuchajcie, a jak byście czegoś potrzebowali, to dajcie mi znać, dobrze?

Niedługo potem Rynkowski był już w stolicy, gdzie po Rawiczu czuł się prawie jak w raju. Czego mógł jeszcze oczekiwać? Na co liczyć? Chyba tylko na cud, czyli kolejny szczęśliwy, choć tym razem już wręcz niewiarygodny zbieg okoliczności. I choć trudno może uwierzyć, cud się zdarzył. Oto bowiem wchodząc do gabinetu lekarza więziennego, stanął Rynkowski na wprost swego podopiecznego z czasów okupacji. Podobno mężczyźni nigdy nie płaczą, ale to nieprawda. Są takie chwile... Nie musieli zbyt dużo sobie wyjaśniać, o nic się prosić. Wszystko było jasne. Więzień Rynkowski natychmiast bardzo podupadł na zdrowiu. Wykryto w nim tyle chorób, że konieczne stało się leczenie szpitalne, a potem półroczny urlop zdrowotny. Zbliżał się już Październik.

Rynkowski pracę napisał. W maszynopisie liczyła ponad 200 stron i była niewątpliwe najobszerniejszym dziełem w języku polskim na temat siłowni wiatrowych. Państwowe Wydawnictwa Techniczne zawiadomiły autora, że praca uzyskała pozytywne recenzje i niedługo ukaże się drukiem. Próżno by jednak jej szukać w największych nawet bibliotekach. W katalogach pod nazwiskiem: Henryk Rynkowski znaleźć dziś można tylko cienką książeczkę, wydaną w 1958 roku przez Państwowe Wydawnictwa Rolnicze i Leśne, a będącą popularnonaukowym skrótem książki napisanej w więzieniu. Nic więcej.

Znana za to jest dobrze publikacja Wacława Jagodzińskiego — „Silniki wiatrowe" (PWT Warszawa 1959) — do chwili obecnej jedyna monografia z tej dziedziny w polskiej literaturze technicznej. Gdy porównać teksty prac Rynkowskiego i Jagodzińskiego, już na pierwszy rzut oka widać zaskakujące podobieństwo — zbyt duże, by można mówić o przypadkowej zbieżności. A zatem nic innego, tylko...

Foto: M. Zajdler

Kiedy Henryk Rynkowski otrzymał list z PWT, zgłosił się do wydawcy z prośbą o zaświadczenie, że jego praca zostanie opublikowana.

— A po co to panu? — zapytał redaktor.

— Muszę je przedstawić władzom więziennym. To dla mnie bardzo ważne. Jestem teraz na urlopie zdrowotnym...

— Co?! Pan jest więźniem? W takim razie niech pan nie liczy na żadne zaświadczenie, bo niczego nie będziemy panu drukować. Do widzenia!

W Ministerstwie Górnictwa i Energetyki odnalazł Rynkowski Wacława Jagodzińskiego. Po bliższym poznaniu, które było początkiem ich wieloletniej przyjaźni i współpracy, zaproponował mu wydanie swojej książki pod jego nazwiskiem. W końcu nie o osobę autora przecież chodzi, ale o treść. A treść była dobra.

Oddajmy jednak tutaj sprawiedliwość Wacławowi Jagodzińskiemu, który również interesował się wykorzystaniem energii wiatru. W swoim przydomowym ogrodzie, w Grodzisku Maz. — podobnie jak Rynkowski — zbudował wiatrak, tyle że oparty na innym pomyśle konstrukcyjnym. Eksperymentował też z akumulatorami, jako że był nie tylko mechanikiem, ale i chemikiem. Wniósł więc niewątpliwie do książki swój oryginalny wkład. Wacław Jagodziński już nie żyje i tylko Henryk Rynkowski mógłby odsłonić resztę tajemnicy „Silników wiatrowych". Ale czy to dziś ważne? Po tylu latach?...

W pewnym sensie książki podobne są do ludzi. Niektóre, z pozoru obojętne niczym szary przechodzień, kryją wpisane między wiersze drobniutkiego druku, swoje wielkie tajemnice. Tylko nieliczni mają okazję je poznać.

W maju 1958 roku „Głos Robotniczy" w artykule pod obiecującym tytułem „Elektrownie poruszane siłą wiatru budują w SZM w Łowiczu", informuje swoich czytelników, że Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy w Łodzi podjął decyzję o produkcji siłowni wiatrowych w Spółdzielczych Zakładach Metalowych w Łowiczu. Wykonano dwa prototypy: o mocy 200 W (koszt budowy ok. 8 tys. zł) i 600 W (ok. 13 tys. zł). Przy seryjnej produkcji koszty powinny być o 30—40 proc. mniejsze. Konstruktorem siłowni jest — jak łatwo się domyślić — Henryk Rynkowski z Głowna.

Więc nareszcie sukces?

Poprzedni zarząd doprowadził spółdzielnię do bankructwa i bank wstrzymywał się z udzieleniem 600 tys. zł kredytu na uruchomienie seryjnej produkcji elektrowni wiatrowych. Bez kredytu zdołano wyprodukować zaledwie 10 sztuk. Cały wysiłek poszedł na marne.

W tym czasie Henryk Rynkowski działał już aktywnie w Komisji Energetyki Wiatrowej przy Stowarzyszeniu Elektryków Polskich, do której wprowadził go Jagodziński. Komisja istniała od 1954 roku i to właśnie przy jej poparciu próbowano produkować wiatraki w Łowiczu. Do połowy lat 60 członkowie KEW spotkali się co najmniej sto razy, analizując wyniki badań naukowych w kraju i za granicą oraz wielokrotnie podkreślając potrzebę rozwijania w Polsce energetyki wiatrowej. Elektryfikacja kraju była przecież bardzo kosztowna i prawie wszędzie tam, gdzie występowały trudności z doprowadzeniem linii energetycznej, z powodzeniem mogła ją zastąpić niewielka elektrownia wiatrowa. Dotyczyło to przede wszystkim województw północnych, gdzie liczba dni wietrznych jest największa i dochodzi np. na Wybrzeżu do ponad 300 w ciągu roku. Poza tym elektrownie wiatrowe pracują prawie za darmo i nie zanieczyszczają środowiska naturalnego.

W listopadzie 1964 roku odbyła się w Warszawie II Krajowa Narada Energetyki Wiatrowej, w której wzięło udział ponad 50 uczestników z całego kraju oraz goście z Węgier. Punkt 6 protokołu z tej narady mówił m. in., że *„uznaje się za celowe przekazanie do seryjnej produkcji jednego typu polskiego małej elektrowni wiatrowej (wg. wypróbowanego prototypu o mocy rzędu 0,5 — 1 kW)..."*

Pokaz działnia owego prototypu przeprowadzono w lipcu 1966 roku u Henryka Rynkowskiego. Przybyła specjalna komisja złożona z przedstawicieli Komisji Energetyki Wiatrowej przy SEP, CRS „Samopomoc Chłopska", Ministerstwa Rolnictwa oraz Ministerstwa Górnictwa i Energetyki, pozytywnie oceniając dzieło konstruktora z Głowna. Przez parę godzin było dużo szumu, dużo pięknych słów, po czym nastąpiła paromiesięczna cisza. Przerwał ją dopiero Rynkowski, wysyłając listy do Państwowego Inspektoratu Gospodarki Paliwowo-Energetycznej, Ministerstwa Rolnictwa i Stowarzyszenia Elektryków Polskich — z ofertą podjęcia produkcji elektrowni wiatrowych według jego projektu. Departament Mechanizacji i Elektryfikacji Ministerstwa Rolnictwa przesłał list konstruktora z Głowna do Zjednoczenia Elektryfikacji Rolnictwa z prośbą o (sic!) wykazanie zainteresowania. Zjednoczenie zaś odesłało list z powrotem, oświadczając, że nie zajmuje się elektrowniami wiatrowymi, więc nic ich to nie obchodzi.

Henryk Rynkowski ma dziś 90 lat i życiorys, którym można by obdzielić kilku ludzi. O swoich przeżyciach opowiada spokojnie, bez emocji, bez żalu do całego świata. Dobrze poznał życie z tej dobrej i tej złej strony. Dał z siebie tyle, ile tylko mógł i nie oczekuje za to hołdów dziękczynnych, wysokich odznaczeń państwowych, ani łatwej popularności.

Z wiatrakami Henryk Rynkowski rozstał się na dobre ponad 10 lat temu, kiedy do jego domu doprowadzono elektryczność. Sprzedał wtedy swoją główną siłownię inż. Józefowi Wysockiemu z Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Warszawie, który niejako od nowa rozwinął tam prace konstrukcyjne, krocząc śladami Wacława Jagodzińskiego, Henryka Rynkowskiego, Mikołaja Łatyszewa, Stanisława Radczuka i wielu innych konstruktorów. Żadnemu z jego poprzedników nie udało się osiągnąć pełnego sukcesu. Kończyło się na wydaniu książki, kilku artykułach w prasie specjalistycznej, uzyskaniu patentu. Henryk Rynkowski za swoje osiągnięcia — jakby na otarcie łez — dostał w styczniu 1968 roku wyróżnienie na III Krajowym Konkursie Oszczędności Paliw i Energii. Prototyp elektrowni wiatrowej, który dwa lata wcześniej tak pozytywnie oceniała wysoka komisja, zamiast do seryjnej produkcji, trafił do właściciela willi pod Zgierzem, gdzie ponoć do obecnej chwili pracuje. Rynkowskiemu pozostał maszynopis jego nie wydanej książki, trochę pożółkłych już fotografii, parę listów i — wspomnienia.

Tak można by zakończyć opowieść o Henryku Rynkowskim — zapomnianym dziś już zupełnie konstruktorze wiatraków z Głowna. Ale jest jeszcze inny Henryk Rynkowski — badacz dziejów swego miasta, autor unikalnej książki „Z dziejów miasta Głowna 1427 — 1977". Dlaczego unikalnej? Bo jedynej na ten temat. Bo choć napisanej przez amatora, to jednak spełniającej wszelkie wymagania monografii historycznej. Przygotowywana z okazji 550-lecia Głowna — niejako na społeczne zamówienie jego mieszkańców — podobnie jak pierwsza książka o wiatrakach, nie doczekała się publikacji, choć i tym razem wszystko było już na dobrej drodze.

Jak przyjął to autor? Normalnie — w charakterystyczny dla siebie sposób: zabrał się do pisania obszerniejszej wersji dziejów miasta, którą niedawno ukończył. Teraz pracuje nad... A nie, nie, to sekret, na razie nie ma jeszcze o czym mówić. Dopiero zaczyna.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kronika kulturalna

20 GRUDNIA ub. roku minister kultury i sztuki ogłosił decyzję prezesa Rady Ministrów PRL o powołaniu do życia, zgodnie z ustawą z 4 maja 1982 roku — Narodowej Rady Kultury. Pierwsze posiedzenie Rady odbyło się 24 bm., o godzinie 12, w Zamku Królewskim w Warszawie. Przewodniczącym Rady jest **Bogdan Suchodolski** — profesor, pedagog, historyk i teoretyk kultury. Członkami zostali m. in.: **Wacław Biliński** — pisarz, **Wiesław Garboliński** — artysta malarz, **Irena Kik** — choreograf, kierownik amatorskiego zespołu artystycznego w Zakładach im. J. Marchlewskiego, **Henryk Kluba** — reżyser filmowy, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej, **Teresa May-Czyżowska** — śpiewaczka, solistka Teatru Wielkiego i **Jakub Wujek** — architekt.

WYTWÓRNIA Filmów Oświatowych przygotowuje dwa obrazy poświęcone 300 rocznicy wiedeńskiej odsieczy. **Stanisław Janicki** pracuje nad filmem dokumentalnym dla kin **„Rzeczpospolita Jana III"**, a **Lucyna Smolińska** i **Mieczysław Sroka** robią film dla Tv polskiej i austriackiej — **„Na odsiecz Wiedniowi 1683"**.

W dniach 24—25 stycznia, w gmachu Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi trwała **sesja** archeologiczna pt. **„Badanie wykopaliskowe łódzkiego ośrodka archeologicznego a muzeów Polski Środkowej w latach 1981—1982"**. Sesja połączona była z otwarciem wystawy pod tym samym tytułem.

TEATR WIELKI przygotowuje dla łódzkiej publiczności nowy spektakl. Tym razem będzie to „Żydówka" Jacquesa Halevy. Premiera 5 lutego.

DZIELNICOWY Dom Kultury **„Rondo"** zaprasza miłośników poezji na Wieczór Trzech Muz, na którym prezentowana będzie twórczość **Andrzeja Łuczkowskiego.** Spotkanie odbędzie się w dniu 27 bm.

W Dzielnicowym Domu Kultury **„Dedek"** (ul. Armii Czerwonej 77), w galerii **„Miraż"** oglądać można wystawę grafiki **Marka Gajewskiego** (studenta V roku PWSSP). Ta sama galeria jest również organizatorem wystawy grafiki **Jerzego Nowaka,** także studenta V roku PWSSP. Ekspozycję oglądać można w sali USC Łódź-Widzew.

JURY nagród „Polityki" 1982 przyznało nagrody za książki o tematyce historycznej, wydane w latach 1980 i 1982. W dziedzinie prac naukowych oraz popularnonaukowych wyróżniono najwyżej książki **Andrzeja Paczkowskiego „Prasa polska w latach 1918—1939"** oraz **Romana Wapińskiego „Narodowa Demokracja 1893—1939. Ze studiów nad dziejami myśli nacjonalistycznej"**. Ponadto w tej samej dziedzinie przyznano nagrody za książkę **Ireny Kobderowej „Socjalno-Rewolucyjna Partia Proletariat 1882—1886"** oraz **Michała Śliwy „Myśl polityczna Mieczysława Niedziałkowskiego"**. W dziedzinie wydawnictw źródłowych nagrodzono zespół w składzie: **Halina Janowska, Tadeusz Jędruszczak, Halina Kiepurska, Maria Nowak-Kiełbikowa, Irena Spustek i Andrzej Zakrzewski za „Powstanie Drugiej Rzeczypospolitej. Wybór dokumentów 1866—1925"** oraz **Rutę Sakowską** za książkę **„Archiwum Ringelbauma, Getto warszawskie, lipiec 1942 — styczeń 1943"**. Przyznano również nagrodę „za wysiłek dokumentacyjny" **Piotrowi Stachiewiczowi,** autorowi książki **„Parasol". Dzieje oddziału do zadań specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej".** W dziedzinie pamiętników i wspomnień nagrodę otrzymał **Stanisław Jankowski „Agaton"** za książkę **„Z fałszywym** [illegible] **w prawdziwej Warszawie. Wspomnienia 1939—1946"**, a także **Adam Bień** za książkę **„Bóg wysoko, dom daleko. Obrazy przeszłości 1900—1920".**

SCENA Prezentacji, występująca gościnnie w Teatrze Buffo, przygotowuje pierwszą w tym sezonie premierę. Będzie to **„Szklana menażeria" Tenessee Williamsa.** Spektakl reżyseruje **Romuald Szejd,** scenografię zaprojektował **Marek Stajewski.** Grają: **Mirosława Dubrawska, Joanna Żółkowska, Tomasz Stockinger i Karol Strasburger.**

Spękane od gorąca wargi, język przysychający do podniebienia, w ustach mdły posmak pyłu. Pić, och, pić!

Awaria samochodu zaskoczyła nas przed południem na odcinku drogi, gdzie słońce prażyło bezlitośnie. Nie było w pobliżu drzew ani zarośli. Jedyny skąpy skrawek cienia padał od unieruchomionego samochodu, przy którym męczył się szofer Hiep. Jak na złość tym razem stary, wysłużony „gazik" odmówił posłuszeństwa z dala od ludzkich siedzib. Wodę do chłodzenia przegrzanego silnika czerpało się z pobliskiego rowu. Nie było jednak czym zaspokoić pragnienia, które wzrastało z każdą chwilą. Przewidując znacznie wcześniejszy przyjazd do wyznaczonego miasteczka beztrosko opróżniliśmy po drodze całą zawartość butelek i termosów, co do kropli. Przeklinając teraz własną lekkomyślność, patrzyliśmy tępo w przestrzeń drgającą upałem, podczas gdy kierowca z raczej nieudolną pomocą „kapitana" mozolił się przy rozgrzebanym samochodzie.

Nagle stał się cud. Krótki warkot świadczył, że coś się dzieje. Wstałam ociężale i okrążywszy samochód, stwierdziłam, że silnik „zaskoczył". Dobre i to. Benzyna cuchnęła jednak niemiłosiernie, potęgując ból głowy, spowodowany upałem. Oczy piekły mocno, mimo ciemnych okularów. Przy każdym ruchu ociekamy potem. Pragnienie dokuczało coraz bardziej.

Ponad godzinę trwała jeszcze żmudna dłubanina we wnętrznościach samochodu, zanim Hiep zdołał uruchomić go na dobre. Oby tylko nie „wysiadł" ponownie! Jechaliśmy przez najgorsze piekło południowego upału, drogą pustą jak wymiótł, prowadzącą przez bezludzie na próżno upatrując jakiegokolwiek domostwa, gdzie można by znaleźć trochę przegotowanej wody.

Samotna chata pojawiła się przy drodze, do wsi odległej — wedle zapewnień Hiepa — jeszcze o przeszło półtora kilometra. Stary człowiek, obudzony z drzemki, wytrzeszczył oczy na mój widok. Skrzypiącym głosem jął wypytywać, czy jestem Francuzką czy Rosjanką? Nic mnie tym razem nie obchodziły takie indagacje. Marzyłam o paru kroplach jakiegokolwiek płynu nadającego się do wypicia. W Indochinach, jak wszędzie w tropiku, obowiązuje jednak żelazna zasada zdrowotna: wolno pić tylko wodę przegotowaną. Surowa grozi bowiem amebą lub innym chorobowym świństwem. Wiedziałam z własnych doświadczeń, że najłatwiej popaść w konflikt z własnym żołądkiem, jeśli wypije się „niepewną" wodę. Przypominałam sobie o tym, jak przez mgłę, opanowując pokusę, aby nie sięgnąć do wiadra, stojącego tuż obok studni...

Staruszek zakrzątnął się przy palenisku, rozdmuchując ogieniek. Postawił nad płomieniem obtłuczony czajnik, potem znikł. Urzeczona wizją wrzątku, którym wkrótce można będzie zalać garstkę herbacianych listków, siedziałam przez chwilę z przymkniętymi oczami, nie troszcząc się nawet o wytarcie zgrzanej twarzy, po której wciąż spływał pot wymieszany z kurzem. Nagle usłyszałam cichy szelest. Coś okrągłego przetoczyło się po glinianej polepie, trącając moje kolana. Oszołomił mnie widok ciężkiej kuli o zielonkawej gładkiej skórce, miejscami poznaczonej cienką, szarą smugą. Co to? Arbuz! Najprawdziwszy arbuz!

Starzec na widok mojego zdziwienia śmiał się z niespodzianki. Za chwilę kroiliśmy dojrzały owoc na spore kawałki, dzieląc się nimi sprawiedliwie. Różowy miąższ, pachniał aromatem świeżości i obficie ociekał sokiem. Nigdy ten owoc nie smakował mi tak bardzo, jak w tej małej, przydrożnej chacie, w niemiłosiernym upale witnamskiego lipca.

Stary człowiek przyglądał nam się z uśmiechem pełnym zadowolenia. Coś zagadał głosem przypominającym brzęczenie owada. — Pyta, czy nam smakują te wodne melony — powiedział Khoang, ocierając sok, ściekający mu obficie po palcach. Użył nazwy, którą najczęściej posługują się Wietnamczycy.

— Powiedz, że arbuz jest znakomity i że bardzo dziękujemy.

— On mówi, że arbuzów jest tutaj bardzo dużo i że zaraz przyniesie następne. Możemy jeść do syta.

— Żeby to nie było z uszczerbkiem dla niego!...

Khoang wymownym gestem wskazał podwórze i rozpościerający się za nim ogród. Ziemię pokrywały jak dywan mięsiste liście i pełzające wśród nich łodygi roślin. Pomiędzy zielenią spoczywały dorodne owoce. Obok niewielkiej budki, w której sennie pochrząkiwał prosiak, piętrzyła się sterta arbuzów, której nie zauważyłam w pierwszej chwili po wejściu do chaty, choć musiałam ją minąć.

Woda zawrzała. Po chwili raczyliśmy się herbatą która smakowała jak rzadko. Starzec wysączył czarke naparu z polskiej mięty, i osądził, że całkiem podobne zioła rosną nad pobliską rzeczką. Sięgnął po następny arbuz i podał mi go, uśmiechając się zachęcająco. Ów trzeci owoc ledwie zdołaliśmy zjeść do końca. Zaczynałam znowu normalnie myśleć po kilkugodzinnym, całkowitym „rozkojarzeniu" wskutek upału.

— Khoang, dlaczego o arbuzie mówi się „wodny melon"? Przecież nie rośnie on na wodzie!

Khoang nie wiedział. Rozejrzałam się uważnie. Naokoło ziemia jak ugór — piaszczysta, sucha, nieurodzajna. Plantacja arbuzów kontrastowała z szarym, jednostajnym tłem. Starzec doglądając ich troszczył się przede wszystkim o zraszanie gruntu. Nie było to zbyt trudne, miał bowiem w obejściu porządną studnię. Mieszkał z córką, owdowiałą podczas wojny. Od miesiąca jednak żyje samotnie, gdyż córka pojechała daleko, aż do Vinh, stolicy sąsiedniej prowincji Nghe An, na jakieś szkolenię. Ma dwoje wnuków, które uczą się w miastach — nie omieszkał tego z dumą podkreślić. Arbuzy teraz dojrzewają. Jutro skoro świt powinna zjawić się ciężarówka, która zabierze ładunek owoców na targ w najbliższej osadzie.

— On nazywa arbuzy tay qua, czyli owoc z zachodu — dodał Khoang.

— Dlaczego?

— Zaraz się dowiem.

— Spytaj go też, jak to się dzieje, że arbuzy pięknie dojrzewają na lichym gruncie? Czy są tak mało wymagające?

Stary człowiek potwierdził, dodając, że duch opiekuńczy zapewnia urodzaj tay qua, które nie potrzebują żyznej ziemi, a wody — w miarę, mimo że magazynują w sobie obfitość wilgoci.

Nadstawiłam uszu, słysząc o duchach opiekuńczych. Dobrze, że nasz przymusowy postój jeszcze trwa — i że nie zjawił się żaden przedstawiciel władz miejscowych. Są wśród nich różni ludzie, ale zawsze może nawinąć się ktoś marudzący na temat: — „Stare przesądy o duchach opiekuńczych niewarte są przypomnienia — najważniejszą rzeczą jest urodzaj z metra kwadratowego ziemi uprawnej..." i tak dalej.

Odwrotnie — stary ogrodnik wydawał się bardzo rad z mojego zainteresowania. Sięgnął po fajkę wodną, którą miał na podorędziu obok legowiska (jak oni mogą rozkoszować się ostrym dymem w tym okropnym upale?!) — i rozpoczął:

MONIKA WARNEŃSKA

Owoc, który przypłynął z wyspy

Dawno, dawno temu, w czasach, których najstarsi ludzie nie pamiętają, za panowania króla Huong Vuonga Osiemnastego na dwór monarszy przyprowadzono jeńców schwytanych podczas zbrojnych utarczek z mieszkańcami dalekich wysp na południu. Zbuntowani przeciwko zarządzeniom gubernatorów królewskich — podczas kolejnej karnej wyprawy, jaką przedsięwzięła armia, popadli w niewolę. Był wśród nich człowiek imieniem Mai An Tien. Jak zwał się przedtem, skąd pochodził — nie wiem i trudno rzec, czy ktokolwiek potrafiłby to wyjaśnić. Mai An Tien był sprytny, uparty, mądry, a zarazem cierpliwy. Znakomicie uprawiał ziemię, która zdawała się być mu posłuszna. On zaś odgadywał, czego jej potrzeba, żeby dawała plon jak najobfitszy. Rozkazem władcy powierzona mu została opieka nad ogrodami królewskimi. Znakomicie wywiązywał się z tego zadania. Zdobywszy zaufanie i łaskę monarchy, obdarzony został przez niego licznymi przywilejami. Król dał mu za żonę jedną z własnych konkubin. I tak stopniowo ów przybysz, do niedawna jeniec, stał się na dworze królewskim osobą nie mniej ważną niż dygnitarze i mandaryni. Był dla nich solą w oku. Często bowiem powtarzał, że choć wiele zawdzięcza królowi, wszystko co ma osiągnął przede wszystkim dzięki własnej zaradności i pracy. Istotnie, doglądając ogrodów królewskich, nie zaniedbywał ogrodu własnego. Kwitły w nim na grzędach kwiaty nieporównanej urody i dojrzewały owoce o niedoścignionym smaku.

Zawistnych i pochlebców nie brak nigdzie. Niektórzy dworacy pośpieszyli więc do monarchy z donosem. — Zważ, o panie — mówili — że to przecież przybłęda, były niewolnik, któremu twoja łaskawość dała wszystko: swobodę i bogactwo. Tymczasem zamiast okazywać należną wdzięczność i pokorę twierdzi on, że dostatek zawdzięcza przede wszystkim sobie. Czyż nie jest to zuchwalstwo, zasługujące na ukaranie?

Król zasępił się, nie wiedząc, czy dać posłuch zazdrosnym dygnitarzom. Ci zaś nie ustępowali:

— Lepiej zachować ostrożność, najdostojniejszy panie! Ten bowiem, który dziś okazuje się niewdzięcznikiem jutro może wywołać bunt, a kto wie, nawet sięgnąć po władzę. Lepiej zapobiec złu zawczasu!

— Cóż więc radzicie mi czynić — spytał król.

Dworzanie spojrzeli po sobie. — Najlepiej wysłać tego człowieka na jakiś bezludny skrawek lądu otoczony morzem, aby udaremnić mu jakąkolwiek próbę ucieczki — rzekł jeden z mandarynów. — A za jakiś czas można będzie sprawdzić czy pozostał nadal tak samo hardy? Czy zmięknie i okaże skruchę, czy też dalej będzie miał czelność utrzymywać, że wszystko, co ma, zawdzięcza raczej sobie, niż królewskiej łaskawości?

Monarcha wyraził zgodę.

Ma An Tien, który od dawna zauważył objawy chłodu i nieufności ze strony króla, nazajutrz zobaczył u progu swego domu wysłanników straży monarszej. Ci oznajmili mu, że rozkazem najwyższym zostaje przesiedlony na wyspę Nga Son — teraz należy ona do prowincji Thanh Hoa. Rodzina Tiena poszła razem z nim na wygnanie. Pozwolono mu zabrać trochę żywności, w tym parę worków ryżu oraz najbardziej niezbędne narzędzia gospodarskie. Niebawem barka, do której wsadzono wygnańców, zarzuciła kotwicę u skalistych brzegów wyspy Nga Son. Żona Tiena, rozejrzawszy się dokoła, załamała ręce, i wybuchnęła lamentem. W ślad za matką rozszlochały się dzieci. Niedawno wszyscy mieszkali w dostatnim i wygodnym domu. A teraz mieli przed sobą nagą nieurodzajną ziemię, kamień i piaski. Stałego lądu nie było widać. Nikły skrawek wyspy otaczało spienione morze.

Maj An Tien jak mógł pocieszał i uspokajał najbliższych. Legli wreszcie do snu na gołej ziemi, pod otwartym niebem, w bliskości morza, dającego znać o sobie ustawicznym pomrukiem fal, który wydawał się nieprzyjemny i groźny. Nazajutrz wygnaniec ruszył do lasu, porastającego część wyspy. W dniach następnych polował i cierpliwie zbierał dzikie jadalne rośliny oraz korzenie, aby móc wyżywić rodzinę. Rad był, że pozwolono mu zabrać broń myśliwską. Nie upadając na duchu, sklecił szałas, aby zapewnić jaki taki dach nad głową żonie i dzieciom.

Pewnego dnia o świcie zbudził go przenikliwy krzyk ptaków, dobiegający z zachodniej części wyspy. Rankiem wyruszył w tym kierunku, aby zgarnąć ze skał nadbrzeżnych wysuszony nawóz ptasi, który mógł przydać się w gospodarstwie. Oboje z żoną próbowali bowiem zaorać małe poletka, aby zasadzić na nich wykopane w lesie rośliny jadalne. Wtedy zauważył tkwiące w nawozie ptasim płaskie ziarnka. Były to pewnie nasiona owoców, zjedzonych przez ptaki ale jakich — nie wiedział. Jeśli jednak ptaki spożywały te owoce, muszą one być jadalne i na pewno nie zaszkodzą zdrowiu ludzi. Może ziarna zakiełkują?

Oboje z żoną skopali kawałek gruntu i wrzucili do ziemi czarne nasiona, które starannie podlewali, pilnując, aby nie wygrzebały ich z ziemi łakome dzikie ptaki. Niebawem pojawiły się młode roślinki, które rosły nad podziw pięknie. Prężne łodygi pełzały po ziemi, zazieleniła się wkrótce cała grzęda szczelnie pokryta liśćmi; wśród nich pojawiły się najpierw kwiaty, potem owoce. Były to ciemnozielone kule wielkości głowy ludzkiej. Pewnego dnia Tien zerwał taki owoc i rozkroił go wzdłuż, odsłaniając ciemnoróżowy, pachnący miąższ, w którym tkwiło mnóstwo płaskich, czarnych ziaren. Owoc był pachnący, soczysty i niezwykle smaczny — nasycał głód i zaspokajał pragnienie. Wygnańcy nie posiadali się z radości, albowiem ryż, który zabrali z domu był już na wyczerpaniu. Owoce łatwiej pozwoliły im doczekać nowego, bardzo skromnego ryżowego plonu. Spożywając arbuzy starannie gromadzili ich nasiona i przechowywali je w skalnej pieczarze, aby nie dobrały się do nich myszy lub inne szkodniki.

Po kilku miesiącach przybił do brzegu wyspy mały statek kupiecki. Płynący nim żeglarze chcieli uzupełnić zapas wody pitnej. Zdumieli się, widząc mieszkańców tego bezludzia. Zdziwienie ich wzrosło, kiedy zostali poczęstowani smacznym, soczystym owocem. Wprędce dobito targu — w zamian za arbuzy Tien otrzymał ryż i sól. Wieść o wspaniałych owocach, dojrzewających na wysepce rozeszła się wśród kupców wybrzeża. Odtąd życie wygnańców stało się łatwiejsze, albowiem barki przybywały regularnie, w porze dojrzewania arbuzów. Handel wymienny pozwolił wygnańcom żyć lepiej niż w pierwszych dniach pobytu na wyspie. Ilekroć nadchodziła pora kolejnego zbioru arbuzów, których dojrzewało coraz więcej, Tien oddzielał część najbardziej dorodnych owoców, pracowicie żłobił na ich powierzchni hieroglif swojego imienia oraz nazwę wyspy, po czym wrzucał arbuzy do wody. Długo patrzył, jak zielonkawe kule, niesione falą odpływają coraz dalej — i wciąż myślał, że może któraś z nich zawędruje w pobliże stałego lądu.

Pewnego dnia żołnierze pełniący straż u wybrzeża na pokładzie łodzi wojskowej zauważyli dziwny, okrągły przedmiot, kołyszący się na wodzie. Wyłowiwszy go, ze zdumieniem stwierdzili, że jest to owoc dotychczas w kraju nieznany. Dowódca patrolu odczytawszy wyryty na skórce arbuza podpis Tiena i słowo wyjaśniające, kim jest właściciel, postanowił przesłać swoim władzom stosowny raport. Tym sposobem wiadomość o niezwykłych owocach, drogą morską wędrujących z samotnej wyspy, trafiła aż do króla.

Monarcha, którego nieraz nawiedzały wyrzuty sumienia z powodu losu wiernego sługi wydał odpowiednie zarządzenia. Niebawem ku wyspie popłynęła łódź, wiozącą specjalnego wysłannika króla. Obejrzawszy plantacje arbuzów, które spory szmat jej nieurodzajnych gruntów zamieniły w kwitnący ogród, wysłannik ów powrócił na ląd stały łodzią aż po brzegi wyładowaną owocami. Król dowiedziawszy się o wszystkim pojął, że istotnie Tien jest człowiekiem energicznym, zaradnym i rozumnym: że wbrew temu, co powiadali zawistni dworacy naprawdę potrafi sprostać wszelkim przeciwnościom, i że niesłusznie został skazany na wygnanie. Polecił więc natychmiast sprowadzić Tiena z powrotem na swój dwór, obdarzył go tytułem monarszego doradcy i przywrócił go znowu do łask.

Od tego czasu rozpowszechniły się u nas arbuzy, które łatwo i szybko rosną, owocując bogatym plonem. Zadowalają się one ziemią nieprzydatną dla innych upraw. Człowiek ma z nich więc zarówno pożytek, jak przyjemność. Smaczne są bowiem i zdrowe...

— A dlaczego nazywane są „owocami z zachodu" — tay qua? — zagadnęłam przeglądając dopiero co zakończone notatki. Oczywiście te dwa słowa wymówiłam z błędnym akcentem i Khoang musiał mnie poprawić.

— Legenda twierdzi, że ptaki, za których sprawą ziarna dostały się na wyspę Nga Son, przylatują od zachodu. Inni ludzie mówią o melonach wodnych. Czy dlatego, że ten owoc jest tak bardzo soczysty? Nie — dlatego, że przywędrował niegdyś drogą wodną z wyspy, płynąc długo, zanim fale morskie wyrzuciły go na stały ląd.

Słońce zniżyło się nieco, a my już odpoczęliśmy. Hiep kręcił się przy samochodzie, który gotów był do drogi. Pogadywaliśmy o czymś z „kapitanem" wśród półgłosnego śmiechu. Dowiedziałam się później, że Luong po wysłuchaniu legendy stwierdził: — Przydało się na coś pożytecznego ptasie łajno...

Wygrzebałam z dna torby garść kostek cukru, których na szczęście nie zżarły natrętne mrówki. Starzec początkowo wzbraniał się je przyjąć. Wreszcie z uśmiechem, który wygładził jego twarz pobrużdżoną zmarszczkami, powiedział, że schowa ten przysmak dla córki i wnuków. Podreptawszy w kąt podwórka przyniósł jeszcze trzy ogromne arbuzy. — Mówi, że trzeba je zjeść nie zwlekając, jeszcze dzisiaj, bo są dojrzałe — objaśnił Khoang. Tak więc przez cały dalszy ciąg podróży aż do schyłku dnia byliśmy zabezpieczeni przed brakiem napojów. Arbuzy wystarczyły w zupełności.

Po trzech latach przejeżdżałam tą samą drogą o innej porze roku. Plantacja arbuzów, krzewiących się na ugornej ziemi przypomniała mi opowieść starca. Wysiedliśmy na krótko, aby odnaleźć chatę obok drogi i zapytać, co dzieje się z jej właścicielem. — Nie żyje — odparła jego córka, kobieta w sile wieku, wskazując widoczny z dala kopczyk mogiły. — Miał przeszło osiemdziesiąt lat — dodała po chwili milczenia. Potem wyraziła żal, że nie może nas poczęstować owocami. Poprzedni zbiór arbuzów dobiegł bowiem końca. Między liśćmi rozpostartymi tuż nad ziemią formowały się dopiero zawiązki nowych owoców.

Obejrzałam się raz i drugi, kiedy samochód minąwszy zakręt drogi przyspieszył biegu. Jeszcze jeden człowiek, spotkany kiedyś na wietnamskich drogach, odszedł tam, skąd nikt nie wraca... Ale rośliny, których troskliwie doglądał przez długie lata, jak dawniej odcinały się żywą, piękną zielenią na tle szarej, piaszczystej ziemi.

Wielki Ibsen w Małej Sali

O Henriku Johanie Ibsenie, najwybitniejszym dramaturgu norweskim i jednym z najznakomitszych dramatopisarzy europejskich przełomu XIX i XX wieku, powiedziano kiedyś, że po Panu Bogu Szekspirze i Balzaku stworzył największą ilość ludzi.

Galeria postaci powołanych do życia przez Ibsena jest istotnie imponująca, i to zarówno ich mnogością, jak i głębią psychologicznego rysunku. Autentyczność i realistyczny charakter swych scenicznych portretów bohaterowie wszystkich dramatów Ibsena zawdzięczają zapewne tej jego metodzie twórczej, którą on sam najdobitniej określił następującymi słowami: „Nie wprowadzę człowieka na scenę, póki nie policzę guzików u jego kamizelki". Wypowiedzi tej nie należy oczywiście traktować dosłownie. Nie o fotograficzność widzenia chodziło bowiem Ibsenowi, lecz o prawdziwość i wyrazistość postaci, o zaprezentowanie w tekstach dramatycznych wszystkich (bo jego zdaniem wszystkie są ważne) szczegółów ich osobowości.

Tę prawdziwość, czystość i klarowność widzenia uzyskiwał Ibsen między innymi przez rezygnację z wszelkiego sentymentalizmu. Źródeł przezentowanych na scenie emocji swoich bohaterów szukał on w znacznie w jego przekonaniu ważniejszej sferze intelektu. Ów chłodny intelektualizm, jakim przesycone są dramaty Ibsena uczynił je utworami o nieprzemijającej wartości artystycznej.

Emocje powodujące minione zdarzenia i znaczenie zdarzeń emocjonujących niegdyś bohaterów zmieniają się z upływem czasu, zatem nie o zdarzeniach mówią jego dramaty, lecz o ich skutkach, o konsekwencjach spraw, które nie tylko ukształtowały osobowości jego figur scenicznych, ale także w nieuświadamiany przez nie sposób zdecydowały o całym ich życiu.

Konstrukcja wszystkich sztuk Ibsena bardzo ściśle wiąże się z wydarzeniami z przeszłości ich bohaterów, ale twórca nigdy tych wydarzeń w sposób ilustracyjny, obrazowy nie odtwarza, nigdy nie stosuje prostej retrospekcji. Zabiegu tego, i to wyłącznie we własnej wyobraźni, musi dokonać sam widz. Od jego rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, jakie zachodzą w życiu i psychice człowieka, od jego umiejętności analizy prezentowanych mu poszczególnych przypadków losów ludzkich zależeć będzie natężenie emocji i wzruszeń, jakich dozna on w teatrze, te zaś pozostaną w ścisłym związku z preferowanym przez odbiorcę sztuk Ibsena modelem moralnym, którego kreowanie wydaje się być nadrzędnym celem wielkiego dramaturga.

Minione zdarzenia, których aktualne skutki zauważamy w psychice bohaterów, dokonane niegdyś fakty decydujące o całym ich życiu prawdę mówiąc nic nas dzisiaj nie obchodzą, ale kwestie etyczne i problemy moralne, które muszą oni rozwiązywać, interesują nas nieustannie, bo te właśnie problemy jawić się będą przed człowiekiem zawsze. O niezwykle dramatycznych faktach z wcześniejszych niż czas sceniczny okresów życia ibsenowskich postaci widz dowiaduje się śledząc bieżącą akcję. W utworach wielkiego Norwega najważniejszym jej elementem, kulminacyjnym momentem akcji jest zazwyczaj dyskusja. Przeszłość, która się w niej odsłania nie tylko dynamizuje ją, ale także teatralnie dramatyzuje. Tajemnica przeszłości bohaterów jawi się w finale akcji, toczącej się aktualnie na scenie, a emocjonalnie wstrząśnięty tą tajemnicą i intelektualnie pobudzony spełnieniem autorskiego nakazu jej stopniowego zgłębiania opuszcza on teatr bogatszy o umiejętność podwójnego, równoległego widzenia, którym tak rzadko potrafi dokonywać oglądu własnego życia.

Trudno odmówić racji młodopolskiemu krytykowi, Wilhelmowi Feldmenowi, który stwierdziwszy, że Ibsen zrezygnował z sentymentalizmu na korzyść oschłego intelektualizmu, nazwał go „znakomitym matematykiem, szachistą, strategiem scenicznym", ale nie sposób nie przyznać jej również i Georgowi Bernardowi Shaw. W swojej rozprawie zatytułowanej „Kwintesencja ibsenizmu" powiedział on o Ibsenie, że „z jego sztuki wychodzi się nie jak po rozrywce, lecz po przeżyciu głębszym od tych, jakie większości ludzi przynosi kiedykolwiek prawdziwe życie".

Każda ze stworzonych przez Ibsena postaci jest odrębna i niepodobna do innej, a wszystkie są jednakowo fascynujące. Ibsen, gorący zwolennik dziewiętnastowiecznego ruchu emancypacyjnego kobiet im właśnie poświęca szczególnie wiele uwagi.

Jedną z najbardziej kontrowersyjnych bohaterek jego dramatów jest Hedda Gabler, która z niemałym zapewne trudem przekonawszy się niegdyś, sama do idei małżeństwa z rozsądku, za jego mieszczańską nudę i prozaiczność, za niemożliwość obudzenia w sobie głębszych uczuć do niekochanego w gruncie rzeczy męża, mści się na całym otaczającym ją świecie. Kochającego ją ciągle człowieka, którego niegdyś odepchnęła skutecznie skłania do samobójstwa, a gdy i ono niczego w jej życiu nie zmienia na lepsze lub choćby tylko bardziej atrakcyjne, lecz przeciwnie uruchamia jedynie następne tryby już nie tylko nudnego, ale obmierzłego życia, strach przed złem będącym skutkiem czynionego zła, wstręt do niego i przerażenie, że może ono trwać wiecznie sprawiają, że odbiera sobie życie. Nic w tej postaci nie jest oczywiście tak jednoznaczne, jak wynikałoby to z mojego nieporadnego i nazbyt wszystko upraszczającego streszczenia. Wieloznaczność tej postaci ma swoje źródła zarówno w jej autokreacyjnym charakterze, jak i w otaczającym ją świecie. Na pytanie czy postawa etyczna Heddy Gabler jest dziełem jej samej (bo taką właśnie a nie inną kobietą chce być córka generała Gablera, która z dziś już niewiadomych dla siebie przyczyn została żoną zaledwie początkującego etnografa), czy też ukształtowało ją środowisko, panujące obyczaje i stosunki społeczne Ibsen nie daje zdecydowanej odpowiedzi i czyni to — jak się zdaje — nie dlatego, iż jemu taka odpowiedź w ogóle nie wydaje się możliwa. Do wyciągania ostatecznych wniosków nie skłania on także widza, jemu każe on jedynie wnikliwie przeanalizować „przypadek Heddy Gabler", z którym i tak niczego więcej uczynić nie można, lecz który posłużyć winien do porównań, odniesień, a przede wszystkim do głębokiej refleksji nad etyczną i moralną kondycją człowieka.

„Heddę Gabler", jeden z najciekawszych dramatów Henrika Johana Ibsena możemy od niedawna oglądać na scenie Małej Sali Teatru Nowego, gdzie nadano mu nader szlachetny kształt inscenizacyjny. Reżyserująca przedstawienie Stefania Domańska uczyniła wszystko, by dla widza stały się oczywiste zarówno walory warsztatu dramaturgicznego Ibsena, jak i wszelkie niuanse psychiki bohaterów jego sztuki. Precyzja rysunku poszczególnych sytuacji scenicznych, umiejętne prowadzenie aktorów konsekwentnie realizujących postawione przed nimi, jasno określone zadania interpretacyjne czynią to przedstawienie spektaklem niezwykle interesującym. Uważne widza nie u[illegible] ani jedno słowo z toczących się między bohaterami dyskusji, mimo że zgodnie z życzeniem autora tylko chwilami osiągają szczególne napięcie dramatyczne. Wszystkie postacie są w tym przedstawieniu interesujące, każda zdumiewa bogactwem i złożonością psychiki. Jedna tylko nie skrywa swoich uczuć, szybko zaspokaja naturalną u widza ciekawość swojej osoby i charakteru i to silne na początku przedstawienia zainteresowanie swoją postawą i psychiką traci niemal równolegle z biegiem akcji. Postacią tą jest (niestety) Hedda Gabler. Ilona Bartosińska świadomie bądź niezamierzenie nie tyle od razu odsłoniła złożoność psychiki tej postaci, ile zasłoniła ją przed oczami widzów zupełnie. O jej Heddzie Gabler od początku (choć zupełnie nie wiadomo dlaczego) dowiadujemy się, że jest kobietą jedynie pustą i złą, a ponieważ niczego więcej nie mówi nam o niej aktorka do końca przedstawienia przeto szybko przenosimy uwagę na jej partnerów i oni dostarczają nam niemałej satysfakcji, jaką daje kontakt z ciekawymi osobowościami. Bo w interpretacji aktorów Teatru Nowego — Dymitra Hołówki, Piotra Krukowskiego, Haliny Miller, Marii Białobrzeskiej, Bogusława Macha i Haliny Sobolewskiej są nimi: bardziej chyba złożony psychicznie niż wydaje się to tej właśnie pięknej Heddzie jej mąż — Jörgen Tesman, pozornie słaby, lecz o ileż od niej silniejszy w pragnieniu życia i miłości Eilert, łagodna, sprawiedliwa i surowa, a także wiele wybaczająca Thea, ciotka żyjąca życiem swojego bratanka, Asesor Brack, o którym do końca nie wiadomo czy jest samym tylko złem czy żywym symbolem pełnej zemsty kary za zło i wierna, dotkliwie odczuwająca grymasy swej pani Berta.

Dziwne to zatem przedstawienie i z trudem przychodzi mi je oceniać. Niemal nieskazitelne w formie, (w której znaczny udział ma bardzo szlachetna, atrakcyjna i funkcjonalna oraz mośna dramaturgicznie scenografia Iwony Zaborowskiej), doskonale przekazujące nam przesłanie i refleksję autora, ma jednak zdumiewający w porównaniu z widocznym przecież nasyceniem go przez inne postacie ważnymi etycznie i moralnie treściami, brak osi, którą stanowić winna złożona osobowość głównej bohaterki. Widzowi przyjdzie zatem wierzyć na słowo, że Hedda Gabler to fascynująca kobieta lub też potwierdzenia tej tezy szukać w tekście dramatu Ibsena. Mówią o tym co prawda wszystkie niemal postacie sztuki, ale nie wydaje mi się, by autorowi „Heddy Gabler" chodziło o stworzenie na scenie jedynie jej pamięciowego lub imaginacyjnego portretu.

EWA PANKIEWICZ

Pejzaże Głowackiej

W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. H. Sienkiewicza trwa obecnie wystawa Jadwigi Cieleckiej-Głowackiej, prezentująca dorobek trzydziestu lat pracy twórczej. Artystka od 1949 roku mieszka i pracuje w Łodzi. Urodziła się w Warszawie. Studiowała malarstwo pod kierunkiem znanej malarki, prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej, w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom zrobiła w 1949 roku i w tymże roku przyjechała do Łodzi, aby rozpocząć pracę najpierw w ognisku plastycznym przy Liceum Plastycznym, potem w pracowni grafiki użytkowej w Młodzieżowym Domu Kultury, wreszcie w 1961 roku w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, jako asystent w pracowni rysunku i malarstwa. W uczelni łódzkiej pracuje do 1980 roku. Wystawia od 1952 roku.

Jadwiga Cielecka-Głowacka zajmuje się przede wszystkim pejzażem. Maluje portrety, martwe natury, ale właśnie pejzaż zajmuje głównie jej uwagę. Wychowana w duchu polskiego koloryzmu lubi pejzaż i najlepiej go „czuje". Obok „czystego" krajobrazu, maluje również motywy architektoniczne. Cykl „Zamki" należy do bardziej interesujących na wystawie. Także widoki miast polskich z cyklu „Polska". Pewna naiwność w widzeniu architektury, deformacja wynikająca z celowo stosowanej niekonsekwencji perspektywicznej nadaje tym miejskim widokom i zamkom wiele uroku i ciepła. Bezpośredniości. Nie ma tu ciężkich murów, ciężkich brył architektonicznych. Jest za to lekkość, jakaś nieuchwytna nuta poezji, ciepło barw. Nastrój bezpieczeństwa i spokoju.

Spokój, poczucie harmonii emanują ze wszystkich płócien Głowackiej. Jej malarstwo jest przesycone na wskroś spokojnym optymizmem. Czasem malarka chciałaby nawet udramatyzować trochę swoje pejzaże, czasem chciałaby góry zrobić groźniejszymi, rzekę z bardziej rwącą wodą, niebo nad pejzażem bardziej burzowe, zamek na skale bardziej „zamczysty". Nic z tego. Jej obrazy pozostają „łagodne" w swej istocie, w wyrazie. Nie, nie ładne, bo „ładności" w malarstwie Głowackiej nie ma, ale właśnie łagodne. Optymistyczne. Nazwałbym to „ekspresją łagodności". Niektóre pejzaże Głowackiej są bowiem pełne ekspresji, lecz dramaturgia zamknięta jest w barwie, w kolorystycznych zestawieniach, dramaturgia subtelna i bardzo wyciszona. To sprawia, że malarstwo Głowackiej tchnie niezwykłą kulturą pędzla, a jednocześnie skromnością. Nawet czasami, wobec niektórych pejzaży chciałoby się rzec — intymnością.

Jest godnym uwagi fakt, że Jadwiga Cielecka-Głowacka pozostała zupełnie obojętna na wszelkie kierunki, tendencje, mody i nastroje sztuki współczesnej. To co działo się w sztuce aktualnej pozostało bez wpływu na jej malarstwo. Raz jeden uległa pokusie „nowoczesności" (przyznaje się do tego otwarcie na wystawie) i zrobiła cykl „Propozycje". Niebawem jednak powróciła do swojego malarstwa, które pozostało w swym zasadniczym charakterze niezmienne.

Głowacka lubi malować i odczuwa potrzebę malowania. Należy do tych malarzy, którzy codziennie muszą wejść do pracowni, codziennie muszą chociaż poczuć zapach farby, terpentyny, oleju. Nawet jeżeli tego akurat dnia nie malują. Muszą żyć pośród malarskich rekwizytów, tak dalece są bowiem z nimi związani, zżyci.

Ogromna pracowitość Jadwigi Cieleckiej-Głowackiej zdumiewa i musi budzić szacunek. Bo to nie tylko chęć i potrzeba wypowiedzi artystycznej, zapisu na płaszczyźnie płótna „własnego" świata i swojego do niego stosunku, swojego komentarza. To nie tylko realizacja własnej, artystycznej, człowieczej filozofii. To coś więcej. To swojego rodzaju „sposób na życie". Twórcze, pracowite życie artysty. Codzienne, mozolne uprawianie swojego zawodu. Cielecka-Głowacka nie bywa malarzem od czasu do czasu, ona jest malarzem bez przerwy. I to trzeba dodać, że potrafi znakomicie ukryć trudy zawodu. Jej malarstwo jest lekkie, robione jakby od niechcenia. Artystka nie pokazuje swojego wysiłku uważając, że widza ten wysiłek nie obchodzi. Że borykanie się z malarskim tworzywem jest jej najbardziej prywatną i osobistą sprawą. Widz pragnie obejrzeć obraz gotowy, a nie dokumentację wysiłku, wątpliwości, wahań. I dlatego właśnie obrazy Głowackiej są takie, jakie są. Wysmakowane w kolorze, poetyckie, cieszące oko kulturą barwy i wewnętrznym ładzeniem, harmonią.

Jest jeszcze jedna rzecz, która w sztuce Jadwigi Cieleckiej-Głowackiej zwraca uwagę. Jest to mianowicie całkowity brak rutyny. Obrazy jej, wbrew pozornym podobieństwom, są w istocie niezwykle różne. Każdy jest osobną, indywidualną przygodą malarki. To wielka sztuka i niezwykle cenna cecha psychiki artystki. Stąd też wychodząc z wystawy nie czujemy się zmęczeni. Ogromna ilość eksponowanych płócien nie nuży, nie przygniata. To kulturalne, szlachetnie brzmiące malarstwo odpręża i sprawia, że oglądamy je z autentyczną przyjemnością i satysfakcją.

A. G.

Zawód: Artysta

Czy można kogoś wykształcić „na artystę"? I tak, i nie. Być artystą — to coś, co drzemie w człowieku niezależnie od tego, czemu w zakresie pracy się poświęci. Ale równocześnie trudno być dobrym fachowcem na estradzie nie przyswoiwszy sobie uprzednio zawodowej wiedzy i technicznych umiejętności. W Polsce wiele jest uczelni różnego typu, ze szkołą cyrkową w Julinku włącznie: nie ma natomiast takiego przybytku wiedzy, w którym uczono by sztuki estradowej. A jednak artystów estradowych mamy i to czasem w nadmiarze. „Branża estradowa" i od strony artystycznej, i od strony typowo organizacyjnej, jest magnesem przyciągającym dla wielu ludzi, także amatorów łatwego zarobku, którzy jednak z reguły w krótkim czasie przekonują się, że tu „nie ma lekko".

Już dość dawno zauważono, że dość popularną jest rozbieżność pomiędzy zawodem wyuczonym a faktycznie wykonywanym. U estradowców zdarza się to właściwie nagminnie: są tutaj ludzie z wykształceniem wyższym, średnim, ale też... podstawowym, choć od pewnego czasu warunkiem przyznania weryfikacji przez Ministerstwo Kultury i Sztuki jest posiadanie świadectwa dojrzałości przez kandydata. W zasadzie bezpośrednio do działalności artystycznej na estradzie przygotowują jedynie szkoły muzyczne i aktorskie. Po ukończeniu uczelni artystycznej uzyskuje się tradycyjnie tytuł magistra sztuki, który brzmi nieco śmiesznie. Właśnie tym powodowany napisałem przed paroma laty tekst piosenki zatytułowany „Magister sztuki", do którego muzykę skomponował Jerzy Milian. Piosenkę nagrał Kazimierz Kowalski i wszystko było w porządku, bowiem jest on absolwentem Wydziału Wokalno-Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi — jego profesją jest więc śpiewanie.

Przede wszystkim należałoby postawić pytanie: czy istotnie jest to zawód? Pisałem trochę na ten temat siedem czy osiem lat temu i zaglądałem wówczas do wielu różnych encyklopedii — nigdzie takiego hasła nie znalazłem. Jedynie w „Słowniku Języka Polskiego" (PWN 1964) znalazłem w tym miejscu tyleż niedokładną, co mylącą definicję. Brzmiała ona następująco: „Piosenkarz — artysta śpiewający piosenki; śpiewak piosenek".

To prawda, że Bogdan Łazuka i Jerzy Połomski ukończyli Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie, a Zdzisława Sośnicka — konserwatorium, Czesław Niemen, Piotr Figiel, Ryszard Poznakowski rzeczywiście uczęszczali do szkoły muzycznej (nie jednej i tej samej). Pianistkami zamierzały zostać Ewa Demarczyk i Danuta Rin, a pewne przygotowanie muzyczne posiadają także inne polskie piosenkarki. Ale w gruncie rzeczy jest ich nie tak znów wiele, a dosyć często zdarza się, iż zestawienie nazwiska piosenkarki z jej zawodem wyuczonym jest szokujące. Na przykład Halina Kunicka i Bogdana Zagórska, o której od paru lat wszelki słuch zaginął, ukończyły Wydział Prawa UW. Nie inaczej jest wśród panów, gdzie mamy do czynienia z nie mniejszym wachlarzem zawodowych możliwości. Andrzej Rosiewicz jest z wykształcenia inżynierem meliorantem, Marek Grechuta natomiast inżynierem architektem. Krzysztof Krawczyk zaczął śpiewać zawodowo tak wcześnie, że nie udało mu się posiąść wcześniej jakiejkolwiek innej profesji, Wojciech Młynarski nawet gdy śpiewa pozostaje filologiem. Artystą-malarzem jest artysta-piosenkarz Tadeusz Chyła, a łodzianin Bogusław Mec ukończył studia plastyczne. Zdecydowanie odcina się od tej grupy Zbigniew Wodecki będący muzykiem z wykształceniem wyższym. Pewne zmiany w ogólnym statusie zawodowym polskich piosenkarzy wniosło powołanie do życia Wydziału Rozrywkowego katowickiej Akademii Muzycznej. Uzyskanymi tam dyplomami poszczycić się mogą: Krystyna Prońko, Renata Danel, Ilona Wieczorek, Stanisław Sojka i inni. Jest to jednak kropla w morzu, gdy weźmiemy pod uwagę poszerzenie się grona osób zawodowo uprawiających muzykę, zwłaszcza obecnie — w epoce dominacji rocka. Nie jestem w stanie powiedzieć, jaki procent spośród kilku setek młodych ludzi będących członkami liczących się w kraju zespołów nowofalowych młodej generacji posiada jakie takie przygotowanie muzyczne. Podejrzewam, że to procent niewielki.

O tym, że sprawa kształcenia artystów estradowych wymaga śmiałych decyzji na szczeblu centralnym mówi się nie od dzisiaj. Młodzi ludzie garną się do pracy na estradzie i trzeba, przynajmniej tym najbardziej utalentowanym, stworzyć możliwość realizacji swych marzeń o występach przed publicznością. Uczelni o tak ukierunkowanym programie, jako się rzekło, nie ma. Coraz większą przyszłość zdają się więc mieć swego rodzaju „szkółki" istniejące przy różnego typu instytucjach związanych z działalnością artystyczną. Chodzi o to, by adepci sztuki estradowej w czasie trwania kilku- czy kilkunastomiesięcznego kursu uzyskali minimum niezbędnych wiadomości, aby fachowcy z paru dziedzin wzajemnie się w takiej pracy przenikający zapoznali tę młodzież z warunkami pracy i sposobami rozwiązywania zasadniczych problemów, jakie na co dzień się będą pojawiać. Ten zasób wiedzy powinien dać młodym ludziom podstawę do budowania sylwetki „siebie" na estradzie. I takie działanie wydaje się niezbędne (do sprawy postaram się wkrótce powrócić raz jeszcze — przyp. K. D.), chociaż korzystając z wcześniej przytoczonych przykładów wiemy, iż można śpiewać będąc z zawodu lekarzem, prawnikiem, inżynierem. I to śpiewać wcale nieźle.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

P.S. Pozwolę sobie jeszcze na nieco dłuższą dygresję, choć temat zgoła inny. Kilka tygodni temu pisałem w tym miejscu o tym, że w porównaniu z innymi ośrodkami regionalnymi w kraju, Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia w bardzo niewielkim stopniu stara się propagować dorobek wykonawców i twórców muzyki rozrywkowej pochodzących z naszego miasta, mieszkających tu, lub też z nim związanych. Jakby na potwierdzenie w tym samym czasie usłyszałem nocne „Katowice na muzycznej antenie" i zapowiedź informującą, że „w blisko trzygodzinnej audycji w programie I, poza dwoma wyjątkami, wszystkie utwory pochodzą z katowickiego studia". Następna taka audycja z Katowic, już w tym roku, zawierała dosłownie jedną pozycję nie nagraną w Katowicach. Taki lokalny patriotyzm w dobrym znaczeniu tego słowa można pochwalić.

Tymczasem niedawny program „Łódź na muzycznej antenie" przygotowany przez Jerzego Kijo pomieścił ubiegłoroczne przeboje krajowe i zagraniczne. Przez trzy nocne godziny słuchałem tej audycji: może słuch mnie zawiódł, ale nie udało mi się usłyszeć nawet jednego wyprodukowanego w Łodzi nagrania. Myślę, iż także dla osób poruszonych moim wcześniejszym artykułem, ten klasyczny przykład nie wymaga komentarzy z mojej strony.

Czołgi na pustyni pod El — Alamejn

23 października 1942 roku, lat temu 40, Imperium Brytyjskie stanęło do swojej ostatniej bitwy. W dwa tygodnie później na przeciwległym krańcu Afryki Północnej nastąpił desant wojsk amerykańskich, dając początek ewolucji, która wewnątrz Wielkiej Koalicji zepchnęła Brytyjczyków do roli słabszego partnera. Ale pod el-Alamejn „Stare Imperium" walczyło jeszcze w pojedynkę.

Na północnym skraju linii brytyjskich stała, sięgając prawym skrzydłem do Morza Śródziemnego, 9 Dywizja Australijska — ta, którą niemiecki generał Rommel uznał za „najlepszą piechotę", jaką kiedykolwiek napotkał na swej drodze. Z lewej strony Australijczyków znajdowała się 51 Dywizja Górali Szkockich (Highlanders). Pustynia była dla nich czymś nowym. A oni sami byli właściwie nową dywizją, gdyż dawny stan osobowy pięćdziesiątej pierwszej dostał się w 1940 r. pod St. Valery do niewoli niemieckiej. Na południe od Szkotów była Dywizja Południowoafrykańska. Miała ona wiele powodów, żeby brytyjskiej generalicji nienawidzieć tak, jak Niemców i Wiochów, bowiem właśnie rodacy żołnierze tej dywizji dostali się do niewoli w Tobruku, kiedy w lecie tego roku niemiecki Afrika Korps przełamał — mimo że był liczebnie słabszy — linie brytyjskie pod el-Ghazala i rozpoczął swój triumfalny marsz do el-Alamejn. Z lewej strony Południowych Afrykańczyków stała Dywizja Nowozelandzka generała Freyburga, a na południe od niej reprezentacja Cesarstwa Indii, innymi słowy — „perły Imperium Brytyjskiego", a mianowicie: 4 Dywizja Indyjska. Na południe od Indusów prawie 40-kilometrowy odcinek pustyni, sięgający aż do nieprzestępnej Depresji Kattara, zajmowały dwie angielskie dywizje strzeleckie: 50 (z terenów nad rzekami Tyne i Tees w północnowschodniej Anglii) oraz 44 (z hrabstw podlondyńskich).

Za nimi wszystkimi — ustawione niczym kawaleria podczas pierwszej wojny światowej — trzy dywizje pancerne sposobiły się do tego, żeby wykorzystać planowane przerwanie frontu nieprzyjacielskiego.

Imperium Brytyjskie wystawiło 220.000 żołnierzy i każdy jego zakątek miał swoich przedstawicieli: byli artylerzyści z Rodezji i lotnicy z Kanady, byli nigeryjscy kierowcy ciężarówek, byli egipscy i maltańscy robotnicy fizyczni. Ale ta sama armia imperium już raz miała swój czas próby i jej nie sprostała. Wprawdzie w 1940 r. z łatwością pokonywała Włochów, jednak wszystko to zmieniło się na początku 1941 r., gdy przybyły dywizje niemieckie: dwie pancerne i jedna zmotoryzowana. Niemcy byli wyszkoleni do prowadzenia nowoczesnej, ruchomej wojny, a Brytyjczycy nie. (...)

Niemcy — po części dlatego, iż zdobyli doświadczenie w walce z czołgami Brytyjczyków w latach 1917-1918, a głównie dzięki temu, czego nauczyli się podczas hiszpańskiej wojny domowej i w 1940 r. we Francji — wypracowali taki sposób szkolenia swoich wojsk, w czasie którego wbijano do głowy zasadę, że broń pancerna, artyleria i piechota muszą nawzajem na sobie polegać. Brytyjczycy, wynalazcy czołgu, okazali się nieporadni w posługiwaniu się nim. W każdej kolejnej bitwie Niemcy, którzy liczebnie byli słabsi, potrafili skusić lekkomyślnych czołgistów brytyjskich do zawadiackiej szarży. Wynik: czołgi docierały do linii niemieckiego ognia artyleryjskiego, on je dziesiątkował, a potem Niemcy mogli całkiem spokojnie zabierać się do brytyjskiej piechoty i artylerii, które nie miały już wsparcia własnej broni pancernej.

Brytyjczycy robili złe czołgi. Zbudowali szybki i lekko opancerzony, który — jak się potem okazało — często się psuł i był przeraźliwie łatwy do zniszczenia. Zbudowali ciężki czołg, przeznaczony do tego, by wspierać piechotę: był dobrze opancerzony, jednak straszliwie powolny. W 1940 r., krótko przed bitwą o Dunkierkę, Niemcy zetknęli się z tym czołgiem. Byli przerażeni, że ich pociski przeciwczołgowe odbijają się od jego pancerza.

Ale w rok później, na pustyni, Niemcy mieli już broń przeciwpancerną większego kalibru. Najgorsze jednak było to, że działka czołgów brytyjskich strzelały tylko 2-funtowymi pociskami, które na odległość powyżej 360 m były bezużyteczne w walce z niemiecką bronią pancerną. Natomiast działka czołgów niemieckich mogły z odległości 1 600 m zniszczyć czołg brytyjski.

W 1942 r. dysproporcje te zaczęły zanikać. Nadchodziły czołgi amerykańskie: najpierw niemrawy „Grant", potem bardzo sprawny „Sherman"; ten ostatni akurat w samą porę, na czas bitwy pod el-Alamejn. Ale duch bojowy Brytyjczyków był już osłabiony. Broń pancerna i piechota nie miały nawzajem do siebie zaufania. W toku bitwy najgorszy kryzys nadszedł wtedy, kiedy przez prawie 3 dni kłócono się o... marszrutę. Czołgiści po prostu odmawiali przesunięcia się do przodu dla wsparcia piechoty, a uparcie, choć błędnie, twierdzili, iż już zajęli pozycje, które kazano im obsadzić.

Bernard L. Montgomery, przysłany w sierpniu 1942 roku samolotem z Anglii dla objęcia dowództwa 8 Armii, znalazł dwa sposoby uporania się z mankamentami Brytyjczyków.

Primo — w bitwie obronnej pod Alam el-Halfa, w pierwszym tygodniu września, rozkazał jak najbardziej surowo, żeby czołgi brytyjskie pozostały w ukryciu. Bowiem nie nadawały się one po prostu do tego, żeby znaleźć się na tym samym placu boju, na którym zjawiły się niemieckie dywizje pancerne. Secundo — w odniesieniu do bitwy pod el-Alamejn Montgomery zastosował właśnie takie przestarzałe planowanie i prowadzenie działań bojowych, do jakich oddziały brytyjskie były wyszkolone. Miała to być bitwa na modłę toczonych w pierwszej wojnie światowej, poprzedzona zmasowanym zaporowym ogniem artyleryjskim, po którym przyjdą nieustanne natarcia piechoty — poprzez pola minowe, zasieki, linie okopów.

Bitwa zaczęła się od najsilniejszego ognia zaporowego dział, jaki żołnierze brytyjscy widzieli kiedykolwiek od 1918 roku. Montgomery zgromadził około 900 dział i każde z nich wystrzeliło tej nocy ok. 600 razy. Przez pierwsze 15 minut ogień spadał na pozycje artylerii niemieckiej, na których było 20 razy mniej dział, niż po stronie brytyjskiej. Potem artyleria Brytyjczyków przeniosła ogień na stanowiska piechoty niemieckiej. Równocześnie saperzy brytyjscy ruszyli do przodu, żeby rozbroić miny nieprzyjacielskie i rozmieścić 80.000 lampek naftowych, które miały oznaczyć bezpieczne przejścia przez pola minowe. Jednak jeszcze po pierwszych natarciach swojej piechoty B. L. Montgomery miał zbyt mało zaufania do brytyjskich sił pancernych, żeby kazać im pójść do przodu i wykorzystać wyłom, jaki piechota zrobiła w linii stanowisk wroga. Owa koncepcja przełamywania frontu, wzięta prawie żywcem z doktryny działań bojowych konnicy, była istnym skaraniem boskim dla czołgistów brytyjskich przez całą wojnę. B. L. Montgomery nalegał, żeby czołgi przesuwały się do przodu pomiędzy własną piechotą i żeby potem zatrzymywały się i przechodziły do obrony przeciw kontratakom niemieckim, korzystając ze wsparcia samolotów RAF oraz ze wsparcia artylerii brytyjskiej, silniejszej niż przeciwnika.

Jednak pod el-Alamejn brytyjska broń pancerna z początku nawet nie zdołała wysunąć się do przodu poza teren zdobyty za cenę ciężkich strat przez piechotę. Do tej sytuacji Montgomery musiał dostosować swój plan. Wykorzystał sukcesy piechoty brytyjskiej.

W dwóch najważniejszych starciach, do których doszło 26 i 27 października 1942 roku, piechota i wspierająca ją artyleria utrzymały się na zajętych pozycjach. Natomiast niemieckie i włoskie siły pancerne, które chciały odbić utracony teren, mocno się wykruszyły. 164 niemiecka dywizja piechoty i włoscy bersaglierzy, gdy w przeciwnatarciu skręcili w lewo ku morzu, znaleźli się w niebezpieczeństwie, gdyż połowa z nich mogła zostać odcięta przez Australijczyków. 21 niemiecka dywizja pancerna próbowała odepchnąć Australijczyków, ale jej się to nie powiodło. O 6 mil bardziej na południe drugi batalion brygady strzeleckiej bronił niewielkiego obszaru — któremu dano nazwę „pet" (niedopałek papierosa) — i stamtąd strzelał ze swoich działek przeciwpancernych, udaremniając kolejne natarcia 21 niemieckiej dywizji pancernej, włoskiej dywizji „Littorio" i 3 niemieckiego pułku pancernego. Po bitwie, wokół „peta" leżało 60 rozbitych czołgów wojsk „Osi".

Daleko od pola bitwy, bo na dnie Morza Śródziemnego, zaległy statki z ropą i ciężarówkami — statki, od których zależał los Erwina Rommla. Poszły na dno, gdyż Brytyjczycy mieli przewagę w powietrzu. Pomyślna operacja rozszyfrowania depesz wroga, znana pod kryptonimem „Ultra", która pozwalała wywiadowi brytyjskiemu czytać tajne telegramy Niemców, zadecydowała o tym, że żaden niemiecki statek z dostawami nie mógł wypłynąć w morze bez wiedzy Brytyjczyków. Utrata swobody łączności i fakt, że czołgi Rommla były zdziesiątkowane, oto przyczyny, dla których 2 listopada wydał on rozkaz odwrotu, rozkaz odwołany z gniewem przez samego Hitlera. Ten ostatni zażądał utrzymania linii frontu. Tym samym skazał na powędrowanie do brytyjskich obozów jenieckich zarówno większość piechoty włoskiej, jak i tych Niemców, którzy nie zdołali postarać się o jakiś wehikuł i niezbędną do niego benzynę.

Niemcom zostało tak mało czołgów, benzyny i amunicji, że nie mogli powstrzymać nacierających Brytyjczyków. Ale nawet i wtedy — miny niemieckie plus ulewy zamieniające każdy szlak pustynny w nieprzejezdne bezdroża, plus nieruchawość brytyjskiej broni pancernej pozwoliły E. Rommlowi uratować podstawową część Afrika Korps.

Był to już jednak czas, kiedy inna anglo-amerykańska armia wylądowała w Algierii francuskiej, więcej niż 1 600 km za plecami Rommla. Wojna na kontynencie afrykańskim miała trwać jeszcze 6 miesięcy, w ciągu których na Rommla napierały już dwie siły. Rozentuzjazmowani zwycięstwem Brytyjczycy doskonalili swoją taktykę i swoje rzemiosło wojenne. Tymczasem na zupełnie innym kontynencie Niemcy zostali po raz drugi pobici, tym razem pod Stalingradem. Na pustyni afrykańskiej nie było nigdy więcej niż 4 niemieckie dywizje i 7 włoskich. Natomiast przeciw Armii Czerwonej walczyło 240 dywizji. Z niemieckiego punktu widzenia wojna w Afryce Północnej była tylko uboczną imprezą, która mogłaby jakimś trafem przynieść ogromne zyski. Była grą nie wymagającą dużego wkładu.

Ale bitwa pod el-Alamejn stała się pierwszą decydującą klęską, którą poniósł faszyzm w ciągu 20 lat od chwili, gdy Hitler rozpoczął swój marsz po władzę. Była też ostatnią samodzielną bitwą Imperium Brytyjskiego, jego pierwszym w tej wojnie zwycięstwem na lądzie. I — gdy z wież kościelnych rozległy się dzwony — dodała ogromnie ducha Brytyjczykom. A jednak Winston L. S. Churchill patrzył na nią z właściwej perspektywy, gdy wypowiadał myśl, że był to tylko „koniec początku" (drugiej wojny światowej).

MARTIN WALKER
(„The Guardian")

Dzielni Gurkhowie w brytyjskiej służbie

W obecnych czasach wymyślnych narzędzi wojny, kiedy wydawać by się mogło, że człowieka niemal całkowicie zastąpiła technika, sławni Gurkhowie swym okrucieństwem doskonalonym przez wieki w górach Nepalu wciąż budzą strach w sercach wrogów. Kiedy świat obiegła wiadomość, że żołnierze argentyńscy, walczący na Falklandach w obliczu oddziałów dzikich Gurkhów czmychnęli z pola walki, nikt w Nepalu nie zamierzał celebrować tego wydarzenia. Emerytowany kapitan Gurkhów Birta Sing Gurung, uhonorowany wysokimi odznaczeniami, bohater II wojny światowej, który utrzymuje, że widział więcej bitew, niż większość ludzi meczów futbolowych, twierdzi, że Gurkhowie są tak dzielni, iż wrogowie często uciekają.

Nepal, niewielkie królestwo wciśnięte między Indie i zajmowany przez Chińczyków Tybet, jest ojczyzną twardych górali, którzy od 167 lat walczą na całym świecie w interesie Brytyjczyków. W górach Nepalu uważa się, że nie ma nic szczytniejszego niż służba wojskowa. W tym biednym kraju wojaczka jest także najlepszym sposobem poprawienia bytu rodzinie. Gurkhowie pochodzą z pogórza Himalajów — krainy położonej wśród ośmiu najwyższych szczytów świata, na czele z liczącym 8.848 metrów Mount Everestem, gdzie wiszące mosty przecinają liczne, głębokie wawozy, a zimą pada grad wielkości kurzego jaja. W Nepalu jest mniej dróg, niż w jakimkolwiek innym kraju, a odległości liczy się tu w godzinach i dniach marszu. Wąskie ścieżki są głównymi połączeniami komunikacyjnymi.

W 1814 roku Brytyjczycy, którzy panowali wówczas w Indiach, toczyli z Nepalem walki o przygraniczne wsie, doprowadzając w końcu do otwartej wojny. Wielka Brytania rzuciła do walki 30 tysięcy żołnierzy przeciwko 12 tysiącom Nepalczyków, ale natrafiła na bohaterski opór wojowniczego narodu, którego kobiety walczyły u boku mężów, rzucając kamieniami w najeźdźców.

W czasie jednej z bitew żołnierze hinduscy porucznika Fredericka Younga uciekli, pozostawiając go otoczonego przez wrogich żołnierzy nepalskich. Historia podaje, że dzielny Young na pytanie jednego z wrogów, dlaczego nie uciekł razem z żołnierzami, wycedził przez zaciśnięte zęby: „Nie po to doszedłem tak daleko, aby teraz uciekać", po czym usiadł z kamiennym wyrazem twarzy, prowokując zachwyconych jego odwagą Nepalczyków do wyznania, iż mogliby służyć pod dowództwem takich ludzi jak on.

Uwolniony rok później, Young zaproponował utworzenie sił brytyjskich, składających się z nepalskich jeńców wojennych. Ci zgodzili się tak chętnie, że później Young mówił: „Poszedłem tam sam, a powróciłem z trzema tysiącami". Brytyjczycy nazwali tych żołnierzy Gurkhami od nazwy wsi—królestwa Gorha, które w połowie XVIII wieku podbiło resztę Nepalu.

Tak rozpoczęły się stosunki brytyjsko-nepalskie, które zdumiewały swoją trwałością, jako że Wielka Brytania nigdy nie okupowała, ani nawet nie panowała w Nepalu. W rzeczywistości do 1950 roku w praktyce nie wpuszczano cudzoziemców do Nepalu. Gurkhowie uratowali Indie Brytyjskie podczas rewolty Sipajów w 1857 roku, walczyli po stronie Wielkiej Brytanii na frontach I wojny światowej doznając straszliwych strat. Podczas II wojny światowej, Nepal ponownie wysłał ponad 200 tysięcy żołnierzy pod rozkazy dowódców brytyjskich, dziwiąc się, że Wielka Brytania zwlekała z prośbą o pomoc, aż do momentu klęski pod Dunkierką. Od tego czasu Gurkhowie walczyli w Palestynie, na Malajach, Borneo i ostatnio na Falklandach. Kiedyś generał porucznik Francis Tuker stwierdził, że oddanie Gurkhów sprawie brytyjskiej, to przypadek bez precedensu w całej historii świata. „Jest coś tajemniczego w ich przywiązaniu do nas" — dodał.

Podpułkownik Keith Robinson, oficer w brygadzie Gurkhów, chroniącej ambasadę brytyjską w stolicy Nepalu — Katmandu, już klarowniej wyjaśnia to zjawisko. „W skolonizowanym Nepalu — twierdzi — mielibyśmy przywilej rekrutacji żołnierzy z mocy prawa. Ponieważ zawsze musieliśmy prosić, zachowali oni poczucie własnej godności. Sądzę, że stosunki wzajemnego zaufania i szacunku przynajmniej częściowo i z tego powodu tak pomyślnie się rozwijały".

KRYTERIUM WARTOŚCI

Harka Gurung, były członek rządu nepalskiego, którego ojciec i dwóch braci było żołnierzami, mówi: „Mój klan Gurungów zawsze chętnie służył Brytyjczykom, ponieważ oceniali żołnierzy według zasług lub męstwa, a nie według pochodzenia, czy pozycji społecznej".

Obecnie w siłach brytyjskich służy około 7 tysięcy Gurkhów, którzy stacjonują w Hongkongu, Sułtanacie Brunei i w Anglii, gdzie strzegą Pałacu Buckingham. Rocznie rekrutuje się do 400 Gurkhów, pochodzących z terenów Nepalu, rozciągających się na wysokości od 3 tysięcy do 8 tysięcy stóp ponad poziomem morza. Mieszkańców niżej położonych rejonów, którzy przeważnie są pochodzenia hinduskiego, armia brytyjska nie chce. Wyżej zaś, gdzie zamieszkują Szerpowie, niezwykle trudno jest dotrzeć, mimo to kilku Szerpów służy w wojsku brytyjskim.

Jak surowe są kryteria rekrutacji świadczą liczby: doświadczeni, emerytowani Gurkhowie przebadali blisko 10 tysięcy kandydatów zanim wybrali 800, których następnie skoszarowano w dwóch obozach, aby poddać ich ostatecznej selekcji zakończonej tzw. testem IQ (intelligence quotient), eliminującym jednego na dwóch chętnych. Wybrańcy służą minimum 15 lat, o ile nie ma jakichś szczególnych, indywidualnych przeciwwskazań lub prawie dwukrotnie dłużej, jeżeli chcą osiągnąć wyższą rangę. „Bierzemy najlepszych z najlepszych" — mówi pewien oficer brytyjski. „Zasadniczo, to co proponujemy rekrutom jest tym samym co dla Anglika wygrana w totka piłkarskiego. Z tym, co zaoszczędzą wracają do Nepalu jako bogaci ludzie". Wysokość wynagrodzenia Gurkhów w służbie brytyjskiej jest ograniczona umową, zawartą między Wielką Brytanią i Indiami, przewidującą taki sam żołd Gurkhów „brytyjskich" co Gurkhów służących w armii indyjskiej. Jednak dodatki stanowiące rekompensatę kosztów utrzymania na różnych placówkach, mogą zwiększyć ich łączne dochody. Około 75 tysięcy żołnierzy służy w pułkach Gurkhów w armii indyjskiej. Blisko 30 tysięcy rekrutowanych jest z Nepalu. Pozostali zaś urodzili się i wychowali w Indiach w rodzinach Gurkhów. W Hongkongu Gurkhowie otrzymują połowę wynagrodzenia żołnierzy brytyjskich. W Anglii dostają w przybliżeniu tyle samo co Brytyjczycy. Większość tych pieniędzy przesyłają do ojczyzny, część wpłacają do banków.

BARDZO BRYTYJSCY

Obecnie kilku młodych Gurkhów — synów rodzin żołnierskich, którzy ukończyli szkoły brytyjskie, wybiera się do Sandhurst, odpowiednika amerykańskiej West Point. Patent oficerski, który tam zdobędą upoważniać ich będzie do podjęcia praktycznie każdej pracy w armii brytyjskiej. Kilku Gurkhów poślubi Angielki i po zakończeniu służby pozostanie w Wielkiej Brytanii.

Niektórzy z nich robią karierę. Pewien były kapral zasiada dzisiaj w zarządzie jednego z banków londyńskich, jako asystent wysoko postawionego urzędnika tej instytucji.

Krąży mnóstwo opowieści o ich męstwie. Na przykład w 1949 roku Gurkhowie, walczący w malajskich dżunglach, natrafili na swojego rodaka pozostawionego 7 lat wcześniej przez współtowarzyszy, gdy zachorował na malarię. Kazali mu czekać na powrót Anglików. Czekał nieświadomy, że dawno skończyła się II wojna światowa. Podczas walk na Falklandach, w których uczestniczyło 700 Gurkhów, żołnierze argentyńscy — jak mówili oficerom brytyjskim — byli w pełni świadomi okrucieństwa Gurkhów i obawiali się masakry.

Dzielni, o niewielkim wzroście i silnych nogach, wyrobionych w górskich wspinaczkach Gurkhowie mają łagodne i pozbawione zarostu twarze, nie nasuwające najmniejszych skojarzeń z ich okrucieństwem. W czasie Dashery, religijnych uroczystości hinduskich, na które Gurkhowie zawsze otrzymują pięciodniowy urlop, pije się duże ilości „raksi", rumu wytwarzanego domowym sposobem z ryżu. Groźnie zakrzywione noże, zwane „kukri", które każdy Gurkha ma na wyposażeniu i znakomicie nimi włada, są odpowiednio zabezpieczone, aby nie doszło do nieszczęśliwego wypadku. Kulminacyjnym punktem Dashery jest ceremonia obcięcia przez najzręczniejszego Gurkha jednym uderzeniem lekkiego topora głowy żywego wołu. Uważa się — zgodnie z tradycją, że jeżeli głowa nie zostanie odcięta od pierwszego uderzenia, nastąpi zły rok. W Wielkiej Brytanii Towarzystwo Ochrony Zwierząt nie zgadza się na obcinanie zwierzętom głów. W tej sytuacji Gurkhowie obowiązkowo zastępują żywe zwierzę dynią, podczas gdy w Nepalu, w tym samym czasie upoważniona osoba zabija prawdziwego wołu. Również i inne zmiany wprowadzono do przebiegu tego święta.

Dziś wieś Gorkha, miejsce narodzin tradycji wojskowej, przekształciła się w ruchliwe miasto, które jest bardziej zainteresowane rozwojem handlu niż sztuką wojenną. 27-letni kapral Bhesh Bahadur Gurung, który raz na trzy lata spędza sześciomiesięczny urlop w domu, utrzymuje, że motywem pozostawania na służbie u Brytyjczyków są nowe inwestycje na rodzinnej farmie. „Brytyjczycy, jeśli tylko było to możliwe — mówi były minister Harka — najchętniej brali do wojska wieśniaków, gdyż byli oni bardziej ulegli, a więc odpowiedniejsi do służby wojskowej. Jednak obecnie, nowoczesna technika sprawiła, że chłopcy po szkole średniej mają więcej szans, by trafić do wojska, niż ich rówieśnicy z głębokiej wsi.

Niektórzy twierdzą, że oddziały Gurkhów to wojsko najemne i jako takie — powinno być zakazane. Nepalczycy — kontynuuje Harka — zdają sobie sprawę, iż jest to przeżytek z czasów kolonialnych, który jest odbiciem przeszłości Nepalu. Dla lewicy jest to problem, dla grup zamożnych — sprawa bez znaczenia. Około 20 procent zasobów dewizowych Nepalu stanowią wpływy pochodzące z wynagrodzeń żołnierzy Gurkhów i uposażeń emerytów. Ani obecny monarcha, król Birendra, ani władze brytyjskie nie pragną zmiany tego systemu. Wręcz przeciwnie, Brytyjczycy sformowali ostatnio jeszcze jeden, szósty z kolei batalion Gurkhów. Kiedy wybuchły walki na Falklandach przygotowywali się właśnie do wyruszenia na Belize, do nowego, niepodległego państwa w Ameryce Środkowej, aby tam pełnić swoje obowiązki, stojąc na straży niepodległości tego kraju. Rozważa się możliwość, iż twardzi ludzie gór zostaną skierowani do Republiki Federalnej Niemiec, wzmacniając tam siły Paktu Północnoatlantyckiego. Oczekuje się, że służbę pełnić będą także w Hongkongu, gdzie nie mają, charakterystycznego dla białych, piętna wojsk kolonialnych.

Tak więc wydaje się, że nie przeminął czas tradycyjnie rozumianego pojęcia honoru i obowiązku, które straciły blask w wielu współczesnych społeczeństwach. Jak radził kiedyś pewien dowódca Gurkhów: „Każdy, kto chce zrozumieć znaczenie pojęcia odwagi i bezinteresowności, powinien znaleźć się w szeregach Gurkhów. Pozwoli to stać się znów światłym i lepszym człowiekiem".

ROBERT KAYLOR
(„U.S. News and World Report")

Miasto przy fabryce

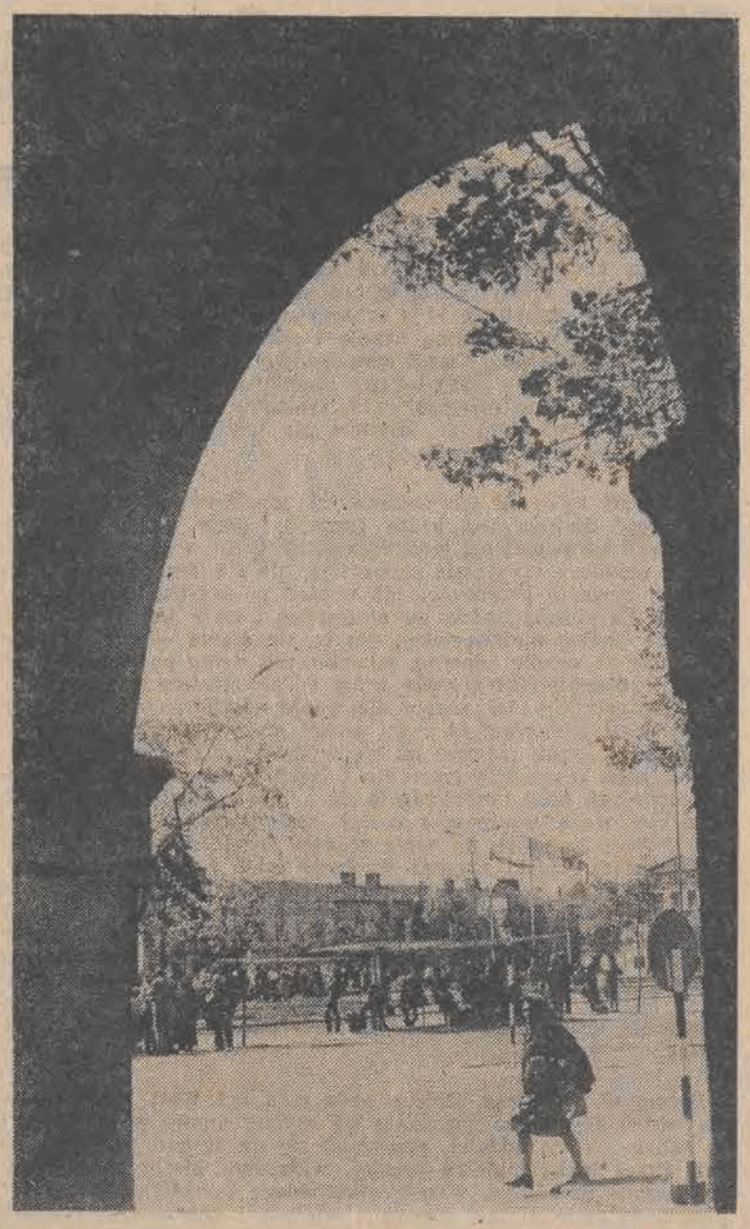

Dokończenie ze strony 1

wtorek, na trzydziestu interesantów, którzy zgłaszają się do urzędu — dwudziestu ośmiu przychodzi w sprawie mieszkania. Z województwa do własnej dyspozycji prezydent dostał w tym roku 10 mieszkań, w 1983 też ma tyle mieć. Te ilości nie zależą od nas. Co można w takiej sytuacji zrobić, kogo wykwaterować? Przecież lekarza trzeba ściągnąć do miasta, architekta... a na to potrzeba mieszkań. Być może nowa ustawa o radach narodowych stworzy nam jakieś możliwości manewru, da prawo decydowania. Dziś nie mamy żadnej samodzielności. Nawet czyny społeczne rozdzielane są w województwie...

— Kręcimy się w sferze niemożliwości. Co pan — abstrahując od nich — uważa za najpilniejsze do załatwienia, by przemysł nie stał kością w miejskim gardle?

— Przede wszystkim należy wykwaterować ludzi ze strefy wokół zakładów. Zwiększyć w ogóle płynące do miasta nakłady na budownictwo mieszkaniowe. Myślę, że bez pomocy „Wistomu" nie możemy tego problemu rozwiązać. Zakłady co rok płacą potężne sumy za zanieczyszczanie środowiska. Pieniądze te trafiają do województwa, a dlaczego my z nich nic nie mamy? — to kolejny problem. No i bardzo ważna sprawa, to minimalizowanie w zakładach emisji gazów do atmosfery — konieczność zakończenia wistomskich inwestycji mających ochraniać środowisko, kwestia sprawnego funkcjonowania istniejących już instalacji, ale to sprawy, o których dowiedzieć się pan może w zakładach.

Wpływu dwusiarczku węgla na zdrowie mieszkańców Tomaszowa Mazowieckiego nie da się ściśle określić. Do tej pory — zakłady istnieją ponad 50 lat — nie przeprowadzono specjalistycznych badań ludności. To właśnie stanowi koronny argument dla tych w mieście, którzy właściwie „nie widzą sprawy". Były jednak innego rodzaju badania. W 1972 roku Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Łodzi i terenowa w Tomaszowie Maz. porównały niektóre wskaźniki zdrowotności mieszkańców Tomaszowa Mazowieckiego i ludności Pabianic — miasta o podobnej wielkości, strukturze zawodowej i stopniu uprzemysłowienia. Zmienną stanowił jedynie fakt, że w Pabianicach nie ma dwusiarczku.

Okazało się, że w Tomaszowie w porównaniu z Pabianicami czterokrotnie więcej niemowląt po urodzeniu ważyło wtedy mniej niż 1500 g., dwukrotnie więcej dzieci rodziło się martwych, tyleż razy więcej przychodziło na świat z wadami wrodzonymi. Wady rozwojowe, wcześniactwo, rozedma płuc, były przyczyną większego odsetka zgonów niemowląt (Tomaszów — 56.2 proc., Pabianice — 31.1 proc.), a do szkół w pierwszym z miast uczęszczało wówczas 4.3 proc. dzieci upośledzonych umysłowo, podczas gdy w drugim — 2.6 proc. W ubiegłym roku znów porównano analogiczne dane. Konfrontacja wskazała na utrzymanie się zaobserwowanych wcześniej dysproporcji. Niewielkie tendencje wyrównawcze wzięły się z faktu pogorszenia stanu zdrowia mieszkańców rozwijających się przemysłowo Pabianic.

W roku szkolnym 1978/79 Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Tomaszowie Mazowieckim przeprowadziła badania psychologiczno-pedagogiczne 905 uczniów klas pierwszych wszystkich tomaszowskich szkół. Fragmentaryczne opóźnienia rozwoju psychicznego stwierdzono u 360 dzieci, upośledzenie umysłowe u dziesięciu. W 1980 roku orzeczenia o zakwalifikowaniu lekkiego upośledzenia umysłowego dotyczyły 74 badanych uczniów, natomiast umiarkowanego i znacznego piętnastu.

Danych tych wystarczyło, bym dyrektora tomaszowskiego Specjalistycznego Przemysłowego Zespołu Opieki Zdrowotnej Zbigniewa Grabowskiego poprosił o komentarz. Odpowiedź była zaskakująca. Powiedział: „Nic nie wiem. To nie moja sprawa". Okazało się, że dyrektora obchodzi zdrowie ludzi pracujących w „Wistomie". Lekarzem jest — to prawda, dyrektorem ZOZ też, ale przemysłowego. Ewentualna rozmowa na te właśnie tematy, poza bezwzględną autoryzacją, obwarowana została jednak koniecznością dokonania dodatkowego nagrania magnetofonowego. W dyrektorskim biurku taśma miałaby leżeć do czasu opublikowania materiału. Kiedyś jakaś dziennikarka „krzywdę" dyrektorowi zrobiła i stąd takie żądania. Dyktat wydał mi się nie do przyjęcia, nawet jak na tomaszowskie warunki. To było moje pierwsze i nie jedyne zdziwienie w tym mieście.

Budynek wistomskiego przedszkola znajduje się jakieś 300 metrów od płotu „Wistomu". Jak usłyszałem od dyrektorki placówki Jadwigi Rybak: „Sąsiedztwo to mnie (sic!) i dzieciom nie przeszkadza". Ewentualność przeniesienia przedszkola poza strefę ochronną pani dyrektorka podsumowała: „Wyburzyć taki piękny budynek... to byłaby rozpacz. No chyba żeby ze względów zdrowotnych..." — konkludowała. Ciekawe, że nic nie wie o dawnych porównaniach „Sanepidu" choćby ostatnich NIK-u, czy może również to „nie jej sprawa"? Może częściowo i jej, tyle że woli nie wiedzieć... Chyba, że po prostu o nic tyle hałasu...

Ostatnim człowiekiem, który mógłby mi w Tomaszowie ten dylemat rozwiązać był zastępca dyrektora do spraw produkcji („odpowiada za środowisko") Zakładów Włókien Chemicznych „Chemitex—Wistom" Mieczysław Fijarczyk.

— Kiedy i czy w ogóle przestaniecie truć miasto?

— Skąd takie jednoznaczne założenie? Proszę pamiętać, że bez sensu jest twierdzenie, iż dwusiarczek węgla jest bardziej szkodliwy, niż wiele innych związków chemicznych. Technologia nasza jest w rzędzie paru innych równie szkodliwych technologii chemicznych stosowanych w kraju.

— Pana zdaniem, podtruwacie zatem miasto, czy nie?

— Oczywiście nie można powiedzieć, że dwusiarczek nie ma wpływu na stan zdrowia ludzi, ale — jak dotąd — nie ma kompleksowych badań. Trzeba, aby pan wiedział, iż badania takie łódzkiej WAM zleciliśmy właśnie my. Do końca lat pięćdziesiątych zakłady nie były wyposażone w żadne urządzenia dla ochrony środowiska. W latach sześćdziesiątych powstał niewielki program modernizacji. Naprawdę program taki zaczęto realizować w latach siedemdziesiątych. Zakończyć się miał w 1977—78 roku. Poniesione do tej pory nakłady w starych cenach wynosiły miliard złotych — tyle, ile wartość naszej rocznej produkcji w tamtych czasach. Wybudowano tzw. II Centralną Wentylację, część pierwszej — komin i trochę instalacji — instalację do regeneracji dwusiarczku, biologiczną oczyszczalnię ścieków...

— Czego nie zrealizowano?

— Nie podłączono do I Centralnej Wentylacji 50 proc. przedsiębiorstwa, nie doprowadzono do optymalnego działania oczyszczalni — pracuje ona teraz na 70 proc. potencjalnych możliwości, nie ukończono spalarni śmieci...

— Tych, które palą się teraz na wysypisku...?

— Tak, ale to normalny dym, on nie może truć. Zawiera tylko te związki chemiczne, które nie zatruwają atmosfery, tym bardziej wody. Zresztą trzy razy dziennie wysyłamy tam swoich strażaków... Do końca tego roku do Centralnej Wentylacji podłączymy dalsze 15 proc. przedsiębiorstwa. W 1985 roku podłączona ma być całość. W tej chwili w stosunku do wsadu unieszkodliwiamy 30—40 proc. środków chemicznych. Optimum wynosi 50—60 proc., to jest wszystko, co obecnie robi się na świecie. Osiągniemy to po całkowitym podłączeniu zakładów do Centralnej Wentylacji. Oczywiście rodzi się pytanie, czy zrealizujemy zamierzenia w terminie. Sprawę poważnie komplikują niewystarczające dostawy potrzebnych nam materiałów: aluminium, specjalnej stali, odpowiednich wentylatorów.

— Czy „Wistom" może partycypować w rozwoju miejskiego budownictwa mieszkaniowego?

— Dziś, w reformie? Czy sądzi pan, że to możliwe? Zwykle budowaliśmy jeden blok mieszkaniowy w mieście dla naszych pracowników rocznie. Teraz też taki blok budujemy, przy ulicy Głowackiego...

— Powracając do sprawy ochrony środowiska, jakie kary płaci z tego powodu „Wistom"?

— Ponosimy opłaty za gospodarcze korzystanie ze środowiska, a nie kary! Te ostatnie zapłaciliśmy wyjątkowo, kiedy była awaria urządzeń emitujących i pożar komina II Centralnej Wentylacji. To nie były duże sumy. Proszę pana, żeby sprawa była jasna — istnieją normy emisji gazów do atmosfery i stwierdzam autorytatywnie, że według naszych pomiarów takich norm nie przekraczamy. W obecnej sytuacji zakładów, nasze działania są skuteczniejsze z możliwych... Tak właśnie sądzę.

Niezależnie od dyrektorskich zapewnień, istnieją dokumenty, które każą nieco inaczej widzieć zaprezentowany obraz rzeczywistości zakładów. Emisja gazów toksycznych do atmosfery, na przykład w latach 1978—80, wzrosła o 2,7 tys. ton w skali roku. W roku ubiegłym, gdy w maju rozpoczęto remont obiektów II Centralnej Wentylacji, nastąpił dalszy wzrost emisji. Doprowadziło to do przekroczenia jej dopuszczalnych norm. W latach 1980—81 w oddziałach produkcyjnych argony i tomofanu I emisja dwusiarczku węgla przekroczyła średnio dopuszczalne normy 2—3-krotnie. Inny fakt — Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Piotrkowie Trybunalskim w styczniu zeszłego roku stwierdził przekroczenia dopuszczalnej emisji z II Centralnej Wentylacji: dwusiarczku węgla o 20,6 kg na godzinę i siarkowodoru o 43,1 kg na godzinę. Wymierzył wówczas zakładom karę (właśnie karę, a nie opłatę za „gospodarcze korzystanie..."). „Wistom" musiał płacić 16 tys. zł na dobę.

Oprócz rygorów dotyczących ilości wydalanych gazów w „Wistomie" przekracza się normy tzw. najwyższych dopuszczalnych stężeń (NDS) gazów toksycznych w atmosferze — ich imisji. W latach 1978—80 przypadkowość stwierdzonych przez Terenową Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Tomaszowie przekroczeń NDS dwusiarczku węgla wzrosła z 16,7 proc. do 37,4 proc. liczby wszystkich pomiarów. Na zjawiska te w znacznej mierze wpływało ponadnormatywne zużycie dwusiarczku w procesie produkcji. Tylko z tego powodu w 1980 roku wzrost emisji tej trucizny do atmosfery sięgnął blisko 148 ton.

Z przyczyn oczywistych nie mogłem dotrzeć do najświeższych danych. O obecnym stanie rzeczy świadczy pośrednio zdanie umieszczone w piśmie ZWCh „Chemitex-Wistom" do Urzędu Miasta w Tomaszowie z dnia 11.06. br. „Analiza średnich zużyć CS₂ za okres pięciu miesięcy (1982 r. — przyp. autora) wskazuje na nieznaczne przekroczenia jego zużycia na wszystkich wyrobach." Pismo to podpisał dyrektor Fijarczyk. Nieco dalej, ustosunkowując się do bezwzględnej potrzeby odpowiedniej regeneracji CS₂ — na poziomie wsadu 40 proc., dyrektor napisał: „W pierwszym kwartale 1982 roku osiągnięto wyniki nieco niższe od planowanych..."

Jak nie kijem go, to pałą — autorytatywnym stwierdzeniem lub... eufemizmem: „nieznaczne przekroczenia", „nieco niższe niż planowano..." a efekt w samym już tylko zakładzie jest taki, iż wysokie, przekraczające nawet pięciokrotnie normy stężenia gazów przy stanowiskach pracy powodują od lat przewlekłe zatrucia pracowników. Od 1963 do 1980 roku u 1113 osób stwierdzono choroby zawodowe. Ludziom tym zakłady wypłaciły 42 miliony złotych odszkodowań.

Zebrane wcześniej przez NIK, przedstawione w tym materiale dane, stały się powodem „ożywionej" korespondencji między zakładami a tomaszowskim Urzędem Miasta oraz przedmiotem specjalnej narady w urzędzie. 4 marca tego roku nad problemem debatowali dyrektor „Wistomu", prezydent miasta, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego, lekarz wojewódzki, przedstawiciel KW PZPR i sporo tzw. „innych". Fakt ten również świadczy, że zaprezentowane liczby nie straciły wiele na aktualności — niestety! Szkopuł w tym, iż z owej narady wysokiego gremium niewiele wynika.

Postanowiono tam na przykład, że ZWCh przedstawią harmonogram prac zmierzających do zminimalizowania szkodliwego wpływu zakładów na miasto, pomogą miastu w przesiedleniu mieszkańców Kaczki". Harmonogram oczywiście opracowano, ale — co innego pisać, a co innego robić. Zakładom brakuje wielu urządzeń i materiałów do realizacji programu, który i tak w całości w najlepszym razie zakończony może być w 1985 roku. O udziale w budowie domów dla ludzi z feralnego osiedla dyrektor Fijarczyk także wypowiedział się jednoznacznie. We wnioskach z narady zawarto także inne postulaty — napisano m. in.: „Prezydent miasta i lekarz wojewódzki występują do wojewody piotrkowskiego w celu włączenia do planu 1982 roku budowy specjalistycznej przychodni. Urząd wojewódzki zapewni środki na realizację tego zadania." Już teraz w Urzędzie Miasta wiadomo, że do 1985 roku przychodnia „do planu nie wejdzie". Wniosków, które pozostają w sferze pragnień jest więcej.

Niby, nil novi sub sole, ale „dziw człowieka bierze". W samym Tomaszowie są bowiem ludzie, którzy o swoim mieście nie bardzo jakoś potrafią i chcą mówić. Okazuje się przy tym, że to o czym szepczą wszyscy, nie jest sprawą lekarze, komuś to nie przeszkadza, a jeszcze inni autorytatywnie stwierdzają...

Kiedy rozmawiałem z mieszkańcami „Kaczki", jeden z nich powiedział, że w Warszawie, to pewnie na planach już ich osiedla nie mają i wierzą, że wszystko jest w porządku. Ktoś inny wątpił nawet, czy mają jeszcze w planach Tomaszów — ponad 60-tysięczne miasto przy chemicznej fabryce w dawnym trybunalskim jakby nie było województwie. Drzewom przy ulicy Luboszewskiej nie pomoże już nic, ludziom...

KRZYSZTOF SPYCHALSKI

Foto: M. Zajdler

W kręgu fantastyki

STAN KLUB

A potem nagle, jakby wyciek wody spod zapory, straszliwy przypływ rzeczywistości wprawił jego myśli w szaleńczy taniec, a jednocześnie spostrzegłem, że żyła została przecięta. Cofnął się, krzyknąwszy chrapliwie, a ja zobaczyłem jak purpurowo-brązowa krew zbiera się w zwinną kroplę i spływa cienkim strumyczkiem. Był przerażony. Cisnął zakrwawiony skalpel na ośmiokątny stolik, i natychmiast obaj lekarze rzucili się do mnie, dokonując pośpiesznych i nie przemyślanych zabiegów, aby naprawić błąd. Ja jednak wiedziałem, że zostałem oto zabity, choć ciało nadal kurczowo się mnie trzymało.

Nie będę opisywał ich spóźnionych wysiłków by mnie uratować, choć dostrzegałem każdy szczegół. Moje zmysły działały szybciej i sprawniej niż kiedykolwiek w życiu; myśli zaś tłoczyły się w głowie z niebywałą szybkością, ale i z doskonałą wyrazistością. Mogę to przyrównać do wrażeń po zażyciu sporej dawki opium. Za chwilę będzie po wszystkim i będę wolny. Wiedziałem, że jestem nieśmiertelny, ale co się stanie — nie wiedziałem. Czy za chwilę odpłynę, jak obłoczek dymu po wystrzale, w jakimś pół-materialnym ciele, które będzie cieniem mojej właściwej postaci? Czy też znajdę się wśród niezliczonych zastępów umarłych i stwierdzę, że świat wokół mnie jest faktycznie fantasmagorią, jaką zawsze mi się wydawał? Czy może zawędruję na jakiś seans spirytystyczny i będę dokonywał głupich, niezrozumiałych prób porozumienia się z tępawym medium? Był to stan ciekawości wyzbytej z emocji, stan bezbarwnego oczekiwania. Potem poczułem na sobie rosnący ucisk, uczucie jakby jakiś ogromny ludzki magnes wyciągał mnie z ciała do góry. Ucisk stale się wzmagał. Byłem atomem, o który walczyły ze sobą przepotężne siły. Na krótki, straszliwy moment wróciła przytomność. Uczucie spadania głową w dół, które pojawia się w koszmarach sennych, a więc uczucie to, tysiąckroć silniejsze i czarne przerażenie przemknęły w moich myślach. Potem obydwaj lekarze, ciało rozcięte na boku, mały pokoik, wszystko to odpłynęło spode mnie i zniknęło tak, jak znika bąbelek piany wciągnięty w wir.

Byłem w powietrzu. Daleko pode mną był West End, szybko się oddalający — bo zdawałem się szybko unosić w górę — i w miarę jak się oddalał, przesuwał się na zachód, jak panorama. Przez lekką mgiełkę dymów, widziałem niezliczone dachy zwieńczone kominami, wąskie ulice usiane punkcikami ludzi i pojazdów, małe plamki placów i wieżyczki kościołów wystające jak ciernie z tkaniny. Wszystko to oddalało się, w miarę jak Ziemia obracała się wokół osi, i po kilku sekundach byłem już nad porozrzucanymi fragmentami miasta koło Ealing; bardziej na południe mała Tamiza wiła się niebieską nitką, a Chiltern Hills i North Downs pojawiły się jak brzegi zalewu, odległe i rozmyte we mgle. Pędziłem ku górze. Początkowo zupełnie nie wiedziałem, co to może oznaczać.

Z każdą chwilą pole widzenia powiększało się, zaś szczegóły miast i pól, wzgórz i dolin stawały się coraz bardziej zamglone, blade i nieuchwytne, a świetlista szarość zlewała się z błękitem pagórków i zielenią otwartych łąk; małe plamki chmur, nisko i daleko na zachodzie, lśniły oślepiając białością. W górze zaś, w miarę jak powietrzna zasłona pomiędzy mną a przestrzenią kosmiczną stawała się coraz cieńsza, niebo, które początkowo miało wiosenny, lekko niebieski kolor, nabierało intensywniejszej barwy przechodząc przez wszystkie pośrednie odcienie, aż stało się tak ciemne jak granatowe niebo o północy, a następnie czarne jak ciemność zimowych nocy, aż w końcu tak czarne jak żadna z czerni oglądanych przeze mnie za życia. Potem zaś jedna, wiele, aż w końcu niezliczone mrowie gwiazd rozsypało się po niebie: było ich więcej niż ktokolwiek kiedy widział z powierzchni Ziemi. Albowiem niebieskość nieba to światło słońca i gwiazd oślepiająco rozsianych w górze: nawet podczas najczarniejszych nocy zimowych światło jest rozproszone, a gwiazd nie widzimy w dzień za sprawą promieniowania Słońca. Ale teraz widziałem wszystko — nie wiem jednak w jaki sposób, z pewnością nie ziemskimi oczyma zjawisko oślepiania już mi nie przeszkadzało w patrzeniu. Słońce było niewiarygodnie dziwne i wspaniałe. Główną jego część stanowił dysk jaskrawego, białego światła, nie żółtawego, jak się wydaje tym, którzy żyją na Ziemi, ale sinobladego, poprzecinanego szkarłatnymi bruzdami i okolonego grzywą wijących się języków czerwonego ognia. Z obu boków tkwiły skrzydła srebrzystej białości, wybiegające daleko w głąb niebios, jaśniejsze niż Droga Mleczna i upodabniające Słońce raczej do uskrzydlonych kul, które widziałem w sztuce egipskiej niż do czegokolwiek innego na Ziemi. Wiedziałem, że musi to być korona słoneczna, choć jej nigdy nie oglądałem na oczy, poza może jakimś rysunkiem z czasów życia ziemskiego.

Kiedy ponownie zwróciłem swoją uwagę ku Ziemi, stwierdziłem, że znacznie się ode mnie oddaliła. Od dawna już nie można było rozróżnić miast i pól, a różnorodne kolory krajobrazu zlewały się w jednolitą jasną szarość, przełamaną tylko ostrą bielą chmur, porozrzucanych kosmatymi plamami nad Irlandią i zachodnią Anglią. Teraz widziałem zarysy północnej Francji i Irlandię, i całą wyspę brytyjską, aż do miejsca, gdzie Szkocja zachodzi za horyzontem na północ, albo gdzie wybrzeże było przysłonięte czy tylko zamglone chmurami. Morze miało kolor matowoszary, ciemniejszy od lądu, a cała panorama powoli obracała się w kierunku wschodnim.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że o sobie pomyślałem dopiero, gdy byłem około tysiąca mil nad Ziemią. Teraz jednak spostrzegłem, że nie mam rąk ani nóg, żadnych części ciała ani jego organów, i że nie czuję ani bólu, ani niepokoju. Pustka wokół mnie (bo dawno już zostawiłem powietrze za sobą) jest niewyobrażalnie lodowata, co mnie wcale nie zmartwiło. Promienie Słońca przeszywały pustkę, niezdolne do zapalania lub ogrzewania dopóki nie natrafiły na materię na swej drodze. Oglądałem otoczenie w pogodnym zapomnieniu, tak spokojny, jak bym był samym Bogiem. A pode mną, oddalając się z prędkością niezliczonych mil na sekundę — tam, gdzie ciemna kropka znaczyła położenie Londynu, dwóch lekarzy walczyło o przywrócenie życia owej pokrojonej i zużytej skorupie, którą opuściłem. Poczułem się wtedy tak wolny i tak uszczęśliwiony, że nie potrafię przyrównać tego do żadnej przemijającej radości, jaką dane mi było poznać.

Dopiero kiedy spostrzegłem to wszystko, pojąłem znaczenie owego oddalania się od Ziemi. Było to tak proste, tak oczywiste, że zdziwiłem się, iż wcześniej nie przewidziałem tego, co się ze mną teraz działo. Zostałem nagle oderwany od materii: wszystko co było we mnie materialnego, pozostało na Ziemi, oddalając się w wirowaniu, przytrzymywane przez Ziemię za pomocą siły ciążenia, stanowiące część ziemskiej bezwładności, poruszające się w wieńcu epicykli wokół Słońca i wraz ze Słońcem i planetami podążające w ich marszu przez przestworza. Ale to, co niematerialne nie posiada inercji, nie podlega przyciąganiu materii przez materię: tam, gdzie odchodzi ze swego cielesnego przyobleczenia, pozostaje w przestrzeni niewzruszone, o ile ma ona jeszcze nań jakiś wpływ. To nie ja opuszczałem Ziemię, to Ziemia opuszczała mnie, i nie tylko ona ale cały układ słoneczny przepływał obok. W przestworzach niezliczona ilość dusz, skrytych przed moim wzrokiem, rozsiana była na drodze, jaką przebywa Ziemia, dusz, podobnie jak ja odartych z materii i wszelkich namiętności i uczuć właściwych zarówno jednostce jak i stadnemu zwierzęciu; nagich inteligencji, obdarzonych nowo narodzoną dociekliwością i zdolnością myślenia, zadumanych nad przedziwnym uwolnieniem, które niespodziewanie stało się ich udziałem!

W miarę jak oddalałem się coraz szybciej i szybciej od dziwnego, białego Słońca na czarnym niebie, i od rozległej, lśniącej Ziemi, na której poczęło się moje życie, miałem wrażenie, że w jakiś niezrozumiały sposób staję się coraz bardziej obszerny; obszerny w porównaniu ze światem, który opuściłem, jak i w odniesieniu do chwil i okresów życia ludzkiego. Bardzo szybko ujrzałem pełny okrąg Ziemi, lekko garbaty, jak Księżyc, kiedy zbliża się ku pełni, ale bardzo duży; i srebrzysty kształt Ameryki pojawił się w blasku południa, tam, gdzie mała Anglia zdawała się połyskiwać jeszcze kilka minut temu. Początkowo Ziemia była duża i świeciła na niebie, wypełniając większą jego część, ale z każdą chwilą malała i oddalała się. W miarę kurczenia Księżyc, szeroki w swojej trzeciej kwadrze, wśliznął się w pole widzenia nad brzegiem jej zarysu. Szukałem konstelacji. Schowana była tylko ta część Barana, która znajdowała się bezpośrednio za Słońcem, oraz Lew, przysłonięty przez Ziemię. Rozpoznałem poszarpaną, krętą wstęgę Drogi Mlecznej z Wegą bardzo jasno świecącą między Ziemią i Słońcem; Syriusz i Orion lśniły wspaniale na nieprzeniknionej czerni w przeciwległej części niebios. Nad głową miałem Gwiazdę Polarną, a Wielka Niedźwiedzica zawieszona była tuż nad okręgiem Ziemi. Daleko, poniżej i ponad świecącą koroną Słońca znajdowały się dziwne zgrupowania gwiazd, których nigdy w życiu nie widziałem — a szczególnie zbiór o kształcie sztyletu, który znałem jako Krzyż Południa. Nie były one większe niż wtedy, kiedy świeciły na Ziemi; jednak małe gwiazdy, ledwo widoczne z Ziemi, błyszczały teraz

HERBERT GEORGE WELLS

Pod nożem

STRESZCZENIE POPRZEDNIEGO ODCINKA: Narrator jest chory i musi poddać się operacji, która odbywa się u niego w domu. Przybywają chirurg Haddon i asystujący mu Mowbray, zaś narrator — już po podaniu narkozy — zaczyna odczuwać zadziwiające wrażenie, iż widzi przebieg operacji, a zarazem czyta myśli lekarzy. Haddon nie jest pewien, jak operację przeprowadzić, narrator odbiera jego zdenerwowanie i wątpliwości.

Rys. Krzysztof Dzikowski

na tle czarnej pustki tak jasno, jak niegdyś gwiazdy pierwszej wielkości, a pokaźniejsze ciała były punktami o nieopisanej barwie i piękności. Aldebaran był plamką krwistoczerwonego ognia, a Syriusz skupił w jednym punkcie światło całego wszechświata szafirów. Gwiazdy świeciły równomiernie: nie migotały, były spokojnie wspaniałe. Moje wrażenia miały doskonałą wyrazistość: żadnej rozmytej miękkości, żadnej atmosfery, niczego poza nieskończoną czernią wysadzaną miriadami ostrych i połyskujących punktów i kropek światła. Kiedy ponownie spojrzałem na Ziemię, zdawała się nie większa od Słońca, a kiedy tak na nią patrzyłem, zmniejszała się i obracała, aż w końcu, w ciągu jednej sekundy, zmniejszyła się o połowę i malała dalej. Daleko, w przeciwnym kierunku widniał Mars jako jednostajnie świecąca mała różowa główka od szpilki. Nieruchomo płynąłem w pustce i bez śladu strachu czy zdziwienia przyglądałem się jak pyłek kurzu kosmicznego, który my nazywamy światłem oddala się ode mnie.

Stwierdziłem wtedy zmianę w moim poczuciu trwania: mój umysł pracował bynajmniej nie prędzej, a nieskończenie wolniej; pomiędzy każdym pojedynczym przeżyciem upływały całe dni. Trwało to tak długo, że Księżyc zdołał obiec Ziemię i zauważyłem wyraźnie przesuwanie się Marsa po orbicie. Co więcej, zdawało się, że okres czasu oddzielający jedną myśl od drugiej stale się zwiększa, aż w końcu tysiąc lat stanowiło w moim postrzeganiu ledwie chwilkę.

Początkowo konstelacje świeciły nieruchomo na czarnym tle nieskończonej przestrzeni; aż nagle odniosłem wrażenie, że grupa gwiazd wokół Herkulesa i Skorpiona kurczy się, natomiast Orion, Aldebaran i ich sąsiedzi nagle rozbiegają się na wszystkie strony. W nagłym błysku światła nadciągnęła ogromna ilość odłamków skał, świecąc jak cząsteczki kurzu widoczne w blasku promieni słonecznych, spowite w połyskliwą mgiełkę. Przemknęły obok i w mgnieniu oka przepadły daleko za mną. A potem zauważyłem, że jaskrawa plama świetlna, rozjaśniająca niebo obok mojej drogi, gwałtownie zaczęła rosnąć. To Saturn pędził w moim kierunku. Z każdą chwilą stawał się większy, połykając za sobą niebo i co chwila zagarniając nowe niezliczone gwiazdy. Zobaczyłem jego spłaszczoną, wirującą kulę, kolistą obręcz i siedem satelitów. Rósł w oczach, aż stał się olbrzymi; potem ogarnęły mnie przepływające miliony uderzających o siebie kamieni, roztańczonych cząsteczek pyłu i wirów gazowych i przez moment widziałem nad sobą ogromną potrójną obręcz niczym trzy koncentryczne łuki światła księżycowego, a jej cień czarno padał na kipiące poniżej kłębowisko. Wszystko to stało się w jednej dziesiątej czasu, jakiego potrzeba by to opowiedzieć. Planeta przemknęła jak błysk piorunu; na przeciąg kilku sekund skryła Słońce, a potem, w tym samym miejscu stała się zwykłą czarną malejącą uskrzydloną plamką widoczną w świetle. Nie widziałem już Ziemi, pyłku, który zrodził moje życie.

Tak oto z dostojną prędkością, z najgłębszej ciszy system słoneczny opadał ze mnie, zupełnie jakby był odzieniem, tak długo dopóki Słońce nie stało się jedną z gwiazd, których miriady, z wirującymi wokół punkcikami planet, gnęły w pełnym zamieszaniu, migotaniu odleglejszego światła. Nie byłem już mieszkańcem systemu słonecznego: dotarłem do zewnętrznego wszechświata, wydawało mi się, że pojmuję i rozumiem cały świat materii. Coraz szybciej gwiazdy zamykały się nad miejscem, gdzie Antares i Wega zniknęły w świetlistym zamgleniu, aż w końcu ta część nieba upodobniła się do wirującej masy mgławic. Przede mną stale otwierały się olbrzymiejące przestrzenie pustej czerni, gwiazd zaś świeciło coraz mniej. Zdawało się, że zmierzam do punktu położonego gdzieś pomiędzy mieczem i pasem Oriona; panująca tu pustka rosła z każdą chwilą. Wpadałem w niewiarygodną głębię nicości. Wszechświat przelatywał mimo mnie coraz szybciej, by w końcu stać się pędem wirujących pyłków, spieszących w milczeniu ku przestworzom. W miarę jak się przybliżałem, gwiazdy świeciły coraz mocniej, okrążające je planety pochłaniały światło stając się widmowe, po czym rozjaśniały się, by znów zniknąć w niebycie; ledwo widoczne komety, roje meteorytów, połyskliwe punkciki materii, wirujące plamki świetlne — wszystko to śmigało mimo mnie, niektóre oddalone o sto milionów mil, rzadko które bliżej, wędrując z niewyobrażalną szybkością, wystrzeliwując w tej ogromnej, czarnej nocy race konstelacji jak pociski płomieni. Najbardziej może przypominało to zapylony przeciąg, oświetlony promieniami słonecznymi. Coraz rozleglejsza, szersza i głębsza stawała się bezgwiezdna, pusta Dal, w którą mnie wciągało. W końcu już ćwierć niebios było ciemne i nieme, a cały ten pęd gwiezdnego wszechświata zamknął się za mną jak starannie zaciągnięta świetlna zasłona. Odpływała ona ode mnie jak monstrualny, błędny ognik pędzony przez wiatr. Wypłynąłem na bezdroża Kosmosu. Czerń stale się rozrastała, aż w końcu skupiska gwiazd zdawały się być ledwie rojem iskier, oddalających się pośpiesznie ode mnie, niewyobrażalnie dalekich, a zewsząd otaczały mnie ciemność, nicość i pustka. Wkrótce też ten niewielki świat materii, owa klatka składająca się z punkcików, gdzie rozpocząłem istnienie, zaczęła się zmniejszać i stała się wirującym okręgiem świetlistego połyskiwania, a zaraz potem małym kółkiem mglistego blasku. Za chwilę skurczy się do wymiarów łebka od szpilki, a w końcu zniknie na dobre.

Nagle wróciło mi czucie — czucie w postaci przeraźliwego strachu: takiej obawy przed tymi ciemnymi otchłaniami, jakiej żadne słowa nie są w stanie opisać, a także jako gwałtowny przypływ współczucia i pragnienia towarzystwa. Czy były w tej ciemności inne dusze, niewidzialne dla mnie jak i ja dla nich? Czy też tak jak to przeczuwałem, byłem naprawdę osamotniony? Czy przeszedłem z bytu w stan, który nie jest ani bytem, ani niebytem? Odarto mnie z okrycia, jakie stanowiło ciało, materia, odarto mnie z przywidzeń o koleżeństwie i poczucia bezpieczeństwa. Wszystko było czarne i nieme. Przestałem istnieć. Byłem niczym. Nie istniało nic poza tym nieskończenie małym punktem światła, znikającym w otchłani. Czyniłem wysiłki, aby widzieć i słyszeć, i przez chwilę nie było nic poza nieskończoną ciszą, nieznośną ciemnością, strachem i rozpaczą.

Potem zauważyłem, że punkt światła, do rozmiarów którego skurczył się świat materialny, otacza delikatna poświata. Obok niej zaś ciemność nocy była jakby mniej intensywna. Wydawało mi się, że się temu przyglądam przez całe wieki i jakby dzięki temu długiemu czekaniu mgiełka stawała się niepostrzeżenie wyraźniejsza. Następnie, wokół niej ukazała się nieregularna chmurka o niezwykle delikatnym, jasnobrązowym zabarwieniu. Ogarnęła mnie straszna niecierpliwość; jednak wszystko jaśniało tak powoli, że zdawało się w ogóle nie zmieniać. Co się odsłoni moim oczom? Czym jest ten dziwny czerwonawy wschód w nieskończonej nocy Kosmosu?

Kształt chmury był groteskowy. Zdawało się, że jest zebrana wzdłuż dolnego brzegu w cztery wypustki, zaś u góry kończy się linią prostą. Co to za zjawisko? Byłem pewien, że widziałem już ten kształt poprzednio, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć ani gdzie, ani kiedy, ani tym bardziej co to było. Nagle przyszło olśnienie. To zaciśnięta pięść. Byłem osamotniony w kosmosie, sam na sam z tą wielką, pokrytą cieniem ręką, na której cały Wszechświat Materii spoczywał jak drobny pyłek kurzu. Miałem wrażenie, że długo się temu przyglądam. Na palcu wskazującym połyskiwał pierścień: a wszechświat, z którego przybyłem był tylko kroplą światła na łuku pierścienia. Przedmiot, który ściskała ręka podobny był do czarnego prętu. Przez długą wieczność obserwowałem Rękę ściskającą pręt, zastanawiając się, obawiając i czekając bezradnie na to co może nastąpić. Wyglądało na to, że nic i że będę musiał już na zawsze wpatrywać się widząc tylko Rękę i przedmiot, który trzyma, nie pojmując znaczenia tego widoku. Czy cały świat był tylko światełkiem załamującym się w jakimś potężniejszym Bycie? Czy nasze światy były tylko atomami innego wszechświata, te z kolei atomami następnego, i tak dalej w nieskończonym postępie? Czy naprawdę byłem niematerialny? W moją niepewność wkradło się mgliste przekonanie o tym, że nabieram ciała. Nieprzenikniona ciemność dookoła Ręki zapełniała się niewyczuwalnymi sugestiami, niepewnymi, falującym kształtami.

Pojawił się dźwięk, przypominający odgłos bijącego dzwonu; słaby, niezwykle daleki, przytłumiony, jakby słyszany przez gęstą zasłonę ciemności: głęboki, wibrujący pogłos, z długimi przerwami ciszy po każdym uderzeniu. Ręka zdawała się zaciskać na pręcie. Wysoko ponad Ręką, nieomal u szczytu ciemności, ujrzałem koło o przytłumionej fosforescencji, widmowe koło, z którego dobywały się owe dźwięki; przy ostatnim uderzeniu Ręka zniknęła, bowiem nadeszła godzina, i usłyszałem szum bezkresu wód. Jednakże ciemny pręt pozostał jak wielka wstęga przecinająca niebo. Potem zaś głos, który zdawał się docierać do najdalszych części przestworzy, odezwał się, mówiąc: „Nie będzie więcej bolało".

Ogarnęła mnie wtedy radość i zadowolenie, i ujrzałem koło lśniące jasno i wyraźnie, i połyskujący czarnym blaskiem pręt i wiele innych przedmiotów stało się wyraźnie widocznych. A koło to było tarczą zegara, a pręt poręczą łóżka. Haddon stał w nogach, oparty o poręcz, trzymając w palcach małe nożyczki, wskazówki zegara nad kominkiem za jego plecami zachodziły na siebie wskazując godzinę dwunastą. Mowbray mył coś w misce na ośmiokątnym stoliku, w boku zaś czułem coś przytłumionego, co trudno byłoby nazwać bólem.

Operacja nie zabiła mnie. Nagle stwierdziłem, że nużąca melancholia ostatniego półrocza ulotniła się z mojej duszy.

Przekład: ANNA ZASTAWNIK

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

„Wszystko dozwolone"

Radzieckiej fantastyce powstałej w dwudziestym wieku, a szczególnie po roku 1917, (wyjąwszy może jedynie Zamiatina) zarzucić można ogólnie pewien schematyzm i skłonność do, nie zawsze uzasadnionego, optymizmu. W praktyce pisarskiej wygląda to w ten sposób, że nadrzędną cechą wszystkich wymyślonych światów jest dążenie do idealnych systemów społecznych, zbliżonych modelowo do socjalizmu lub komunizmu, pojmowanego zresztą w sposób wyidealizowany. Jest to oczywiście realizowane różnie, lepiej lub gorzej, zależnie od umiejętności autora. Skrajnymi niejako przykładami mogą być tutaj z jednej strony, klasyczna już, „Mgławica Andromedy" Iwana Jefremowa — ukazująca model społeczeństwa komunistycznego na skalę nieledwie galaktyczną, z drugiej zaś, powieści braci Strugackich, ukazujące gwiezdne społeczności w różnych, często wczesnych fazach rozwoju. Porównanie ich jednak z naszą, ziemską cywilizacją wskazuje, że wcześniej czy później, często z, cichą pomocą Ziemian, ideał ustrojowy zostanie osiągnięty.

Powieść „Wszystko dozwolone" mieści się w tym właśnie modelu. Jej twórcy, spółka autorska Aleksandra i Siergieja Abramowów jest zjawiskiem tyleż ciekawym, co nietypowym. Aleksander (ojciec) ma lat ponad osiemdziesiąt, Siergiej (syn) o połowę mniej. Aleksander jest pisarzem i krytykiem ukształtowanym twórczo w okresie, kiedy w literaturze obowiązywały zupełnie inne prądy i konwencje, który na dodatek fantastyką zainteresował się jako człowiek bez mała siedemdziesięcioletni; Siergiej jest inżynierem i dziennikarzem wychowanym już po II wojnie światowej.

Znaczna różnica wieku, doświadczeń i, niewątpliwie, sposobu myślenia daje możliwość godzenia na gruncie literackim różnych światopoglądów i technik pisarskich. Na postawy literackie Aleksandra miał wpływ najwybitniejszy w latach dwudziestych naszego wieku rosyjski pisarz-fantasta Aleksander Bielajew, gusta literackie Siergieja kształtowały się pod wpływem Jefremowa i socrealistycznej literatury radzieckiej lat pięćdziesiątych. Piszę tak szeroko o proweniencjach literackich autorów, bowiem wydaje się, iż w wyniku ich twórczej współpracy winny powstawać dzieła nieszablonowe i niebanalne. Tak się niestety nie dzieje. Zarówno wydana w języku polskim w 1969 roku powieść „Jeźdźcy znikąd", jak i omawiana obecnie, nie wyrastają ponad przeciętność. Dlatego też, nie zatrzymując się dłużej przy warstwie fabularnej utworu, zajmiemy się bliżej kilku wybranymi problemami, charakterystycznymi dla pisarstwa Abramowów i ich radzieckich kolegów po piórze.

Powieść schematem nie odbiega od niezwykle popularnego w science fiction „modelu wyprawowego". Ekspedycja z Ziemi napotyka na odległej planecie obcą cywilizację; treścią utworu jest poznanie tajemnic tej cywilizacji i próba wpływu na jej dalsze losy, niezwykle zresztą brutalna, choć skuteczna.

Powieści tego rodzaju podzielić można na kilka charakterystycznych grup. Z jednej strony jest to typowa, sensacyjna masówka, mierna poznawczo i literacko, opisująca niezliczone „gwiezdne wojny" dobrych i szlachetnych Ziemian ze złymi „obcymi", z drugiej, utwory obrazujące światy ekologicznie i kulturowo całkowicie odmienne od Ziemi, jakkolwiek zbudowane spójnie, logicznie i przekonywająco. Do tej drugiej grupy należy m. in. jeden z najlepszych tworów współczesnej sf — powieść Franka Herberta „Dune".

Jednocześnie wśród ambitnych pisarzy science fiction panuje w zasadzie przekonanie o niecelowości ingerencji w życie innych światów. Jeżeli taka ingerencja zachodzi, kończy się ona z reguły fatalnie. Taką właśnie przejmującą wizję zniszczenia wspaniałej cywilizacji, przez mechaniczne przenoszenie ziemskich wzorów i ideałów, stanowią „Kroniki marsjańskie" Raya Bradbury'ego.

Inny nurt fantastyki — także w przypadku omawianej powieści — stoi na stanowisku dopuszczalności ingerencji w rozwój innych cywilizacji, choć w zasadzie jedynie w przypadkach szczególnych, w imię wyższych racji. Zazwyczaj jest to ingerencja dyskretna, natomiast w powieści Abramowych ziemska ekspedycja wręcz bierze udział w społecznym przewrocie.

Problem drugi to budowa świata przedstawionego. Średniowieczny filozof Ockham głosił tezę, że (w dużym uproszczeniu oczywiście) dla opisania jakiegoś zjawiska „nie należy mnożyć bytów nad istniejące potrzeby". Zasadę tę, zwaną „Brzytwą Ockhama", winien mieć powieszoną nad biurkiem każdy twórca literatury fantastycznej. Możliwość kreacji dowolnych rzeczywistości staje się bowiem pokusą, środkiem pozornie atrakcyjnym, a często prowadzącym na manowce. Od tych błędów nie jest wolna powieść Abramowów. Już założenia ich świata są wysoce nieprawdopodobne. Jest on praktyczną realizacją starożytnego systemu filozoficznego Arystypa z Cyreny — hedonizmu — w myśl którego rozkosze zmysłowe są celem życia, jedynym dobrem i probierzem moralności. Czytelnika mniej obeznanego z historią filozofii ma na właściwy ślad naprowadzić, niezbyt udany zresztą, chwyt literacki nazwania planety Hedoną — jeszcze przed odkryciem na niej cywilizacji — co dodatkowo osłabia prawdopodobieństwo całości. Tworząc obraz cywilizacji na Hedonie autorzy przedstawiają dwie klasy społeczne — korzystających z nieustających rozkoszy i ich dostarczycieli — przy czym dopiero Ziemianie przekonują „dostarczycieli rozrywek" co do niesłuszności modelu stosunków społecznych na planecie.

Dzieje się to w technologicznym sztafażu nie podlegającym żadnym ograniczeniom. Dowolne przekształcanie materii i energii, transformacje, korzystanie z innych wymiarów, teleportacja, telepatia i tym podobne pomysły przywoływane bez potrzeby i umiaru, również nie podnoszą walorów powieści. Dochodzi do tego sztampowy i schematyczny rysunek postaci, które nie dysponują żadnym życiem wewnętrznym, a jedynie są etykietami przydzielonych im ról.

Sprawność warsztatowa autorów i — szczególnie w drugiej części — wartka akcja, powodują jednak, że powieść daje się czytać, zachęcałbym wszakże czytelnika do przemyślenia po lekturze zasygnalizowanych powyżej problemów.

I jeszcze jedna uwaga. Wydawnictwo „Iskry" już po raz trzeci zmienia wygląd zewnętrzny serii „Fantastyka — Przygoda" i — niestety — za każdym razem na gorsze. Obecna propozycja, zarówno formatem, jak i rozwiązaniami graficznymi nawet nie umywa się do pierwszych książek serii, co skłania do niezbyt optymistycznych prognoz. W sumie — lektura na jedno popołudnie — niezbyt ambitna, ale i niezbyt wymagająca.

STEFAN OTCETEN

Aleksander Albramow, Siergiej Abramow, „Wszystko dozwolone", przełożył Sławomir Kędzierski. Warszawa 1982, „Iskry", s. 216, nakład 30 tys., seria „Fantastyka — Przygoda".

„To jest to", czyli refleksje przy lekturze „Wizji lokalnej"

Zgodnie z tym, co zapowiadałem w rubryce „Spod Lady" przeczytałem książkę Lema po raz drugi, a potem jeszcze po raz trzeci. To jest naprawdę to. Od razu chcę jednak ostrzec osoby rozmiłowane w fantastyce typu „sensacja", że nie mają w tej książce nic do szukania. Wprawdzie jest tam akcja, i owszem, nawet dosyć żywa miejscami, ale nie o nią chyba w książce chodzi. Pewne partie czyta się naprawdę ciężko, a to ze względu na samą poruszaną problematykę. Takim fragmentem, którego nie wolno czytać, a trzeba studiować, jest opis studiów Tichego w archiwum MSZ. Ale też, przynajmniej dla mnie, jest to część najbardziej w całej książce frapująca.

Pamiętam z lektury „Fantastyki i Futurologii" narzekania Lema na niekonsekwencję niektórych autorów, a właściwie na niewyciąganie wniosków z własnych, znakomitych nieraz pomysłów. Cóż z tego, że autor wymyśla jakąś rasę w kosmosie, obdarza ją cechami obcymi dla humanoidów. I co? I nic. To już wszystko co potrafią. A „Wizja lokalna" właśnie nie tylko opisuje inną, choć pozornie (to znaczy z wyglądu jedynie) podobną do ludzi, humanoidalną rasę, nie tylko obdarza ją innym sposobem rozmnażania, ale opisuje wszelkie (chyba) konsekwencje płynące z odmiennego ukształtowania spraw płci. Znajdujemy tam „opis" psychologii, socjologii i obyczajowości tych istot. Wprawdzie nie jestem ekspertem od spraw ewolucji, ale od czego znajomości. Poprosiłem więc do pomocy fachowca, czyli p. Ewę Godzińską, etologa z Instytutu Biologii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk. Oto jej opinia w sprawie wiarygodności przedstawionych w książce procesów ewolucyjnych:

„Cała przedstawiona przez Lema ewolucja wygląda bardzo przekonywająco, brakuje jednak tych form, które powstały w ziemskiej ewolucji tam, gdzie istniało środowisko podobne do „błoceanu". Wbrew pozorom odpowiednik „błoceanu" istnieje również na Ziemi. Zajmuje on mianowicie dno oceanu. Większą część powierzchni tego dna, jak dowodzą badania oceanograficzne, pokrywają niesłychanie grząskie namuły, składające się ze szczątków organicznych, w tym zwłaszcza z niezliczonych miniaturowych szkielecików morskich pierwotniaków — otwornic.

Istnieje wiele organizmów żywych, u których wykształciły się specjalne przystosowania do życia w tym środowisku. Dla wielu z nich najbardziej istotną rzeczą jest przebywanie na granicy obu tych obszarów, to znaczy namułów i wody morskiej. Aby zapobiec zapadaniu się w namułach powstały u tych zwierząt liczne, specjalnie do tego tylko służące narządy. Są to na przykład parasolowate twory na odnóżach służące jako swego rodzaju „spadochrony", poza tym długie, gwiaździście rozgałęziające się odnóża ułatwiające ślizganie się po powierzchni osadów dennych bez zapadania się w nich. Narządy te istnieją nieomal we wszystkich grupach systematycznych zwierząt dennych. Świadczy to o tym, że rozwinęły się one w procesie ewolucji niezależnie, co dodatkowo potwierdza przypuszczenie o tym, że przyczyną ich powstania była pełniona przez nie obecnie funkcja. To zaś świadczy o tym, że funkcja ta jest życiowo ważna.

Pan Lem opisał w bardzo precyzyjny i logicznie spójny sposób ewolucję życia na Encji i wydaje się, że brakuje tu jedynie przystosowań wyżej opisanego typu, a ich nieobecność nie jest nigdzie wyjaśniona. Całość książki jest jednak bardzo spójnym wykładem ewolucji innego niż ziemski typu, prowadzącej jednak w zasadzie do bardzo podobnych skutków: Encjanie, rozumne „człaki", pochodzące od ptaków, a nie ssaków jak ludzie, mimo wielu różnic anatomicznej natury, są jednak pod wieloma względami antropoidalne, przy czym owa człekopodobność nie jest tu skutkiem jakiejś niewytłumaczalnej, czy też apodyktycznej zbieżności, nie powstała w „sposób cudowny", lecz jak najbardziej naturalny, zgodny z tym, co wiemy o mechanizmach ewolucji biologicznej. Jest ona następstwem konieczności przystosowawczych, które będą zapewne istnieć także i w rozwoju pozaziemskich istot żywych".

Tyle fachowiec w sprawach biologicznych. Pozostaje jeszcze równie ważny aspekt — techniki. Chodzi mi tu o technikę Encjan. Sytuacja zastana przez Tichego na Encji to dwie skrajności i obie można powiedzieć w postaci ostatecznej. Zwłaszcza Luzańczycy osiągnęli poziom rozwoju taki, że praktycznie nie jest możliwe „wyzwolenie się", czego by się pod tym terminem nie rozumiało. Jest tu też pewien haczyk. Tak to przynajmniej ja odebrałem. Stan luzańskiego społeczeństwa jest przecież także perspektywą, choć odległą, dla Ziemian! Nic nie stoi na przeszkodzie (z wyjątkiem może wojny atomowej) byśmy za kilkanaście co najwyżej wieków osiągnęli ten sam poziom. I to jest niestety akcent smutny. Ziemianie tu z książki ostry pesymizm co do przyszłości ludzkiej cywilizacji. Zaś sugestywność wizji i wielka siła przekonywania u autora, jakby nie było, najwyższej światowej klasy, każą mi z obawą patrzeć w przyszłość. Książka bowiem przekonała mnie na tyle, że nie widzę osobiście alternatywnego wariantu stanu końcowego ludzkości. Pocieszam się jedynie myślą, że ani ja, ani moje dzieci tego nie dożyją. Ale tak naprawdę, czy jest to powód do radości?

Wróćmy jednak do książki, jako dzieła literackiego. Język! Książka jest napisana po prostu po polsku. Będąc „zmuszony" niejako do czytania licznych książek i opowiadań fantastycznych w całości i do końca (wszak nie mogę wydać opinii, czy też napisać recenzji na podstawie pierwszych kilku stron) mogę powiedzieć, że czytanie w języku polskim jest naprawdę przyjemnością.

To i cała reszta powoduje, że uważam tę pozycję za najlepszą z książek Lema, a ze znanych mi obcojęzycznych pozycji (w obrębie fantastyki) chyba też najlepszą. A to chyba o czymś świadczy.

DARIUSZ MILERSKI

Notowania giełdowe. Styczeń '83

Zgodnie z obietnicą daną przy okazji omawiania pierwszego numeru miesięcznika „Fantastyka" rozpoczynamy dziś publikowanie listy notowań giełdowych. Zamierzamy w najbliższym czasie opracować system przeliczników i współczynników, który pozwoliłby w sposób możliwie precyzyjny porównywać wartość poszczególnych książek biorąc za podstawę notowania giełdowe właśnie. Sądzę, że już w przyszłym miesiącu uda się nam coś takiego stworzyć, we wstępnym przynajmniej zarysie. Nie jest to bowiem sprawa prosta. Jak porównać książkę, która ma przeszło tysiąc stron, z taką co ma ich 150? A wysokość nakładu, a rok wydania, a bariera psychologiczna występująca przy wyższych cenach. Jako prowadzący giełdy od przeszło roku, wiele mógłbym na ten temat powiedzieć. Różne też bywają giełdy. Ten sam tytuł można w jednym miesiącu kupić za 800 zł, a w następnym za 500, czy 400 zgoła. Dlatego też poniżej publikujemy 10 tytułów, które (bez stosowania jakichkolwiek przeliczników) osiągnęły na styczniowej giełdzie SFANA ceny najwyższe.

A może ktoś z czytelników zaproponuje nam system oceny? Czekamy jak zawsze na listy. I jeszcze jedno. Zwracamy się z prośbą do wszystkich klubów w kraju o nadsyłanie własnych list. W miarę wolnego miejsca spróbujemy je zamieszczać. Z czasem może uda się stworzyć jakąś listę wspólną. Czekamy na propozycje, a oto nasza pierwsza lista:

1. **Tolkien „Władca Pierścieni" — 1.900 zł**
2. **Asimov „Pozytronowy detektyw" — 500 złotych**
3. **Dick „Ubik" — 500 zł**
4. **Boruń, Trepka „Proksima" — 400 zł**
5. **Wyndham „Dzień tryfidów" — 400 zł**
6. **Shelley „Frankenstein" — 260 zł**
7. **Asimov „Koniec wieczności" — 210 zł**
8. **Clarke „Na podbój przestrzeni" — 210 zł**
9. **Zajdel „Limes inferior" — 150 zł**
10. **Harrison „Planeta śmierci" — 130 zł.**

Propozycje 9 i 10 zostały umieszczone na innej nieco zasadzie niż reszta. Książek w cenie ok. 200 zł było sporo, ale były to wyłącznie pozycje starsze, podobnie jak wszystkie na naszej liście. Z wyjątkiem Tolkiena, ale to już zupełnie inna historia.

SFAN-KLUB Warszawa

Kącik korespondencyjny

DRODZY CZYTELNICY — AUTORZY, TŁUMACZE, RECENZENCI!

Wprowadzamy od dziś nową rubrykę na naszych kolumnach. Na adres redakcji i SFANA przychodzi coraz więcej listów i utworów. Czytamy oczywiście wszystkie. Naprawdę. Niestety, większość nadsyłanych „tworów" nie może być nazwana utworami, nie prezentują sobą bowiem nawet miernego poziomu. Na listy staramy się odpisywać, choć czasem trwa to dosyć długo. Od dziś jednak, niektórym korespondentom będziemy odpowiadali na łamach „Odgłosów". W zasadzie, odpowiadali będziemy autorom tekstów najciekawszych spośród tych, które nie zasługują jeszcze na publikację. Utwory zasługujące, rzecz jasna opublikujemy. Jeśli ktoś nie życzy sobie odpowiedzi drukiem, mając wątpliwości co do jakości własnych utworów, niech to wyraźnie w liście zaznaczy. I jeszcze jedno. Prosimy wyraźnie i czytelnie podawać adresy z numerami kodu. Zarówno przy odpisywaniu, jak i przy wysyłce honorariów ma to kapitalne znaczenie.

KOL. ROBERT K. — POZNAŃ.

Nadesłanego opowiadania nie możemy wydrukować. Pomysł jest niestety powieleniem klasycznego w fantastyce schematu mimowolnego stworzenia wszechświata. Rażą też błędy rzeczowe. Po co na przykład mikrokomputer „wyplul z siebie kilkaset metrów taśmy perforowanej", skoro i tak wynik wyświetla na monitorze, a ze wzmiankowanej taśmy bohater nie ma nawet zamiaru korzystać? Nie jest to oczywiście jedyny błąd tego typu. Również język utworu pozostawia wiele do życzenia. Czekamy na kolejne, lepsze prace.

KOL. PAWEŁ P. — POZNAŃ.

Tekst „Jak zrobić film SF", choć dobrze przetłumaczony uważam za raczej nieciekawy. Zwłaszcza, że podobny (o pisaniu książki) był w „Krokach w nieznane".

Drugi nadesłany artykuł (na przyszłość prosimy pisać każdy tekst od nowej strony) w zasadzie kwalifikujemy do druku ze względu na zawartość merytoryczną. Radziłbym jednak nieco go poprawić w warstwie językowej i koniecznie podać źródło przekładu (Tytuł, rok, numer).

KOL. MARIAN R. — ZIELONA GÓRA.

Oczywiście, interesują nas wiersze o tematyce fantastycznej. Szkoda tylko, że nie przesłałeś od razu próbek. Jeśli będą przynajmniej poprawne, ze względu na unikalność tematu — wydrukujemy.

* * *

Jeszcze jedna prośba do wszystkich, którzy nadsyłają swoje utwory do redakcji bądź do SFANA. Prosimy nadsyłać prace w postaci tak zwanego maszynopisu znormalizowanego, czyli 30 linijek tekstu na stronie i po 60—65 znaków w linijce. Bardzo to nam ułatwia życie. Nie byłoby źle nadsyłać po 2 egz. każdej pracy, ale nie jest to warunek konieczny. Przypominamy też, że nadesłanych prac nie zwracamy.

DAREK M.

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

Nosal wesoły — *Trixis rirens.*

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny

„Za czym kolejka ta stoi" — zapyta zdumiony Czytelnik posługując się znanym, choć niezbyt poprawnym cytatem z Ernesta Brylla. Otóż, wbrew pozorom, nie stoi ona pod kioskiem Ruchu w celu nabycia nowego numeru tygodnika „Odgłosy" z niezrównaną, niesłychanie atrakcyjną kolumną ajencyjną. Ten szereg rozemocjonowanych panów, to nasi Drodzy Czytelnicy, którzy po obejrzeniu zdjęcia Panny Basieńki dwa tygodnie temu postanowili odpowiedzieć na nasz apel i przynieśli do redakcji całą masę zdjęć uroczych Pań i Panien z prośbą — ba! z żądaniem! — co rychlejszego zamieszczenia tych fotek na naszych łamach.

Nie mogąc odmówić tak stanowczym prośbom postanowiliśmy już od najbliższego numeru zamieszczać kolejne portrety, akty i półakty skierowane do nas przez Naszych Drogich Czytelników, skądinąd wielbicieli widniejących na zdjęciach modelek. Już za tydzień!

2 STYCZNIA

Właściwie to już od dawna myślałem o prowadzeniu pamiętnika, ale ciągle jakoś nie mogłem zabrać się do pisania. Najpierw nie było warunków...

Mieszkanie spółdzielcze mieliśmy dostać mniej więcej dwa lata po ślubie, więc „na razie" zamieszkaliśmy w wynajętym. Przez pierwsze miesiące cieszyliśmy się jak dzieci, a potem ...bardzo szybko zaczęliśmy się starzeć. W spółdzielni obiecali zrobić, co się da. Podczas 26-tej wizyty zauważyłem nieśmiało, że 15 lat czekania, to chyba starczy jak na jedno życie. Czy długo jeszcze kuchnię, przedpokój, łazienkę, sypialnię i gościnny mamy mieć w jednym pokoju? A co będzie, gdy urodzi się dziecko? Panienka w okienku była zdziwiona: ma pan kuchnię, łazienkę, sypialnię, przedpokój i gościnny i jeszcze panu źle? Pan wie, w jakich ludzie mieszkają warunkach?! A w sprawie dzieci niech pan lepiej porozmawia z prezesem. Przedtem nie chodziłem nigdy do prezesa jak wielu moich znajomych, uważając iż prezes ma na głowie dużo ważniejsze sprawy, ale skoro jednak trzeba... Rozmawialiśmy dwie minuty, prezes zalecił cierpliwość i środki antykoncepcyjne.

Później z kolei nie było czasu. Wokół działo się tyle ważnych rzeczy, że nawet do spółdzielni nie miałem kiedy chodzić. Zresztą okazało się to zupełnie zbędne, gdyż wkrótce — ku naszemu ogromnemu zdziwieniu — otrzymaliśmy pocztą na A-4 słownie jedno, ale jakże ważne zdanie — jesteśmy przewidziani na przyszły rok. Warunkowo!

Wreszcie nie było na czym pisać, jako że do szkoły przestałem uczęszczać już dość dawno, a wszystkie perswazje i błagania, że dorosłym też czasem potrzebny jest zeszyt (choćby w celu napisania listu, skoro brak w sprzedaży papeterii), nie odnosiły żadnego skutku.

— Teraz stawiamy na dzieci i młodzież, powiedziała z dumą w głosie ekspedientka. — A o braki w zaopatrzeniu niech pan ma pretensje do spekulantów, którzy powodowani chęcią łatwego zysku, wykupują dosłownie wszystko, żeby potem sprzedać z zyskiem. Za moich czasów tego nie było! A w zeszytach pisało się ołówkiem, ścierało gumką i znów pisało. — To może chociaż gumkę i ołówek... — zapytałem cicho.

— A czym dzieci będą rysować?! Ma pan dzieci? — Nie. — No, właśnie, to wszystko wyjaśnia. Za moich czasów...

Na szczęście tuż przed świętami Bożego Narodzenia, w czasie generalnego sprzątania już w naszym nowym mieszkaniu znalazłem w jednym z kartonowych pudeł ten oto brulion, w którym teraz notuję te słowa. Od razu zdecydowałem przeznaczyć go na pamiętnik. Co prawda Małgosia chciała przepisać w nim chociaż kawałek „Kuchni polskiej", którą obiecała pożyczyć na parę dni znajoma, pracująca w księgarni (gdybyście powiedzieli wcześniej — powiedziała kiedyś z wyrzutem — załatwiłabym wam na własność, bo wyniosłam pięć egzemplarzy...), ale w końcu dała się przekonać, że pamiętnik jest o wiele ważniejszy. W końcu „Kuchnia polska" to taka sama książka jak np. powieść science fiction, a pamiętnik to pamiętnik.

I tak oto mogę już zacząć pisać, tylko nie wiem jeszcze od czego by tu zacząć...

SZANOWNY (że się tak wyrażę) KOLEGO!

Tak oto medytowaliśmy.

Młodszy Mleczny Brat jako poborca nocny.

Nasza propozycja, co począć z Mlecznym Bratem.

Podróżowaliśmy sobie tędy i owędy, medytując — patrz zdjęcie — o tym i tamtym, jak sobie radzicie, na przykład. Wracamy z tych wojaży, kupujemy „Odgłosy" na tragu staroci — facet chciał 3,50, daliśmy całych 5 złotych, żeby biedaczyna znał gest ex-ajenta — i widzimy, że owszem, Kolumna Ajencyjna ukazuje się jak żywa, cała w paskach od góry do dołu.

— Ładne to akurat nie jest — pomyśleliśmy — ale dobre choćby to, że facet wie, co go czeka i przyzwyczaja się do gustownego stroju w prążki.

Wzruszyliśmy się też Waszą wypowiedzią, kolego były Naczelniku Wydziału, dotyczącą naszej skromnej osoby. Była sympatyczna i rozsądna, choć czytywaliśmy także rzeczy milsze i inteligentniejsze. Natomiast co do Młodszego Mlecznego Brata, daliście się, Kolego, wpuścić w maliny. Jest to niestety nasz rzeczywisty mleczny brat, bo skąd w innym przypadku mielibyśmy w rodzinnym archiwum jego fotkę z młodości?! Pracował wówczas głównie w parkach, jako nadetatowy poborca nocny, ale zmieniwszy pracę nie zmienił przecież charakteru...

Mniejsza zresztą o obelgi, którymi nas pomieniony obrzucił. Zważcie wszakoż, Kolego, że plotąc bajdy o krociowych dochodach z ajencji, podły intrygant spłodził w istocie donos do nowo powstałego Urzędu Skarbowego, który to urząd nie mnie jednak, a Wam — aktualnemu ajentowi — podatki wymierzy i domierzy.

Lubicie płacić, to płaćcie, doradzałbym jednak począć z moim Młodszym Mlecznym Bratem jak na wysoce dydaktycznym i umoralniającym zdjęciu, które załączam wraz z pozdrowieniami.

BYŁY AJENT

Zdanie — przeczytane w otwartej na chybił trafił książce — wprawiło mnie w głęboką zadumę. Stało tam tak: „...Jeśli rzeczywistość społeczna jest układem wielu emergentnych poziomów, to — zgodnie z tezą o dialektycznej jedności myślenia i bytu — wewnętrzna struktura teorii socjologicznej powinna stanowić odwzorowanie ontologicznych właściwości świata społecznego".

Święte słowa. Bo taki na przykład poziom emergentny rzeczywistości społecznej. Czy — dajmy na to — taki spekulant, albo — pardon — ekstremista — ma prawo istnieć na powszechnie uznawanym poziomie emergentnym? Co oni w ogóle robią w naszej dialektycznej jedności myślenia i bytu?

Niektórzy twierdzą, jakoby człowiek całe życie się uczył, no i okazuje się, że to prawda. Jakże tu nie sięgać po książkę, kiedy dopada mnie głęboki kompleks niedouczenia. Choć znaleźli się jedni tacy, co dali mi do ręki dyplom magistra. Tylko kto to dzisiaj jest magister? Czy taki wie, że utwór, który właśnie czyta, to jest powiadomienie z naddatkiem organizacji tekstu? No? I co tu mówić o dogłębnej analizie owego naddatku.

Siadłszy więc u ksiąg uczonych, wyczytałam, że poezja jest projekcją zasady ekwinalencji (otóż to!) z osi wyboru na oś kombinacji oraz, że obraz autora osobowego jawi się w tekście dzieła literackiego, jako korelat wszelkiej minimaliej porcji innowacji, jaką jednostkowy przekaz wnosi do procesu historyczno-literackiego. Kto by to pomyślał? Dotychczas byłam głęboko — i jakże niesłusznie — przekonana, że ekwinalencja z osi wyboru na oś kombinacji przynosi szybkie, duże, choć niekoniecznie legalne zyski, zaś minimalna porcja innowacji — w postaci, na przykład nowej kiecki — doskonale robi na samopoczucie.

W dodatku okazuje się, że taki obraz autora w dziele literackim uświadamia sobie już co to jest „ecriture", „homo atrifex socialis", a nawet czym są relacje syntagmatyczne.

Nie rykształcisz

O Bogowie! Jak ja mało wiem! Wiem natomiast, a przekonała mnie o tym wybitna dysertacja doktorska, jak wygląda „Geneza starosłowiańskich okrzyków popędzania konia" (przysięgam, że autentyczne!). W obliczu tak epokowej konstatacji nawet hołajza, co się zablindowała i nie rykształcisz, to małe piwo. Po stokroć rację mieli starożytni Rosjanie twierdząc, że — bez wódki nie razbieriosz. Faktycznie. Bez pół litra to ona — ta hołajza znaczy — przenigdy nie zarykształcisz. Mimo wszystko nie jest to jednak najważniejszy problem. Są znacznie gorsze. Rzeczywistość społeczna na ten przykład.

Co począć z zaplątanym węzłem naszej rzeczywistości, to wiedzą wszyscy, albo prawie wszyscy. Co człowiek, to recepta. Jedni chcą chleba po równo dla wszystkich, inni szynki za zasługi. A nikt jakoś nie wpadł na pomysł najprostszy. Okazuje się otóż, że zastosowanie metody holizmu umiarkowanego oczywiście, broń Boże nie skrajnego, daje zdumiewające rezultaty. Można przy jego pomocy rozwiązać nie takie kryzysy, jak nasz (choć czy to możliwe, żeby mogło być jeszcze gorzej?).

Tu wszakże wyłania się pewna trudność, albowiem trwa spór o metodę i różne są szkoły. Poza — odrzuconym pryncypialnie — skrajnym holizmem, nasz układ meryologiczny można interpretować z pozycji symultatywnych, bądź, jak chcą inni, metodą nominalistyczną. Ta ostatnia zakłada badanie przebiegu fazy addytywnej, a jeszcze lepiej — superaddytywnej. Cieszy fakt, że w ogóle istnieją jakieś szkoły.

Gdy jednak powstanie spór między uczonymi a praktykami, wówczas już nawet sztender roztrajbowany nie pomoże.

I co wtedy? Jedynym ratunkiem okazać się może studiowanie ksiąg szarpiących głębię wyalienowanego jestestwa.

OSOBISTA SEKRETARKA NACZELNIKA

WYCINANKI

ZZA GROBU!

„Światopełk Karpiński, który — choć się w Łasku nie urodził..." czytamy w Kronice Kulturalnej **„Odgłosów"** nr 2 z 8 stycznia br.

Za dwa dni dostajemy zwięzły telegram: „Urodziłem się w Łasku — Światopełk Karpiński".

Zlany potem redaktor rubryki „Kronika Kulturalna" sprawdził. Rzeczywiście. Przy okazji dowiedział się, że Karpiński również umarł. Brr...

KĄPIEL W „SZPILKACH"

W „Szpilkach" nr 2 kolejna „piosenka prawdę ci powie", tym razem cytat brzmi: „nie dla mnie się kąpiesz..." A myśleliśmy, że autor piosenki „Ty kąpiesz się nie dla mnie" — Jeremi Przybora jest — gdzie jak gdzie — ale w „Szpilkach" znany?

Prosto z głowy

Korelacje z Franciszkiem Józefem

1

Od wielu lat męczą mnie myśli o różnych korelacjach. Na przykład korelacja między tym co słuszne a tym co dobre. Zachodzi czy nie? A jeżeli tak to wprost czy odwrotnie? Im więcej słusznego tym mniej dobrego? Im mniej dobrego tym mniej słusznego?

Jak to wreszcie jest?

2

Ksiądz katecheta w moim c. i k. gimnazjum twierdził, że gdzie słuszne tam i dobre. Filozof, który jednocześnie uczył greki, zdecydowanie oddzielał słuszność od dobra. Słuszność jest wartością zmienną — *twierdził — Dobro, wartością* stałą.

Dziś słuszne — jutro niesłuszne!

3

Na uroczystościach państwowych, jako dziatwa szkolna mieliśmy do spełnienia istotną rolę. Ustawieni w dwu, trój, albo czwórszeregu (zależnie od wagi uroczystości!) wznosiliśmy w odpowiednich chwilach słuszne okrzyki: „Niech żyje cesarz Franciszek Józef Pierwszy!".

Nie po prostu — Niech żyje cesarz! — ale właśnie konkretny, z numerem pierwszym!

4

W swojej cielęcej naiwności nie byliśmy w stanie pogodzić się z faktem że można być słusznym nie poprzez trwanie przy starym okrzyku, ale przez zmianę na nowy przy zmianie kolejnego cesarza.

5

W życiu widziałem wielu ludzi, którzy w porę potrafili zmienić okrzyk i zachować słuszność przez długie, długie lata.

Niestety, człowiek przywiązuje się do zasad wyniesionych ze szkoły — przy zmianach kolejnych cesarzy wznosiłem zawsze takie same okrzyki. Na szczęście działo się to bardzo dawno temu w Abisynii, więc mogłem sobie po polsku krzyczeć co tylko chciałem.

XAWERY

1

Felieton pesymistyczny

„Orzech pierwszy" czyli Do siego roku!

No już dobrze, dobrze: wracam na te łamy ponaglany przez Was, drodzy Czytelnicy, faktycznie po kilkutygodniowym antrakcie. Ponaglany — jak to dziennikarze zwykli skromnie dodawać — setkami telefonów i tysiącami listów. Te ostatnie faktycznie sypnęły się lawiną, oba zresztą bardzo są sympatyczne. Jakaś Oriana F. (bez adresu zwrotnego i stemple niestety, niewyraźne na kopercie) kpi jedynie w żywe oczy, że to niby (...) „Już się Życiowy wyprztykaliście z tymi dowcipami i tematików wam wyraźnie brakuje!". Natomiast pan Roman Mikuta, zaznaczając na wstępie w obcych językach, że (...) „Jak idzie o podawanie nazwiska to jest mi to za przeproszeniem, „ganz egal", wyraźnie się już naprasza: „ — Pisz Stefan, pisz: trochę się łatwiej żyje, gdy czytam jak te łatki po kolei przylepiasz, a adresatów jeszcze długo nie zabraknie". Dotknięty do żywego pierwszym, a mile połechtany drugim listem wytłumaczę się tylko szybciutko, że jakoś mi niezręcznie było kłaść kolejny pesymistyczny felieton pod świąteczną choinkę bądź załączać do sylwestrowego szampana. Optymistycznych przykładów zaś wciąż mało nawet na służbową notatkę, nie mówiąc o felietonie.

No, ale „Ad rem" — jak mawiają znajomi z Hradec Kralove. A na marginesie: kto wie jak się w tym kapitalnym języku zwał słynny, dystyngowany „Ojciec chrzestny"? Marlon Brando był to po prostu „Kumoter". Czyli życząc wszystkim „Do siego roku" rzucam się już w wir naprawiania Rzeczypospolitej. Bo czas nagli, a roboty raczej sporo...

Najważniejsze to nie dać się zaskoczyć. Jednak w tym pośpiesznym rytmie ostatnich dni Starego Roku człowiek o wielu regułach gry zapomniał. A jeszcze w wigilijne przedpołudnie ryknąłem śmiechem na widok spoconego sąsiada pchającego podręczny wózek wyładowany bochenkami chleba.

— Zobaczymy kto się będzie śmiał ostatni, a kto w Nowy Rok przyjdzie pożyczyć ze dwie pajdy... — pokiwał głową z politowaniem.

Miał rację. Jak zwykle. Bo tradycji stało się zadość i dzień sylwestrowy upłynął mi na przyjemnym bieganiu po sklepach w poszukiwaniu w miarę świeżego pieczywa. Cieszyłem się też jak dziecko, gdy w specjalistycznym sklepie przy ulicy Piotrkowskiej w 800-tysięcznym mieście nabyłem drogą kupna zaledwie kilkudniową „angielkę". Wystarczająco twardą, by można nią było spokojnie torować sobie drogę w zatłoczonym autobusie na przykład.

W sympatycznym tłumie czekającym nie wiedzieć na co pod tabliczką z literą A, dopadł mnie magister B. Daliśmy sobie w starym roku „z dubeltówki", pożyczyli trochę, realnie, bez przesady. Pochwaliłem się swym ostatnim osiągnięciem: wymianą z nieletnią córką sąsiada papierosowej kartki na pół kilograma cytryn. (To takie zwykle żółte, kwaskowate owoce południowe, których parę kropel niektórzy lubią wcisnąć choćby do herbaty. Najlepsza jest z „Madras", byle nie zalewaną więcej niż trzy razy...) Magister rzucił w rewanżu:

— Wyjmij pan bułę z torby: na deszczyku trochę rozmięknie, a w domu radzę do piekarnika...

Świątecznie się jakoś zrobiło, serdecznie. Mimo siąpiącego równo śniegu z deszczem parę osób usiłowało się nawet do siebie uśmiechnąć. Rozmawiano jak wiązać „muchę", ktoś puścił wiadomość, gdzie jeszcze są szampany, inny strzelał racą nowiny o jakimś rewelacyjnie tanim balu i wciąż wolnych miejscach. Gdy zza rogu wypłynął facet z balonami, nastrój poprawił się jeszcze bardziej. Nabyliśmy szybko prawie wszystkie, bodaj po 120 złotych sztuka, ale kto by tam na takie drobiazgi zważał, w taki dzień!

Magister nie kupił balona. Poważny był czegoś, tylko bułę w siatce przekładał, by ją równo zmoczyło. Czułem, że zaraz wypali coś smutnego, szarego, zwyczajnie codziennego. Nie myliłem się, niestety.

— Kochany, może byś pan napisał coś ostrego o moim szwagrze, co 20 lat na telefon czeka? — strzelił smętnym pomysłem sprowadzając nas na ziemię. — Podanie złożył w „sześćdziesiątym drugim", w lipcu, co roku przekładali mu na następny, tłumacząc jak to oni zwykle. Wreszcie w połowie 1976 zawiadomili (Urząd Telekomunikacyjny Łódź—Północ), że już, już, czyli za cztery lata dostanie z pewnością, kazali zapłacić za przyłączenie i za aparat, coś około 3 tysięcy. Podali nawet numer, jaki mu przydzielają. No i patrz pan, dzisiaj mija 1982 r., to już ponad dwadzieścia lat jak on biedny czeka. Jak ten czas leci! A swoją drogą ciekawe, czy ktoś korzysta z tego szwagra numeru, 52-88-24?

— Panie, daj pan spokój w takim dniu z ludzkimi tragediami, toż to Sylwester! — zaoponował przysłuchujący się wywodom magistra młody człowiek o wyglądzie studenta-prymusa. Z twarzy tylko, bo stał w tej zadymce w marynarce i szaliku tylko. Ze szklanym syfonem pod pachą.

— Na szampana zabrakło? — spytałem litościwie.

Młodzian skrzywił się z niesmakiem, ale po chwili machnął z rezygnacją wolną ręką i dodał:

— Dzisiaj mogę panu powiedzieć, może w Nowym mi bardziej karta pójdzie. Przedwczoraj zrobiliśmy u kolegi małego pokerka. Ni cholery mi nie szło. Dwa razy z kareta byłem za krótki. No i nad ranem przeputałem kożuch. Teraz jak wychodzę do miasta biorę ze sobą syfon. Niech ludzie myślą, że wyskoczyłem tylko na chwilę, na minutę, żeby tą szklaną banię nabić...

Nie miałem czasu poradzić, gdzie można chować asa kier, bo zajechały środki komunikacji zbiorowej. Trzy naraz, pełen Wersal. Uśmiechnięci, krygowaliśmy się w drzwiach, podsadzali staruszki, ustępowali miejsca sąsiadom. Ech, chciało się żyć! Jakiś dobrze już „napompowany" pasażer wręczył swego balona kierowcy, który w rewanżu wykonał na zakręcie piękny, kontrolowany poślizg na wszystkie koła.

Chciałem pocieszyć jakoś magistra, który smętnie kołysał się w fotelu obok. Zafundowałem mu więc opowieść, którą warto także zadedykować pesymistom głoszącym, iż w tych ciężkich czasach straciliśmy nasze polskie poczucie humoru.

O paczkowych „zrzutach" napisano już tomy, a choć to smutne i wstydliwe, podreperowują one żywnościowe zapasy w wielu domach. W okresie przedświątecznym, wiadomo, zawsze i zawartość paczki bywa atrakcyjniejsza.. Z błogą ciekawością udała się też do urzędu pocztowego m.in. pani Jadwiga K., by odebrać przysłany przez rodzinę z RFN „zrzut".

Paczka była spora, liczyła, według papierów, ponad 11 kilogramów. Pani Jadzia poprosiła jedynie profilaktycznie o zważenie. Urzędniczka wtaszczyła pakunek na wagę i mina lekko jej zrzedła — brakowało trzech kilogramów. Rozpakowano więc komisyjnie pakę i wszyscy pocztowcy stanęli w pąsach: pudło zawierało wyłącznie... węgiel. Nie jakiś tam miał, czy brykiety. Skąd, sam „orzech pierwszy"!...

Błyskawicznie ustalono, kiedy i kto przepakowywał paczkę (UPT „Koluszki — 2") oraz co pierwotnie zawierała, bowiem zapomniano w pośpiechu ukraść dołączanej do każdej paczki specyfikacji. Mimo świetnego jakościowo ładunku odbiorca odmówił jednak przyjęcia przesyłki. Korzysta w domu z miejskiej sieci centralnego ogrzewania. I dlatego zapewne pani Jadwiga zażądała... odesłania paczki.

Autobus jeszcze nie ochłonął po opowieści, gdy z siedzenia przede mną „zabulgotał" podchmielony pasażer bez balona:

— Ale frajery! No, te chłopaki w Koluszkach. Nie mogli dołożyć jeszcze parę kawałków do przepisowej wagi? Kobitka rozpakowała by węgielek w domu, a u nas, wiadomo — po odejściu od kasy... Tyle by im mogli zrobić — cmoknął charakterystycznie w zaciśniętą pięść.

Co racja — to racja.

STEFAN ŻYCIOWY ■

2

Tańcz głupia tańcz!

Od jakiegoś czasu polska muzyka rozrywkowa przeżywa radykalną rewolucję. Jeszcze słychać zza szeregów cofającej się konserwy pienia Jarockich i Sośnickich, jeszcze słodkim brzmieniem doprasza się pardonu Seweryn Krajewski, liryk papieru ściernego, jednak coraz cichszy to ton, taki łabędzi śpiew, który zapowiada rychłą kapitulację. Jeszcze chwila a rockiści zatkną różowe czuby na ostatniej reducie i jakaś Cora wychrypi Niemena pamięci rapsod żałobny.

Niechaj martwią się tym tekściarze (rewolucjoniści bez litości rugają ich z listy płac ZAIKS-u), nigdysiejsze gwiazdy, które nie mają odwagi, aby wpiąć sobie w nos agrafkę, redaktorzy koncertów życzeń dla papy oraz wczasowi Don Juani (jak tu nucić do ucha sympatycznej pannie Basi „Oddech szczura").

Na targowisku show-businessu coraz większy tłok, koniunktura rośnie, powstają kolejne kramiki, co jeden to hałaśliwszy i wymyślniejszy. Rewolucja trwa: pot, ryk i pląs. Jak mówię, nie moje to zmartwienie, moja chata skraja. Nie stałem w kilometrowej kolejce po langplay „Perfectu", ani nie muszę wytrząsać kartkowych kalorii na rockowiskach. Każdemu wedle potrzeb.

Jedno w tym wszystkim jest godne zastanowienia: polszczyzna gitarowych rockmanów. Nie należę do językowych purystów, co to tropią każde obce słowo i przecinkami szykanują zdania, nie sądzę bowiem, aby sztywniackie reguły i konserwatystyczne zalecenia mogły tu cokolwiek pomóc. Język nie jest skamieliną, rozwija się i zmienia wraz z nami, naszą kulturą i cywilizacyjnym postępem. Ale jest też wartością, do której właściwy stosunek wymierza kulturę każdego narodu. Świadomość tej wartości kieruje działaniami językoznawców, ludzi pióra, a także działaczy kultury, wydawców itd. Nie od dziś kultura języka wchodzi do programów instytucjonalnych zabiegów państwa. I u nas świadkowaliśmy po wielekroć w ciągu minionych dziesięcioleci takim zabiegom. Obawiam się, że i te, podjęte ostatnio, rozmyją się w kilkunastu wywiadach profesorów od języka polskiego, w kilku notatkach prasowych na temat działań rządu i odpowiednich Komisji Sejmowych, w paru felietonach. Uchwały i rozporządzenia mogą w tym przypadku co najwyżej przytłumić wyrzuty sumienia. Ile razy teoria rozmijała się z praktyką! A tę tworzą przede wszystkim tzw. środki masowego przekazu — jako zwielokrotnione odbicie potocznego uzusu językowego, z jednej strony — i jako stymulatory upowszechniające swój własny idiolekt, z drugiej. Nie wiadomo zresztą, która z tych stron, dla właściwego stanu kultury języka, jest bardziej niebezpieczna. I słowo pisane narażone jest na podobne niebezpieczeństwa: publicystyczna inercja, braki w językowym słuchu mogą również prowadzić do bezkrytycznego powielania stylistycznego głupstwa, administracyjno-biurokratycznych slangów, wiązanej zgrzebnym sznurkiem „fachowej terminologii". Jednak, tak czy inaczej, słowo pisane wymaga gramatycznej obróbki, stylistycznej refleksji, składniowego ładu. Wszak scripta manent — mawiali starożytni — verba volant. Dlatego też, mówiąc o środkach masowego przekazu, mam na myśli głównie radio i tv, których verba volant do kilkudziesięciu milionów odbiorców.

Nie mam bynajmniej zamiaru czepiać się w tym tekście — na przykład — stylistycznych łamańców współtowarzysza Edyty Wojtczak w „Studiu 2", bądź językowych frazesów rock-jockeya od „co, gdzie, kiedy", bo to — jak doświadczenie uczy — jest wołaniem na puszczy. Chcę bowiem wrócić do początku tego tekstu. Otóż — powtarzam — niechaj „muzyka młodej generacji" rewolucjonizuje polską rozrywkę, niechaj jej przedstawiciele zakładają na siebie (lub przeciwnie: niech zdejmują) co tylko im się żywnie podoba, niechaj krzyczą i chrypią byle tylko robili to po polsku. Tymczasem z ekranów i głośników płynie ksywa, knajacki żargon, taki leksykalny świr. To ma być styl młodej generacji? Jej język i sposób mówienia? Nie sądzę więc, aby radio i telewizja, które uczepiły się tej muzyki jak pijany płotu (na bezrybiu i rock ryba?!) musiały ów styl utwierdzać, nobilitować go „listami przebojów", nakręcać tę koniunkturę lansując coraz to nowe ensembles, tworzyć mody, sugerować jakieś wartości? Zresztą nie chodzi tu tylko o leksykalny horror (powiedzmy sobie — konwencja, która przeminie) wykrzykiwanych tekstów, ale i o to, że są one prokurowane wbrew językowej logice, wbrew składni i jakimkolwiek gramatycznym zasadom. Cytował je obficie Krzysztof Drzewiecki w noworocznych „Odgłosach". Daruję sobie zatem przykłady.

Wzruszyć ramionami, szydliwie — jak przystało na wapniaka — zaśmiać się? Wiadomo, że liczne komisje, wydziały, redakcje i nie wiedzieć kto jeszcze, po wielekroć badają każde słowo zanim padnie ono z głośnika i małego ekranu. W przypadku słowa, któremu towarzyszy „muzyka młodej generacji" zdają się przytupywać radośnie i nucić: „tańcz głupia, tańcz...".

Nie chciałbym, aby ktoś zrozumiał mój tekst jako sugestię, że wszelakich rockistów należy rozpędzić, zamknąć lub internować. Można natomiast kazać im myśleć, zanim ustawi się ich przede kamerami.

GRZEGORZ GAZDA ■

3

Sport

Dlaczego dziwimy się?

Dziwi się przede wszystkim red. Witold Duński w „Sportowcu". Nie rozumie. Pyta więc w stałym felietonie pod stałym tytułem „Cnoty i błędy" — „Dlaczego przegrywamy?". Pisze on: „Jeszcze igrzyska w Los Angeles się nie zaczęły, a już są zmartwienia. Polska będzie na dziesiątym miejscu w medalowej punktacji czy na dwudziestym? Przegonią nas Włosi, Chińczycy, Czechosłowacy, Francuzi, Brazylijczycy czy też uda się atak odeprzeć?"

Dziwi się więc dalej red. Witold Duński, pytając dlaczego przegrywają hokeiści, kolarze, dlaczego polskie gimnastyczki nie liczą się w światowej stawce, dlaczego w ogóle u nas tak słabo ze sportem.

Ja też się dziwię. Ale zupełnie z innego powodu. Przez sekundę nie śmiałabym nawet podejrzewać red. Witolda Duńskiego, że nie czyta własnego pisma czyli „Sportowca", bowiem w tym samym numerze, aż w dwóch artykułach, ma on odpowiedź na swoje wątpliwości, pytania i zdziwienia. W artykule Jerzego Chromika „Zakamarki buntu", który to artykuł traktuje o niechęci studentów toruńskiego Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika do uczęszczania na zajęcia wf. I w artykule Krzysztofa Wągrowskiego „Inny świat". A wszystko w nr 2 „Sportowca" z datą 11 stycznia 1983 r.

Najpierw może cytat z artykułu Krzysztofa Wągrowskiego:

„Zbyszek Boniek, po podpisaniu trzyletniego kontraktu z Juventusem, pokazał mi kilkunastostronicowy program pierwszych dni swego pobytu we Włoszech. Już w maju wiedział dokładnie co będzie robił w drugiej połowie lipca i w sierpniu, czyli w okresie przygotowań drużyny do rozgrywek ligowych: kiedy ma stawić się w klubie, kiedy będzie wybierał mieszkanie, kiedy przyjmie go prezes, kiedy fotograf zrobi mu zdjęcie, kiedy rozpocznie się poszczególne treningi, a kiedy — zgrupowanie, a kiedy — mecze kontrolne. I tak dzień po dniu, czasem godzina po godzinie, aż do pierwszego meczu ligowego".

I cóż tu się dziwić. My na ogół nie wiemy, co się będzie robiło jutro, a co dopiero mówić o dokładnym harmonogramie zajęć na 4 miesiące naprzód. Mamy już rok 1983. Minęło więcej niż pół roku od zakończenia Mundialu w Hiszpanii. A raportu o naszym tam udziale nie ma do tej pory. Cóż zresztą jeden raport. A ileż to razy — że już wyjdę na chwilę ze sportowego podwórka — zdarza się tak, iż warszawska telewizja reklamuje jakąś książkę, która jest już w Warszawie w księgarniach, a do Łodzi — 138 km żelazną drogą PKP — dociera ona po... dwóch, trzech miesiącach. Ale wróćmy do sportu, który nie jest wyodrębnionym działem życia, a jest ściśle z całością powiązany.

Ileż to w sporcie mieliśmy ostatnio różnych afer, skandali i jak by tego inaczej nie nazwać — wpadek, wynikających ze złej organizacji, braku kontroli, bałaganu po prostu. Ileż mamy personalnych rozgrywek, animozji, antypatii, sympatii, układów, klik i grup wzajemnej adoracji, które są motorem sportowego działania, celem przesłaniającym wszelkie inne. I czy można dziwić się, że w takich warunkach nie osiągamy dobrych wyników na międzynarodowych boiskach i stadionach? Należałoby raczej dziwić się, że osiągamy, to co osiągamy.

Jerzy Chromik przedstawia sytuację w UMK w Toruniu, gdzie doszło do zanegowania potrzeby uprawiania sportu przez studentów. Ale czy studentom można się dziwić? Nie. Jeśliby największemu entuzjaście kazano wstawać o 6 rano, aby jechać autokarem do Chełmży, gdzie w brudnej i zimnej wodzie miałby uczyć się pływać, to myślę, że szybko zbrzydłoby mu pływanie oraz wszelka gimnastyka, biegi, skoki i gry sportowe.

Sympatii do sportu trzeba uczyć już w żłobku, kiedy dzieci — te starsze oczywiście, a nie niemowlaki — w sposób naturalny spragnione są ruchu, powietrza, kiedy to im jest wręcz niezbędne. Kontynuować to trzeba w przedszkolu i tu chyba wpajanie zamiłowania do sportu jest najważniejsze. Ale, żeby tak było, panie przedszkolanki muszą same lubić sport. A najczęściej nie lubią. Podobnie jak panie nauczycielki i panowie nauczyciele. W szkole wf jest też dziesiątym kołem u wozu. Zresztą, ile szkół ma należyte warunki do nauczania wf, a ile musi to robić na korytarzu, albo wręcz w dusznej klasie, gdzie gimnastyka staje się parodią i musi w sposób naturalny budzić niechęć. Czyżby red. Witold Duński o tym wszystkim nie wiedział?

Nie jestem pierwsza naiwna. Wiem, że red. Witold Duński mógłby znacznie rozszerzyć wymienione tu przykłady, a więc jeśli zadał naiwne pytanie, jeśli udawał zdziwionego, to tylko dlatego, aby sprowokować do zastanowienia, do myślenia, aby wstrząsnąć nie tylko kibicami, ale działaczami, ludźmi, którzy o sporcie i wf decydują.

Ale, czy to się uda?

Mam wątpliwości. Już tyle razy próbowaliśmy to robić i jakoś bez rezultatu. Myślę, że trzeba zacząć od czegoś innego. Od powolnej, systematycznej, upartej, wytrwałej pracy nad zmienianiem naszej mentalności, przyzwyczajeń, od obalania i wykorzeniania różnych mitów. A jest to praca na lata. Czy się uda?

BOGDA MADEJ ■

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Kardelak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olszewska** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikiryński** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stałe współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pasasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o wydarzeniach. Prenumeratę udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201345-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 164. L-11.

Dokończenie ze strony 1

dym niemal domu mieszkają i mają swe gabinety lekarze wszelkich specjalności. Obowiązuje przy tym zasada: im wyżej, tym taniej. A że filantropia do specjalności lekarskiej nie należy, przeto pacjenci stając przed domami i studiując z zadartymi głowami tabliczki, szczerze ubolewają, że urbaniści Melbourne nie pomyśleli przy planowaniu miasta o drapaczach chmur na ulicy Collins...

Powlokłem się na Chappel Street, jedną z centralnych arterii handlowych. Szedłem noga za nogą, obliczając ile dni dzieli mnie jeszcze od powrotu do kraju. Nagle stanąłem jak wryty: ujrzałem szyld, który przyprawił mnie o szybsze bicie serca. LODZ FACTORY KNITTING MILLS, MC OVER. Lodz factory — to łódzka fabryka! Knitting Mills — wyroby dziane, ale Mc Over — to przecież szkockie nazwisko, a co Szkot może mieć wspólnego z łódzką fabryką?

Żyłka reporterska przemogła. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Na spotkanie z maleńkiego kantorku wybiegł niskiego wzrostu dżentelmen o przyprószonych siwizną, kręconych włosach i tęsknym spojrzeniu migdałowych oczu.

— Are you mister Mc Over? — spytałem, wymawiając nazwisko zgodnie z zasadami fonetyki, to znaczy: Mek Ower.

— I am Mek Ower... — przytaknął.

— Pan... Makower?! — Pan Makower z Łodzi!

— Jak pan się tego domyślił? — odparł gospodarz po polsku, kręcąc z podziwu głową.

— Jestem łodzianinem, przed wojną nazwisko Makower było u nas bardzo popularne.

— Zawsze robiliśmy w dzianinie. Ojciec, dziadek, wujowie. Na rund maszynach.

— Ale czemu zrobił pan z siebie Szkota? Wstydzi się pan swego rodowego nazwiska?

— Nie o to chodzi. Widzi pan, tutaj są inne zwyczaje... Makower... Co to za nazwisko? Co ono mówi? Kto przyjdzie coś kupić do zwykłego Makowera, których jest na pęczki? Coś innego Mc Over. To brzmi z cudzoziemska, po anglosasku. Niech pan się wsłucha... Mc Over. Klient przechodząc koło mego interesu musi się zastanowić na widok takiego szyldu. A jak się zastanowi — to wejdzie, a jak wejdzie, na pewno coś kupi. Co pan szanowny uważa? Może sweterek dla małżonki?

— Bardzo przepraszam, wszedłem tu ze zwykłej, reporterskiej ciekawości. Jestem dziennikarzem, przyleciałem do Australii na Olimpiadę. Zafrapował mnie pański szyld...

— Nic nie szkodzi. Cieszę się, że spotkałem rodaka. Na jakiej ulicy pan mieszka w Łodzi?

Pan Makower okazał się bardzo rozmowny. Najpierw wypytał mnie o całe miasto i każdą ulicę z osobna, potem poprosił, żebym zdradził sekret w jaki sposób zabrałem się z ekipą sportowców na Olimpiadę. Powiedziałem, że mam w Melbourne kuzyna, z którym do wojny pracowałem razem w łódzkim „Expressie", że rok przed rozpoczęciem Igrzysk nawiązałem z nim kontakt telefoniczny i na podstawie jego relacji informowałem polskich czytelników o przygotowaniach do tej imprezy, a redakcja wysłała mnie do Melbourne, abym obsługiwał Olimpiadę dalekopisem, telefonem, listami i jak się tylko da.

— Jak się panu powodzi? — spytałem, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu.

— Nie mogę narzekać. Robię damskie i dziewczęce sweterki dla domów towarowych w Melbourne i w innych miastach stanu Victoria. Mam sporo zamówień.

Fabryczka pana Makowera mieściła się w dwóch połączonych wewnętrznymi schodami salach — na parterze i na piętrze. Pracowało tam ponad dwudziestu robotników i robotnic. Na dole stały maszyny produkujące „materiał swetrowy", na górze znajdowały się przykrawalnie, szwalnia i prasowalnia.

— A pańskie biuro? Gdzie są urzędnicy?

— Ja nie mogę sobie pozwolić na urzędników — uśmiechnął się gospodarz. — Całą korespondencję handlową sam załatwiam. W rachunkowości pomaga mi dochodzący buchalter. Bywa tu raz na tydzień, obsługuje jeszcze kilkanaście podobnych przedsiębiorstw.

Nic na to nie odpowiedziałem, a pan Makower dodał:

— U nas jest inaczej niż w Polsce. Tutaj nawet afery handlowe są inne. Czy pan wie co za sensacja wydarzyła się niedawno w branży spożywczej? Jakiś hurtownik sprzedał kupcom kilkaset worków kartofli, które u nas są rarytasem, ale oszukał swych odbiorców. Kartofle były tylko na wierzchu, pod spodem spryciarz podłożył ananasy!

Serce urosło mi z dumy. O ile poprzednie porównanie wypadło zdecydowanie na naszą niekorzyść, tutaj rzecz się miała odwrotnie: u nas takie afery z kartoflami i ananasami są nie do pomyślenia.

Gdy wróciłem do domu kuzyna, zaraz wystukałem dla „Dziennika Zachodniego", z którym współpracowałem, felieton o nieoczekiwanym spotkaniu w dalekim Melbourne z panem Makowerem. Podpisałem swą korespondencję: Jack Morrow. Był to mój pseudonim, sygnowałem nim swe relacje jeszcze przed wylotem do Australii. Ale tylko dla „Dziennika". Bo felietony dla „Echa Krakowa" podpisywałem Allan Stephens. A dla „Gazety Mazowieckiej" — William Mc Noldy.

Spotkania australijskie

Mr Mc Over

Te nazwiska — z dodatkiem „Nasz specjalny korespondent kabluje" — miały swoją wymowę, brzmienie anglosaskie. To nie to co jakiś tam Adam Ochocki...

KTO PANA PRZYSŁAŁ!

Zawsze miałem kult dla telefonu. Od najdawniejszych lat oddawał mi nieocenione usługi. Przez telefon dowiadywałem się od kolegów jak rozwiązać zadania, telefonicznie nawiązywałem najowocniejsze flirty. Jako reporter przez długie lata obdzwaniałem systematycznie wszelkie instytucje — według spisu abonentów, jak leciało, wyciągając od przygodnych informatorów sensacje dla gazety.

Wiara w magiczną moc wynalazku Grahama Bella pozostała mi na całe życie. Więc gdy w drodze z Biaku do Polski zatrzymałem się w hotelu Bay View w Manilii na Filipinach, ledwo wszedłem do swego pokoju, wpiłem pożądliwy wzrok w stojące na biureczku białe pudełko z tarczą. Wierzyłem, że ratunek może przyjść tylko tędy.

Sytuacja moja nie była godna pozazdroszczenia. Wprawdzie supernowoczesny hotel, w którym mnie zakwaterowano oraz wyżywienie, zostały opłacone przez linie lotnicze, ale nie miałem ani centa przy duszy, a tak bardzo chciało się zwiedzić miasto!

I wtedy, pomny swych sukcesów odnoszonych ze słuchawką w ręku, sięgnąłem po pękaty spis telefonów. Może tu znajdę bratnią duszę, która wyciągnie pomocną dłoń do bezradnego wędrowca? Najpierw szukałem pod „O". Żadnego Ochockiego nie było. Potem — już według alfabetu. Wśród powodzi amerykańskich, japońskich, portugalskich, chińskich nazwisk, wypatrywałem uparcie jakiegoś o bliskim dla ucha brzmieniu, które mogłoby stać się punktem zaczepienia. I nagle... Ziarnkowicz Henry! Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że wpadłem na ślad rodaka z Polski. Nerwowo wykręciłem numer.

— I would like to speak to mister Ziarnkowicz.

— Mister Ziarnkowicz is not home.

— Is mister Ziarknowicz from Poland?

— Yes, but now he is in office...

A zatem nos mnie nie zawiódł. Rodak jest z Polski, ale nie ma go w domu.

Poprosiłem numer telefonu do biura i zadzwoniłem. Od razu się zorientowałem, że mój nieznany krajan to jakaś gruba ryba, bo przełączano mnie kilka razy, aż wreszcie usłyszałem w słuchawce tubalne:

— Halo!

— Pan Ziarnkowicz? — spytałem po polsku.

Słuchawka zaniemówiła.

— Czy to pan Ziarnkowicz? — powtórzyłem.

— Kto... mówi, kto? — zachrypiało też po polsku.

— Ochocki.

— Ochocki? Jaki Ochocki? Kto pan jest? Skąd pan dzwoni?

Powiedziałem, że telefonuję z hotelu Bay View, w drodze do Polski zatrzymałem się na jedną dobę na Filipinach i chętnie spotkałbym się ze swym rodakiem.

— Ale jak pan mnie tu znalazł? Kto pana do mnie przysłał?

Mój rozmówca był wyraźnie rozdygotany, czemu się nie dziwiłem. Usłyszeć na tak dalekiej obczyźnie swój rodzinny język to niewątpliwie silne przeżycie.

— No to niech pan tu przyjedzie.

— Chętnie... ale... ja nie znam miasta... może pan jakoś...

— Dobrze, zejdź pan do holu, zaraz wyślę samochód.

Jakoż po kilkunastu minutach przed hotelem zatrzymała się czarna limuzyna, z której wysiadł jeszcze czarniejszy kierowca w liberii. Odsłaniając w uśmiechu dwa rzędy białych zębów podszedł do mnie.

— You are mister Ochocki?

Po czym zaprosił mnie do samochodu. Przejechawszy centrum zatrzymaliśmy się przed potężnym kompleksem budynków. Kierowca przekazał mnie portierowi, ten jakiejś panience, panienka innej panience i po paru minutach znalazłem się w wielkim gabinecie. Za masywnym biurkiem królował niepozornej postury mężczyzna. Podszedłem, przedstawiłem się. Mój rodak widać nie zdążył jeszcze ochłonąć z wrażenia.

— Kto pana do mnie przysłał? Skąd pan ma mój adres?

— Przeglądałem książkę telefoniczną, natknąłem się na polskie nazwisko, zadzwoniłem do domu i podano mi pana numer.

— Pobujaj swoją babkę, pamięta pan ten szlagier przedwojenny? No dobra. W czym mogę panu pomóc?

— Chciałbym zwiedzić miasto...

— Niestety, nie mam teraz czasu. Za pięć minut przylatują handlowcy z Hondurasu. Może na razie zadowoli się pan karasiem?

— W śmietanie? Bardzo lubię.

— Tu mieszka jeden Karaś z Polski. Ożenił się z tubylką, córką najbogatszego plantatora. Jego hobby to hodowla kanarków. Ma ich kilka tysięcy. Mój sekretarz zawiezie pana do niego. Potem zwiedzicie miasto. O siódmej wieczór wstąpię po pana do kawiarni, sekretarz już wie gdzie. Zabiorę pana do siebie do domu.

Pana Karasia, niestety, nie zobaczyłem. Był bardzo zaabsorbowany, z nikim nie chciał rozmawiać. Właśnie tego dnia żona miała go obdarzyć pierwszym potomkiem.

Zostało zatem sporo czasu na zwiedzenie miasta, a co najważniejsze — samochód do dyspozycji. Wieczorem, tak jak się umówiliśmy, pan Ziarnkowicz wstąpił po mnie do kawiarni. W drodze do jego domu dowiedziałem się, że mój rodak pochodzi spod Jasła, jest dyrektorem handlowym firmy amerykańskiej Shriro, importującej metalowe przedmioty z USA i posiadającej na miejscu kilka fabryk. Ma dwa samochody, w Nowym Jorku własny dom, trochę akcji, jakieś przedsiębiorstwo, poza tym nieźle mu się powodzi.

Przyjęcie w domu rodaka było wystawne. Honory gospodyni, która wyruszyła w trip dookoła świata, pełniła służąca tubylka. Na stole znalazła się wódka, a w przerwach między toastami gospodarz nie przestawał dopytywać się jak go odnalazłem w Manili. Potem opowiedział o mnożących się ostatnio tajemniczych katastrofach samochodów wiozących białych, o pożarach ich willi. Widać i mój rodak spod Jasła też nie czuł się zbyt pewnie, gdyż oprócz niani, praczki i służącej, miał jeszcze opłacanego przez siebie policjanta, stojącego na straży jego domu, a w aucie, na podorędziu — automatyczny pistolet. Ten ostatni o mało nie stał się przyczyną nieszczęścia, gdy w powrotnej drodze do hotelu machinalnie wziąłem go do ręki myśląc po ciemku, że to parasol.

Mój samolot startował nazajutrz rano. Pan Ziarnkiewicz przyjechał na lotnisko pożegnać się. Gdy już siedziałem w maszynie i odsunięto schodki, rodak spod Jasła, przekrzykując szum zapuszczonych silników, zawołał, zwijając dłoń w trąbkę:

— Teraz już pan przecież może powiedzieć! Kto panu dał mój adres? Kto pana do mnie przysłał?!

To były ostatnie słowa, jakie z jego ust usłyszałem. Po powrocie do kraju postanowiłem wyświetlić tajemnicę dziwnego niepokoju mego rodaka na Filipinach. Nie przyszło mi to trudno. Okazało się, że pan Henry wszedł u nas w kolizję z prawem i po prostu nawiał z Polski, uwożąc z sobą, poza wspomnieniami pięknych widoków Pogórza Karpackiego, pełną walizę szeleszczącego i brzęczącego dobra.

Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Wiedziałem już za kogo wziął mnie pan Ziarnkowicz i dlaczego tak uporczywie wypytywał się kto mi dał jego adres.

Ps. Wszystkie te fakty opisałem jak najwierniej, zmieniłem tylko nazwisko mego rodaka spod Jasła. A już ktoś, znalazłszy się w Manili, zechce powtórzyć mój numer sprzed dwudziestu paru lat? Biedny pan Henry drugi raz mógłby takiego szoku nie przeżyć...

ADAM OCHOCKI

*) Obydwa opowiadania z tomiku pt. „To ci kwiatki!", który niebawem ukaże się na półkach księgarskich nakładem WL.

Kolebka nowoczesnego przemysłu włókienniczego

W ub. roku Ozorków obchodził 175 rocznicę założenia osady sukienniczej na terenie tego miasta. Stała się ona kolebką nowoczesnego przemysłu włókienniczego w Polsce środkowej.

Uprzemysłowienie Ozorkowa nastąpiło z inicjatywy właściciela majątku Strzeblew z przyległościami Ignacego Starzyńskiego. Należał on do średniozamożnej szlachty i był człowiekiem postępowym.

Jako miejsce pod przyszłą osadę fabryczną Ignacy Starzyński upatrzył sobie Ozorków, lichutką wioskę wchodzącą w skład jego dóbr, a nie przynoszącą dotąd żadnych dochodów. Właściciel starannie przygotował teren do osadnictwa. Uregulowano część Bzury przepływającej przez Ozorków, spiętrzono wodę i założono trzy stawy. Wody stawów miały być wykorzystane jako źródło siły dla przemysłu. Nad rzeką pobudowano folusz i tartak. Wkrótce też na piaszczystych nieużytkach wytyczono pierwsze działki dla osadników.

Pod koniec 1807 roku nowa osada była gotowa na przyjęcie przybyszów. Wówczas to zgłosiło się 19 sukienników z Dąbia, którzy wyrazili chęć osiedlenia się w Ozorkowie i zainstalowania warsztatów tkackich. Starzyński zawarł z nimi umowę, przewidującą szereg przywilejów i ulg dla osadników. Umowa ozorkowska była pierwszym dwustronnym układem, dającym podwaliny pod powstające w przyszłym łódzkim okręgu przemysłowym osiedla fabryczne.

Założyciel Ozorkowa przewidywał, że w przyszłości osada sukiennicza rozwinie się w kilkudziesięciotysięczne miasto. Planom swym nadał więc piękne założenia urbanistyczne. Układ zabudowy narzucał trakt idący przez Ozorków ze Zgierza do Łęczycy. Oś osiedla stanowił więc wspomniany trakt, w głównej swej części zawierający obok jezdni i chodników szeroką aleję. Zachodnia strona ulicy, przylegająca do rzeki, przeznaczona została pod zabudowę przemysłową. Wschodnią stronę, łączącą się z polami uprawnymi i łąkami, wydzielono pod budynki mieszkalne i ogrody. Wiele z tych budynków zachowało się do dzisiaj.

Pierwsze dokładniejsze dane o Ozorkowie pochodzą z 1815 roku. Osada liczyła podówczas 256 domów, w których zamieszkiwało 1867 osób. Wśród nich było 117 sukienników, posiadających 157 warsztatów tkackich.

W początkowej fazie osadnictwa przemysł sukienniczy w Ozorkowie miał charakter drobnej wytwórczości. Nic jeszcze nie zapowiadało przyszłego rozwoju tego przemysłu na większą miarę.

Po Kongresie Wiedeńskim stosunki w Królestwie Polskim uległy znacznej stabilizacji. Przed przemysłem włókienniczym otwierały się rozległe rynki Wschodu. Dotychczasowy konkurent Ozorkowa — sukiennictwo wielkopolskie nie wchodziło już w rachubę, gdyż zostało odcięte od Królestwa granicą celną. Zapotrzebowanie na sukno ozorkowskie wzrosło niepomiernie. Wymienione okoliczności wykorzystał Starzyński. W celu stworzenia sukiennikom lepszych warunków wykończania tkanin sprowadził do Ozorkowa farbiarza i wyznaczył tereny pod budowę wykończalni. Równocześnie ponownie wszczął zabiegi o uzyskanie dla osady sukienniczej praw miejskich.

W 1816 roku postanowieniem namiestnika Królestwa Polskiego gen. Józefa Zajączka, Ozorków zaliczony został do rzędu miast. Dokument lokacyjny posiadał wielkie znaczenie dla Ozorkowa, znosił bowiem dotychczasowy stan tymczasowości i dawał podstawy prawne do zaprowadzenia normalnej gospodarki miejskiej.

Szybkie tempo rozwoju miasta trwało nadal. W 1822 roku Ozorków liczył już 3250 mieszkańców, wyprzedzając w tym względzie Zgierz i pozostawiając daleko w tyle Łódź. Skończył się okres, kiedy sukiennicy ozorkowscy wytworzywszy sukno, ładowali je na wozy i wyruszali w kraj, ażeby je sprzedać. Teraz do Ozorkowa zjeżdżali kupcy z różnych stron kraju, a kupcy rosyjscy założyli w mieście swój kantor.

Ważną datą w rozwoju przemysłowym Ozorkowa było zbudowanie w 1823 roku dużej przędzalni wełny przez przybyłych z Nadrenii braci Fryderyka i Henryka Schlösserów. Sprowadził ich Starzyński, gdyż doszedł do wniosku, że słabą stroną przemysłu włókienniczego w Ozorkowie było niedostateczne zaopatrzenie sukienników w przędzę. Schlösserowie wyposażyli swoją przędzalnię w angielskie maszyny, a do ich poruszania użyli silników o napędzie wodnym. W fabryce tej znalazło zatrudnienie około 300 robotników.

W owym czasie doszło do większego zatargu sukienników ozorkowskich ze Schlösserami. W związku z uruchomieniem przedsiębiorstwa Schlösserowie zaczęli werbować robotników wśród czeladzi zatrudnionej u majstrów. Sukiennicy uważali to za naruszenie przywilejów cechowych. W sporze tym nie znaleźli jednak poparcia władz.

W 1828 roku Fryderyk Schlösser został wyłącznym właścicielem przedsiębiorstwa, gdyż brat jego Henryk powrócił do rodzinnego kraju. Po dwóch latach w skład przedsiębiorstwa weszły także obiekty produkcyjne leżące przy górnym stawie.

Na dalszych losach Ozorkowa tragicznie odbiły się wypadki powstania listopadowego. Represje rządu carskiego po upadku powstania, a w późniejszych latach konkurencja Zgierza, poderwały dalszy rozwój sukiennictwa ozorkowskiego. Ofiarą kryzysu padła manufaktura tkanin wełnianych Gotlieba Lauzego na Strzeblewie, zamknięta w 1831 roku. Osiem lat później zbankrutowany zakład nabył na licytacji Fryderyk Schlösser.

Wspomniany przemysłowiec, znając dobrze potrzeby rynku, szybko przestawił się na produkcję przędzy bawełnianej i w tym kierunku zmodernizował wyposażenie zakładów. Stosowany zaś dotąd napęd wodny urządzeń fabrycznych zastąpił w 1837 roku maszyną parową o mocy 18 KM.

W 1833 roku Ignacy Starzyński wyzbył się Ozorkowa na rzecz hr. Feliksa Łubieńskiego. Nowy właściciel, zajęty sprawami finansowymi w skali krajowej, stosunkowo mało uwagi poświęcał miastu.

W przemyśle wełnianym Ozorkowa przodującą rolę odgrywała fabryka sukna braci Librachtów, jedna z największych w kraju. Z opisu przedsiębiorstwa, sporządzonego w 1857 roku przez prezydenta Łodzi dla gubernatora warszawskiego, wynika, że w trzech piętrowych budynkach znalazły pomieszczenie: przędzalnia wełny, tkalnia sukna, farbiarnia i wykończalnia, jak również szereg maszyn i urządzeń pomocniczych. „Machina parowa daje wszystkiemu ruch z wszelką oszczędnością i najlepszym skutkiem" — pisał z uznaniem prezydent Łodzi.

Ozorków, rozłożony po obu brzegach Bzury, składał się jak gdyby z kilku części związanych z sobą warunkami bytowania. Obok najstarszej części miasta położonej po prawej stronie rzeki, w dalszym jego rozwoju powstawały dzielnice peryferyjne, tworzące poszczególne zamknięte całości. Taką była dzielnica sukienników z drugiego rzutu osadnictwa na Strzeblewie w okolicy Zielonego Rynku. Podobnie odrębną jednostkę urbanistyczną z własnym placem rynkowym stanowiła niedoszła osada łniarska na Nowym Mieście. W 1859 roku ludność Ozorkowa wynosiła około 5800 osób. Z tej liczby trzecią część stanowili Żydzi. Mieszkało tutaj także sporo Niemców.

Lata następne nie były pomyślne dla miasta. „Trakt fabryczny" łączący szereg ośrodków przemysłowych okręgu łódzkiego omijał Ozorków, pozbawiając go dogodnej komunikacji. Podobnie było z liniami kolejowymi. Miało to zasadnicze znaczenie dla dalszych losów miasta.

WACŁAW PAWLAK